

Dean
KOONTZ

Apokalipsa



NAJPOWAŻNIEJSZY KONKURENT STEPHENA KINGA

KOONTZ DEAN R

Apokalipsa

DEAN KOONTZ

Z angielskiego przełożył PIOTR ROMAN

WARSZAWA 2006

Tytuł oryginału: THE TAKING

Copyright © Dean Koontz 2004 All rights reserved

Copyright © for the Polish edition by Wydawnictwo Albatros A. Kuryłowicz 2006

Copyright © for the Polish translation by Piotr Roman 2006

Redakcja: -Lucyna Lewandowska

Ilustracja na okładce: Jacek Kopalski

Projekt graficzny okładki i serii: Andrzej Kuryłowicz

ISBN-13: 978-83-7359-315-2 ISBN-10: 83-7359-315-2

Dystrybucja

Firma Księgarska Jacek Olesiejuk

Kolejowa 15/17, 01-217 Warszawa

tel./fax (22)-631-4832, (22)-535-0557/0560

Sprzedaż wysyłkowa – księgarnie internetowe

www.merlin.pl

www.ksiazki.wp.pl

www.empik.com

WYDAWNICTWO ALBATROS

ANDRZEJ KURYŁOWICZ

Wiktorii Wiedeńskiej 7/24, 02-954 Warszawa

Wydanie I

Skład: Laguna

Druk: WZDZ – Drukarnia Lega, Opole

Książka ta jest dedykowana Joemu Stefko:

wspaniałemu perkusiście, wydawcy znakomitych

wydań specjalnych, miłośnikowi psów...

te trzy cnoty gwarantują Niebo.

Na brzydko pachnące stopy można przymrużyć oko. Gdy w środku nocy jesteś całkiem sam

Lęk cię ogarnia, oblewają poty...T. S. Eliot

Sweeney Agonistes, fragment – Agon

(przełożył Jacek Papis)

Część pierwsza

W początku moim jest mój kres.

T. S. Eliot. *East Coker* (przełożył Jerzy Niemojowski)

1

Kilka minut po pierwszej w nocy bez ostrzeżenia spadł gwałtowny deszcz. Nawałnicy nie poprzedziły grzmot ni wiatr.

Nagłość i gwałtowność ulewy miały w sobie raptowną grozę burz z sennych marzeń.

Niepokój ogarnął Molly Sloan tuż przed oberwaniem chmury. Leżała teraz obok męża, wsłuchując się w łoskot deszczu, rozedrganie w jej wnętrzu z każdą chwilą

narastało.

Odgłosy potopu były wszędzie, wypełniały przestrzeń niczym wściekły tłum, zawodzący monotonna w umarłym języku. Strugi wody dudniły o cedrowe ściany i gonty, jakby szukały miejsc, przez które można wdrzeć się do środka.

Wrzesień na południu Kalifornii jest pozbawionym opadów miesiącem w długim ciągu suszy. Po marcu deszcz jest rzadkością, zazwyczaj zaczyna padać dopiero w grudniu.

W mokrych miesiącach werble uderzających o dach kropli czasami były dla Molly skutecznym lekiem na bezsenność, ale te deszczowe rytmy nie umiały jej uśpić. Nie tylko dlatego, że nie była to ich pora.

W ostatnich latach nazbyt często bezsenność była dla Molly ceną niespełnionych ambicji. Odtrącona przez morfeusza, wlepiała wzrok w ciemny sufit, zastanawiała się, co mogłoby się wydarzyć, i tęskniła

za tym, co być może nie miało nigdy nastąpić.

Miała dwadzieścia osiem lat i wydała cztery powieści. Wszystkie zostały dobrze przyjęte przez krytyków, ale żadna nie sprzedała się w nakładzie, który uczyniłby ją sławną czy choćby dał gwarancję, że znajdzie wydawcę spragnionego następnej.

Jej matka, Thalia, autorka klarownej prozy, właśnie rozpoczynała wspaniałą karierę, kiedy w wieku trzydziestu lat zmarła na raka. Teraz, szesnaście lat później, nie wznawiano już jej książek, a ich przesłanie zostało zapomniane.

Molly żyła z cichym lękiem, że śladem matki również zniknie w niepamięci. Nie cierpiała na przesadny lęk przed śmiercią, martwiła ją raczej myśl, że umrze, zanim osiągnie coś trwałego.

Obok niej cicho chrapał Neil, nieświadom nawałnicy.

Sen zawsze ogarniał go w ciągu minuty od chwili, gdy położył głowę na łóżku i zamknął oczy. W nocy rzadko się poruszał; po ośmiu godzinach budził się w pozycji, w jakiej zasnął – wypoczęty i pełen energii.

Twierdził, że tak doskonałym snem cieszą się jedynie ci, co mają całkowicie czyste sumienie.

Molly nazywała to snem obiboka.

Przez siedem lat małżeństwa żyli wedle innych zegarów.

Ona tak samo często jak w teraźniejszości przebywała w przyszłości, wizualizując swoje marzenia i nieustępliwie kreśląc ścieżkę, która powinna doprowadzić ją na wyżyny, na których znajdowały się jej cele. Napędzająca Molly sprężyna zawsze była maksymalnie naprężona.

Neil żył tu i teraz. Dla niego nadchodzący tydzień był daleką przyszłością i ufał, że czas zawiedzie go tam niezależnie od tego, czy zaplanuje tę wycieczkę, czy nie.

Różnili się jak poranek i światło księżyca.

Biorąc pod uwagę tak odmienne charaktery, łącząca ich miłość wydawała się nieprawdopodobna, ale to miłość była nicią, która ich

wiązała – mocnym włóknem, dającym im siłę przetrwania rozczarowań czy nawet tragedii.

W okresach bezsenności Molly rytmiczne pochrapywanie Neila, choć niegłośne, bywało sprawdzianem miłości niemal tak znaczącym jak niewierność. Teraz nagły atak klaszczącego deszczu zagłuszał wydawane przez niego odgłosy i Molly miała nowy cel, na którym mogła się skupić.

Ryk burzy nasilał się, aż mogło się zdawać, że znajdują się wewnątrz dudniącej maszynerii, która napędza świat.

Tuż po drugiej, nie zapalając światła, Molly wstała. Przez okno, osłaniane występem dachu, patrzyła na bezwietrzny monsun przez swoje przypominające ducha odbicie w szybie.

Ich dom stał wysoko w górach San Bernardino, otoczony sosnami cukrowymi, daglezbami i wysokimi jak wieże sosnami żółtymi o dramatycznie spękanej korze.

O tej porze większość sąsiadów spała. Na zboczach nad Black Lake, za całunem drzew i nieustannym potopem, dało się dostrzec tylko jedno skupisko światła.

Dom Corriganów. Harry Corrigan stracił trzydziestopięcioletnią żonę Calistę w czerwcu.

Kiedy podczas weekendu była w Redondo Beach u swojej siostry Nancy, podjechały razem pod bankomat i Calista wysiadła, aby wziąć dwieście dolarów, została obrabowana i postrzelona w głowę.

Nancy wyciągnięto z samochodu i dwukrotnie postrzelono. Gdy bandyci uciekali jej hondą, przejechali po niej. Wydarzyło się to przed trzema miesiącami i od tamtej pory Nancy pozostawała w śpiączce.

Molly tęskniła za snem, a Harry Corrigan co noc usiłował nie zasnąć. Twierdził, że sny go zabijają.

W nadpływającej falami ulewie rozjaśnione okna domu Harry'ego wyglądały jak światła pozycyjne statku, płynącego w oddali po wzburzonym morzu – jednego z tych legendarnych statków widm, opuszczonych przez pasażerów i załogę, choć szalupy nie zostały użyte. Kto wszedłby na pokład, ujrzałby w mesie załogi nietknięte

talerze z obiadem, a w sterówce na stole z mapami czekałaby ulubiona fajka kapitana, rozgrzana od żarzącego się powoli tytoniu.

Kiedy wyobraźnia Molly zaczynała pracować, powrót do rzeczywistości przychodził jej z trudem. Czasami podczas bezsennych nocy czuła przyływ literackiego natchnienia.

Na dole, w jej gabinecie, leżało pięć rozdziałów nowej powieści, wymagających doszlifowania. Może kilka godzin pracy nad tekstem na tyle uspokoi jej nerwy, że zaśnie.

Szlafrok wisiał na oparciu krzesła. Włożyła go i zawiązała pasek.

Kiedy podchodziła do drzwi, dotarło do niej, jak zadziwiająco łatwo się porusza, choć żadna lampa nie jest zapalona. Jej pewność ruchów w mroku nie wynikała jedynie stąd, że od kilku godzin nie spała i wpatrywała się w sufit, przyzwyczajając oczy do ciemności.

Słabe światło za oknami, wystarczające do rozcieńczenia mroku w sypialni, nie mogło pochodzić z domu Harry'ego Corrigan. Z początku nie dostrzegала jego prawdziwego źródła.

Burzowe chmury zakryły księżyc.

Lampy w ogrodzie były pogaszone, tak samo lampy na werandzie.

Jasne migotanie deszczu zaintrygowało ją. Niezwykły mokry połysk sprawiał, że szczeniaste gałązki najbliższych sosen były lepiej widoczne, niż powinny.

Lód? Nie. Kłując ciemność, zamrożone igielki wydawałyby znacznie bardziej kruche odgłosy niż miękkie bębnienie tej jesiennej ulewy.

Przytknęła opuszki palców do szyby. Szkło było chłodne, ale nie zimne.

Odbijając padające skądś światło, deszcz nabiera czasami srebrnego odcienia, ale tu nie było żadnego źródła światła.

Deszcz zdawał się lekko świecić sam z siebie, każda kropla była

niczym jarzący się wewnętrznym blaskiem kryształ. Noc była równocześnie przysłaniana i obnażana przez warkocze jarzących się leciusieńko paciorków.

Kiedy Molly wyszła z sypialni do korytarza, padająca z dwóch kopulastych świetlików łagodna poświata sprawiła, że mrok zmienił się z czarnego w szary, ukazując drogę do schodów. Szerokie pasma wody, spływającej nad jej głową po zakrzywionym pleksiglasie, ożywiały świetlne zawirowania, przypominające spiralne mgławice, krążące po wnętrzu kopuły planetarium.

Zeszła na dół i prowadzona dziwnym blaskiem z rozjaśnianych burzą okien, skierowała się do kuchni.

Bywały takie noce, kiedy nie opierała się bezsenności, lecz splatała z nią w uścisku, parzyła sobie dzbanek kawy i zabierała go do gabinetu. Nakręcona, pisała poszarpaną, wyostrzoną przez kofeinę prozę, utrzymaną w realistycznym tonie transkryptów z policyjnych przesłuchań.

Tej nocy zamierzała wrócić do łóżka, zapaliła więc światło w okapie nad kuchenką, doprawiła kubek mleka wyciągiem z wanilii i cynamonem, po czym podgrzała je w mikrofalówce.

Ściany w gabinecie zapełniały tomy jej ulubionej poezji i prozy: Louise Gluck, Donald Justice, T. S. Eliot, Carson McCullers, Flannery O'Connor, Dickens. Czasami czerpała otuchę i inspirację z pokornego poczucia braterstwa z tymi autorami.

Przez większość czasu czuła się jednak jak uzurpatorka. Gorzej – jak oszustka.

Matka zawsze jej powtarzała, że każdy dobry pisarz musi być swoim najsurowszym krytykiem. Molly redagowała swoje teksty zarówno czerwonym długopisem, jak i metaforycznym toporem, pozostawiając pierwszym dowody krwawego cierpienia, a drugim zamieniając opisane sceny w podpałkę.

Neil nieraz przypominał, że Thalia nigdy nie twierdziła – i nie miała zamiaru dawać do zrozumienia – iż interesująca książka może zostać wyrzeźbiona z surowego języka jedynie za pomocą wątpliwości

ostrzych jak dłuto. Dla Thalii pisarstwo było ulubioną formą zabawy.

Molly zdawała sobie sprawę z tego, że w naszej skomplikowanej kulturze, w której śmietana często osiada na dnie, a na wierzch wypływa najchudsze mleko, w jej podejściu, iż sukces zależy od ilości namiętności, bólu i szlifowania, jaką włoży w pisanie, jest niewiele logiki. Mimo wszystko, kiedy chodziło o pracę, pozostawała purytanką, uważając samobiczowanie za cnotę.

Włączyła komputer, ale nie od razu usiadła za biurkiem. Kiedy ekran się rozjaśniał, a muzyczka systemu operacyjnego zapraszała do rozpoczęcia nocnej pracy, natarczywy rytm deszczu kazał jej skierować się do okna.

Wychodziło na dużą werandę. Balustrada i dolna krawędź daszku wycinały ciemną grupę zbitych gęsto sosen, przedziwnie jarzący się widmowy las rodem z sennego koszmaru.

Molly nie była w stanie oderwać od niego wzroku. Z jakiegoś powodu, którego nie umiałyby nazwać, ta nocna sceneria przyprawiała ją o lekkie dreszcze.

Przyroda kryje w zanadrzu wiele lekcji dla pisarza. Jedną z nich jest to, że nic nie angażuje wyobraźni tak szybko ani tak całkowicie jak wielki spektakl.

Śnieżyce, powodzie, wybuchy wulkanów, huragany, trzęsienia ziemi fascynują nas, ponieważ ukazują nagą prawdę o matce naturze, dotkniętej dziwną aberracją, tak samo gotowej nas zniszczyć, jak i nam pomagać. Rodzic, który raz jest opiekuńczy, innym razem niszczy, to zawsze materiał na chwytający za gardło dramat.

Srebrzyste kaskady pokrywały brązowy las, nakładały na korę i konary metaliczne odblaski.

Lekkie fosforyzowanie deszczu mogło zostać spowodowane niecodzienną zawartością minerałów albo... jeżeli burza nadeszła z zachodu i przeszła przez zanieczyszczone powietrze nad Los Angeles i okoliczne miasta, chmury mogły przejść z atmosfery unoszące się w niej chemikalia, które utworzyły miksturę czarownic, nadając kroplom blade, upiorne lśnienie.

Molly zdawała sobie sprawę, że ani jedno, ani drugie wyjaśnienie nie jest prawdziwe, i właśnie zaczęła szukać kolejnego, gdy jej uwagę przyciągnął ruch na werandzie. Przeniosła wzrok z dalekich drzew na zadaszoną przestrzeń tuż za szybą.

Nisko, przy samej ścianie domu poruszały się poskręcane cienie. Ruchowi nie towarzyszył żaden dźwięk i był tak płynny i tajemniczy, że przez chwilę wydał się Molly wytworem wyobraźni, bezkształtną emanacją pierwotnego strachu.

Po chwili jeden, trzy, pięć cieni podniosło łby i skierowało żółte ślepia w kierunku okna, aby uważnie przyjrzeć się stojącej w środku istocie. Były tak samo realne jak Molly, tyle że miały ostre kły.

Werandę wypełniały wilki. Wymykały się z objęć burzy, wchodziły po schodach na sosnową podłogę i gromadziły pod osłoną dachu, jakby nie był to dom, ale arka, która wkrótce bezpiecznie uniesie się na wodach nieuchronnego potopu.

W tutejszych górach, leżących między pustynią na wschodzie a równinami na zachodzie, wilki zostały już dawno wytrzebione. Odwiedziny na werandzie były niezwykłym zjawiskiem.

Choć po uważniejszym przyjrzeniu się Molly stwierdziła, że są to kojoty – czasami nazywane wilkami preriowymi – ich zachowanie było nie mniej zdumiewające niż zachowanie wilków z ludowych opowieści i baśni.

Najdziwniejsze było to, że zachowywały się zupełnie cicho. Ścigając ofiarę, kojoty często wyją z podniecenia – zawodzą w mrożący krew w żyłach sposób, przypominający grę na sprzęgającym się syntetyzatorze. Zwierzęta na werandzie nie wyły ani nie szczekały, nawet nie warczały.

W odróżnieniu od większości wilków kojoty zazwyczaj polują samotnie. Kiedy zaś czasem łączą się w sfory, nigdy nie biegną tak blisko siebie jak wilki.

W tym przypadku jednak nie było widać typowego dla tego gatunku indywidualizmu. Stały stłoczone bok w bok, bark w bark, prześlizgiwały się między sobą, zachowując się jak udomowione psy. Były podenerwowane i najwyraźniej szukały otuchy w bliskości towarzyszy.

Kiedy zauważyły Molly po drugiej stronie szyby, ani się nie odsunęły, ani nie zareagowały agresją. Świeące ślepie, które dawniej

zawsze wydawały się jej okrutne i pałające żądzą krwi, teraz wyglądały tak niegroźnie jak ufne oczy domowego zwierzęcia.

Wszystkie wbijały w nią natarczywe spojrzenia, tak bardzo obce kojotom. Ich ślepie zdawały się wyrażać... błaganie.

Było to tak nieprawdopodobne, że nie wierzyła własnym oczom, po chwili wydało jej się jednak, że błaganie wyrażają nie tylko spojrzenia zwierząt, ale także ich postawa i zachowanie.

To pełne ostrych kłów zgromadzenie powinno było przerazić Molly. Jej serce biło szybciej niż zwykle, wynikało to jednak nie ze strachu, lecz z nowości sytuacji i dziwnej, tajemniczej atmosfery.

Kojoty najwyraźniej szukały schronienia, choć Molly jeszcze nigdy nie widziała, aby uciekały przed burzą do ludzkich siedzib. Ludzie byli dla ich gatunku znacznie większym zagrożeniem niż wszystko, co mogły napotkać w przyrodzie.

Poza tym stosunkowo cicha burza nie wygoniła ich z nor ani za pomocą błyskawicy, ani grzmotu. Ogromna ilość spadającej na ziemię wody czyniła pogodę niezwykłą, ale deszcz nie padał jeszcze na tyle długo, aby wypłukać te wyjątkowo odporne drapieżniki z ich domów.

Choć zwierzęta wciąż rzucały Molly błagalne spojrzenia, większą część uwagi skupiały na burzy. Podkulając ogony i strosząc uszy, cały czas czujnie obserwowały srebrzyste strugi i zalewany przez nie las z wyraźną fascynacją i nieskrywanym lękiem.

Ponieważ z ciemności nocy wychodziły kolejne kojoty i dołączały do swoich pobratymców na werandzie, Molly zaczęła się wpatrywać w palisadę drzew z nadzieją, że może dostrzeże tam przyczynę niepokoju zwierząt.

Nie zobaczyła jednak niczego więcej niż dotychczas: promieniujące słabym światłem kaskady nadal spadały z nasączonego wilgocią nieba, drzewa i inne rośliny ugięły się i drżały, pobłyskując srebrzyście od zalewających je strumieni wody.

Przepatrywanie ściany lasu nic nie dało, mimo to Molly czuła na karku swędzenie, jakby do jej skóry przycisnęła ektoplazmatyczne usta kochanek duch. Jej ciało przeszył dreszcz nie wiadomo skąd wypływającego złego przeczucia.

Przekonana, że coś kryjącego się w lesie odwzajemnia jej spojrzenie zza mokrej zasłony, Molly odsunęła się od okna.

Ekran monitora nagle wydał jej się zbyt jasny – mógłby oświetlić jej sylwetkę. Wyłączyła komputer.

Podobny do rtęci poblask, czarny i równocześnie srebrzysty, cały czas migotał za oknami. Nawet w środku domu powietrze wydawało się ciężkie i wilgotne.

Fosforyzująca poświata burzy rzucała drżące rozblaski na zbiór porcelany; szklane przyciski do papieru, pokryte białym złotem ramy kilku obrazów... gabinet przypominał znajdujący się poza zasięgiem promieni słonecznych rów oceaniczny, którego kontury wydobywały z całkowitej czerni promieniujące ukwiały i świecące meduzy.

Molly ogarnęło nagle dezorientujące, znane jej ze snów poczucie nierzeczywistości, którego jednak nigdy przedtem nie doświadczyła na jawie.

Odsunęła się dalej od okna. Powoli kierowała się do wyjścia, prowadzącego na schody i na dół.

Ogarnął ją niepokój, atakując nerw za nerwem. Nie bała się kojotów na werandzie, lecz czegoś innego, czego nie umiałaby nazwać – groźby tak pierwotnej, że umysł jej

nie ogarniał, a instynkt mógł ukazać jedynie jego kontury.

Choć próbowała przekonać samą siebie, że jest za dorosła, aby poddać się strachowi, tak łatwo przychodzącemu w dzieciństwie i okresie dorastania, wycofała się na schody, aby wrócić do sypialni i obudzić Neila.

Przez mniej więcej minutę stała z ręką na końcu poręczy, wsłuchiwała się w bębnienie deszczu i zastanawiała, co powie, kiedy wyrwie męża ze snu. Wszystko, co się wokół niej działo, brzmiałoby niedorzecznie i histerycznie.

Nie martwiła się, że wypadnie głupio w oczach Neila.

W ciągu siedmiu lat małżeństwa każde z nich wystarczająco często zachowywało się niemądrze, aby zasłużyć sobie na wyrozumiałość drugiej strony.

Dbła jednak o zachowanie określonego wizerunku samej siebie, który podtrzymywał ją na duchu w ciężkich czasach, i zawsze starała się nie dopuścić do jego zachwiania. W tym autoportrecie była twarda, odporna, zahartowana przeżyтыми w młodym wieku przerażającymi wydarzeniami, zaprawiona w bojach przez żalobę i dzięki doświadczeniu zdolna poradzić sobie ze wszystkim, czym los zechce ją poczęstować.

W wieku ośmiu lat doświadczyła tak straszliwej przemocy, że każde inne dziecko na jej miejscu przez wiele lat musiałoby być poddawane terapii. A kiedy miała dwanaście lat, niewidzialny morderca zwany chłoniakiem, tym razem stosując milczący gwałt, zabił jej matkę.

Przez większość życia Molly nawet nie próbowała zaprzeczać prawdzie, którą wielu ludzi zna, ale wypiera ze świadomości: że w zależności od wiary, jaką wyznajemy, w każdej chwili każdego dnia nasze życie trwa albo dzięki łaskawej tolerancji Boga, albo dzięki kaprynowi ślepego losu i obojętnej natury.

Wsłuchiwała się w deszcz. Ulewa nie sprawiała wrażenia obojętnej żywiołu, wyglądała, jakby była świadoma swego działania i zdecydowana.

Molly postanowiła pozwolić Neilowi spać dalej i odwróciła się od schodów. Okna cały czas lekko świeciły, jakby odbijała się w nich zorza polarna.

Choć rozdrażnienie Molly powoli zamieniało się w lęk, ruszyła przez hol w kierunku drzwi wejściowych.

Po obu stronach drzwi znajdowały się okna francuskie, przez które widać było werandę, oglądaną przez Molly kilka minut temu z gabinetu.

Kojoty w dalszym ciągu tłoczyły się na werandzie. Kiedy Molly zbliżyła się do drzwi,

kilka z nich znów się ku niej odwróciło, by wbić w nią spojrzenie.

Ich przestraszone dyszenie malowało na szkle blade pióropusze. Świecące zza woalek pary z pysków ślepia patrzyły na nią błagalnie.

Molly była przekonana, że mogłaby otworzyć drzwi, wejść między kojoty i nie zaatakowałyby jej.

Niezależnie jednak od tego, czy faktycznie była tak twarda, za jaką się uważała, nie miała impulsywnej ani lekkomyślnej natury. Nie miała też fatalistycznego podejścia do życia poskramiacza węży ani awanturniczej odwagi ludzi pływających tratwami po spienionych kataraktach.

Minionej jesieni, kiedy po wschodnim zboczu góry zaczął się wspinać pożar, grożąc przejściem przez grań i skierowaniem się na zachód, ku jezioru, ona i Neil byli – z jej inicjatywy – pierwszymi w okolicy, którzy spakowali najważniejsze rzeczy i wyjechali. Molly od dzieciństwa miała świadomość, jak kruche jest życie, co uczyniło z niej rozsądną osobę.

Pisząc powieść, często musiała odrzucać rozwagę i zaufać nie tyle intelektowi, co intuicji i sercu. Bez odrobiny ryzyka jej książki nie byłyby warte czytania.

Atmosfera rozświetlonego blaskiem fałszywej zorzy holu, podkreślana zaniepokojonymi spojrzeniami zbitych ciasno kojotów, miała w sobie coś mistycznego, bardziej przypominała fikcję literacką niż rzeczywistość. Może dlatego Molly pomyślała o zaryzykowaniu wyjścia na zewnątrz.

Położyła dłoń na gałce drzwi, choć raczej należałoby powiedzieć, że nagle stwierdziła, iż jej dłoń leży na gałce, choć nie pamiętała, kiedy ją tam kładła.

Ryk ulewy, eskalujący od mrożącego w żyłach chorału do dźwięku mogącego przywołać na myśl Armagedon, połączony z upiornym światłem, niemal hipnotyzował, Molly zdawała sobie jednak sprawę z tego, że ani nie wpadła w trans, ani – jak w kiepskim filmie – nie jest wywabiana z domu przez jakąś nadprzyrodzoną siłę.

Jeszcze nigdy nie czuła się bardziej przytomna, nie miała takiej jasności umysłu. Instynkt, serce i umysł Molly zsynchronizowały się

jak jeszcze nigdy dotąd w jej dwudziestoosmioletnim życiu.

Niespotykana wrześnieowa ulewa i przedziwne zachowanie kojotów, zwłaszcza ich nietypowa potulność, przemawiały za tym, że zwykła logika przestała obowiązywać. Sytuacja wymagała nie ostrożności, lecz zuchwałości.

Gdyby serce Molly w dalszym ciągu gwałtownie waliło, być może nie przekreśliłaby gałki, ale sama myśl, że to robi, sprawiła, że spłynął na nią niecodzienny spokój. Puls zwolnił, choć każde uderzenie serca wibrowało w niej z taką siłą, że całe ciało zdawało się dygotać.

W niektórych chińskich dialektach ten sam wyraz oznacza niebezpieczeństwo i okazję. Teraz Molly – po raz pierwszy w życiu – zrozumiała ten sposób myślenia.

Otworzyła drzwi.

Kojoty, których było ze dwadzieścia, nie zaatakowały ani nie zawarczały. Nawet nie pokazały kłów.

Zdziwiona ich zachowaniem nie mniej niż swoim, Molly przekroczyła próg. Wyszła na werandę.

Kojoty, niczym domowe psy, zrobiły jej miejsce i zdawały się zadowolone z jej obecności.

Mimo zdumienia Molly zachowywała ostrożność. Stała, obronnie krzyżując ramiona na piersi, czuła jednak, że gdyby wyciągnęła dłoń do zwierząt, trąciłyby ją tylko nosami i polizaly.

Kojoty nerwowo dzieliły uwagę między Molly a otaczający ich las. Ich płytkie oddechy nie świadczyły o zmęczeniu, lecz o tym, że bardzo się boją.

Przerażało je coś w smaganym wodą lesie. Ich strach był tak silny, że nie śmiały reagować zwykłymi dla siebie warknięciami i straszaniem sierści.

Zamiast tego dygotały i wydawały z siebie ledwie słyszalne, poddańcze pojękiwania. Nie miały położonych uszu, co wyrażałoby agresję, ale wysoko uniesione, jakby nawet przez odgłosy deszczu słyszały oddech i ciche stąpienia przygotowującego się do gwałtownego ataku prześladowcy.

Ogony pochowały pod siebie, ich boki dygotały i wszystkie bezustannie się poruszały. Sprawiały wrażenie gotowych w każdej chwili rzucić się na deski i poddańczo wyeksponować brzuchy w próbie powstrzymania ataku zbyt silnego wroga.

Pozostające w ciągłym ruchu kojoty ocierały się o Molly i najwyraźniej z kontaktu z nią czerpały taką samą otuchę jak z kontaktu ze współplemieńcami. Choć ich ślepia były obce i dzikie, dostrzegała w nich pełną nadziei wiarę oraz potrzebę towarzystwa, cechy typowe dla najłagodniejszych psów.

Kiedy z głębin psychiki Molly zaczęła wypływać szeroka fala nieznanego przedtem –

albo nigdy nie przeżywanych z taką siłą – emocji, jej zdziwienie zamieniło się w najwyższe zdumienie. Było w tym coś z doświadczenia cudu, bardzo w swej intensywności dziecięcego, niemal pogańskiego wrażenia pełnego zjednoczenia z naturą.

Zapach mokrego futra i dymny, amoniakowy odorek piżma sprawiały, że wilgotne powietrze stało się jeszcze cięższe.

Molly przyszła na myśl Diana, rzymska bogini lasów, zwierząt, łowów, płodności i księżycy, przedstawiana często w otoczeniu sfory wilków, gdy prowadzi je przez oświetlone księżycowym światłem pola i wzgórza w pogoni za łupem.

Zaczęła uświadamiać sobie głęboką więź między wszystkimi dziełami stworzenia. Nie wypływała ona z umysłu ani z serca, ale z najdrobniejszych cząsteczek jej istoty - jakby cytoplazma w miliardach jej komórek reagowała na kojoty, niezwykłą burzę oraz las w taki sam sposób, w jaki na ziemskie oceany oddziałuje księżyc.

Chwila ta była naładowana czymś tak mistycznym i tak niepodobnym do wszystkiego, czego Molly doświadczyła do tej pory, że przepeliła ją szczególnego rodzaju euforia. Oddychała szybko i płytko, nogi się pod nią uginały.

Nagle wszystkie kojoty ogarnęło przerażenie jeszcze większe od tego, które wypędziło je z lasu. Z piskliwym, rozpaczliwym skomleniem zaczęły uciekać z werandy.

Kiedy mijały Molly, ich mokre ogony smagały jej nogi.

Kilka z nich popatrzyło na nią błagalnie, jakby chciały powiedzieć, że powinna zrozumieć powód ich strachu i uratować je przed wrogiem, prawdziwym albo wyimaginowanym, który wypędził je z ich legowisk.

Zbiegły szybko po schodach, wpadły w burzę i popędziły ciasno zbite w obronnej formacji, nie myśliwi teraz, ale ścigani.

Przemoczona sierść lepiała się do ich skóry, ukazując szczupłe kształty, ścięgnięta i napięte mięśnie. Kojoty zawsze wydawały się Molly agresywne i wspaniałe, te jednak wyglądały na zagubione i niepewne, niemal godne politowania.

Podeszła do szczytu schodów i patrzyła na oddalające się zwierzęta. Choć było to nielogiczne i zatrważające, poczuła chęć podążenia za nimi, chęć, której z trudem się oparła.

Zbiegając w dół przez noc, las i upiornie jarzący się deszcz, kojoty oglądały się za siebie, patrząc nad domem na linię grani. Nagle jakby złapały zapach prześladowcy i śmignęły między sosny, miękko i cicho jak szare duchy. Zniknęły.

Czując chłód, Molly objęła się ramionami i wypuściła powietrze, dopiero teraz uświadamiając sobie, że wstrzymywała oddech.

Czekała spięta i czujna, ale nic nie ścigało sfory.

W okolicznych górach kojoty nie miały naturalnych wrogów, zdolnych rzucić im wyzwanie. Nieliczne pozostałe w okolicy niedźwiedzie żywiły się dzikimi owocami, bulwami i delikatnymi korzeniami, ze zwierząt nie atakowały nic większego od ryby. Choć rysie przeżyły ludzką ekspansję w większej liczbie niż niedźwiedzie, żywiły się królikami i gryzoniami – nie ścigałyby innych drapieżników, aby je pożreć ani dla sportu.

Piżmowy zapach kojotów nadal utrzymywał się w powietrzu. Co dziwniejsze nie słabł, lecz stawał się coraz bardziej soczysty.

Molly wyciągnęła rękę poza osłonę dachu. Choć jesienna noc była chłodna, migoczący deszcz, który zaczął jej przeciekać między palcami, sprawiał wrażenie zaskakująco ciepłego.

Fosforyzująca woda malowała zmarszczki w zgięciach palców.

Molly, znów zaniepokojona, zaczęła się cofać w kierunku domu. Ani przez chwilę nie odwracała wzroku od otaczającego dom lasu, niemal pewna, że zaraz coś wyleci na nią spomiędzy sosen, coś składającego się z samych kłów i okrucieństwa.

Weszła do domu i zamknęła za sobą drzwi. Zaryglowała je. Przez chwilę stała, cała rozedrgana.

Jej własne emocjonalne reakcje ciągle ją zaskakiwały i mąciły jej w głowie. Pchana jakimś instynktem, odruchem płynącym nie z głowy, lecz z serca, czuła się tak, jakby ją zmieniono w przewrażliwioną dziewczynkę – i wcale jej się to nie podobało.

Pomyślała, że koniecznie musi umyć ręce, poszła więc szybkim krokiem do kuchni.

Kiedy już miała do niej wejść, stwierdziła, że lampka w okapie nad kuchenką się pali, tak jak ją zostawiła, gdy podgrzała sobie mleko.

W progu się zawahała, ogarnięta nagłym strachem, że w kuchni ktoś będzie. Ktoś, kto wszedł tylnymi drzwiami, kiedy jej uwagę odwracały kojoty.

Kolejny objaw emocjonalizmu. Głupie. Nie czeka tu na nią żaden intruz.

Przeszła przez kuchnię prosto do tylnych drzwi. Były zaryglowane. Zabezpieczone. Nikt nie mógł się tędy dostać.

Skrzące się zasłony promieniującego deszczu srebrzyły noc. Zza tej usianej cekinami woalki mogły obserwować Molly tysiące oczu.

Zasłoniła okno przy stole śniadaniowym plisowaną roletą, potem to samo zrobiła z okienkiem nad zlewozmywakiem.

Puściła wodę, ustawiła ją na najwyższą temperaturę, jaką będzie w stanie znieść, i zaczęła mydlić dłonie płynnym mydłem z podajnika. Mydło pachniało pomarańczami i był to radośnie czysty zapach.

Nie dotknęła żadnego kojota.

Z początku nie rozumiała, dlaczego z taką determinacją trze dłonie,

po chwili jednak dotarło do niej, że stara się zmyć deszcz.

Dziwnie pachnący deszcz sprawił, że czuła się... brudna.

Splukiwała dłonie, aż skóra mocno się zaczerwieniła, jakby ją poparzyła. Potem wycisnęła z pojemnika kolejną porcję mydła i ponownie zaczęła myć ręce.

W mieszance delikatnych egzotycznych zapachów był jeden znajomy, choć pamiętany jak przez mgłę, dymny i amoniakowy zapach, którego Molly nie była w stanie zidentyfikować. Choć splukała go z dłoni, przypomniał jej się i teraz umiała już go nazwać. Sperma.

Spod licznych aromatów straganu z przyprawami wydobywał się płodny zapach spermy.

Wydawało się to tak nieprawdopodobne, tak absurdalnie freudowskie, że Molly zaczęła się zastanawiać, czy przypadkiem nie śpi. Albo czy nie popada w psychozę.

Nieemożliwa do wyjaśnienia luminescencja, nasienny deszcz, kulące się ze strachu kojoty, każdy krok, jaki zrobiła – od łóżka aż po kuchenny kran – i każda chwila, jaką przeżyła, wszystko to przypominało halucynacje.

Zakręciła kran, w głębi duszy spodziewając się, że kiedy woda przestanie lecieć, zapadnie cisza, ale potężny ryk niepasującej do pory roku ulewy trwał dalej. Może był realny, lecz mógł też być ścieżką dźwiękową wyjątkowo uporczywego snu.

Gdzieś z domu doleciał ostry krzyk, przecinając monotonne dudnienie deszczu. Z góry. Po chwili rozległ się ponownie. Neil. Jej spokojny, poukładany, nigdy nie dający się wyprowadzić z równowagi mąż wykrzykiwał płuca w noc.

Mając za sobą bogate doświadczenia z przemocą, Molly zareagowała błyskawicznie.

Złapała słuchawkę wiszącego na ścianie telefonu, wystukała 911 i dopiero wtedy zauważyła, że nie ma sygnału.

Ze słuchawki dolatywał dźwiękowy gobelin elektronicznych odgłosów. Niskotonowe pulsujące basy i wysokotonowe gwizdy i piski.

Odwiesiła słuchawkę.

Przypomniała sobie o broni. Była na górze. W szafce przy łóżku.

Neil znów zaczął krzyczeć.

Molly popatrzyła na prowadzące na zewnątrz zamknięte drzwi i znów ogarnęła ją chęć ucieczki w noc, za kojotami. Cokolwiek by jednak o niej powiedzieć – że jest chora psychicznie, głupia czy histeryczna jak nastolatka – nie była tchórzem.

Podeszła do szafek i wyciągnęła z szuflady największy nóż, jaki mieli w domu.

Bardzo chciała mieć światło, wielki, jaskrawy błysk światła, ale nie dotykała włącznika. Znała dom lepiej, niż mógłby go znać jakikolwiek intruz, więc ciemność będzie jej sprzymierzeńcem.

Idąc przez kuchnię i hol i wchodząc na schody, rozcinała czerń czubkiem rzeźnickiego noża, podążając w jego kilwaterze.

Niektóre stopnie poskrzypywały, ale łoskot ulewy zagłuszał odgłosy pospiesznej wspinaczki.

Burza cały czas malowała na świetlikach rozjaśniające niebo galaktyki i ich rozmyte odbicia pełży po podłodze korytarza.

Kiedy Molly dochodziła do sypialni, usłyszała jęk, po którym Neil wydał z siebie krzyk nieco cichszy od dwóch pierwszych.

Jej serce zacisnęło się w twardą pięść, walącą twardo o żebra.

Gdy pchnęła drzwi i weszła do ciemnej sypialni, nóż poruszał się i podskakiwał jak różdżka radiestety, próbująca wykryć intruza, szukająca nie wody, ale złej krwi.

Podobne do połysku na powierzchni rtęci falujące światło promieniującego deszczu, przepływające przez pomieszczenie z wodnistą niestałością, nie było w stanie oświetlić każdego rogu. Cienie drgały i podskakiwały, lecz niektóre z nich mogły być czymś więcej niż cieniami.

Molly opuściła jednak nóż. Z tak niewielkiej odległości bez trudu mogła stwierdzić, że jęki i krzyki męża są wynikiem walki tylko z koszmarem sennym.

Sny Neila zazwyczaj były nie tylko głębokie, ale także dość ubogie. Jeżeli morfeusz przynosił mu jakąś opowieść, jej fabuła była łagodna, czasem nawet komiczna.

Czasami uśmiechał się przez sen. Kiedyś, nie budząc się, głośno się roześmiał.

Podobnie jak w przypadku wszystkich innych wydarzeń pierwszych godzin tej środy, przeszłość nie okazała się wyznacznikiem teraźniejszości. Sen Neila bez wątpienia różnił się od wszystkich innych, jakie miał w ciągu siedmiu lat, w czasie których Molly dzieliła z nim łóżko. Spanikowany oddech i krzyki przerażenia wskazywały, że rozpaczliwie biegł przez lasy snu, ścigany przez coś przerażającego, co bezlitośnie go doganiało.

Molly zapaliła lampkę przy łóżku. Nagły blask światła nie obudził męża.

Pot przyciemniał jego włosy niemal do czerni. Wykrzywiona strachem twarz błyszczała.

Molly odłożyła nóż na szafkę.

–Neil?

Wypowiedzenie jego imienia nie obudziło go, ale zareagował, jakby usłyszał szorstki głos śmierci. Szarpiąc głowę, z napiętymi mięśniami szyi, zaciskając palce na kołdrze, jakby to był całun, w którym go przedwcześnie pochowano, z wyraźnym przerażeniem spazmatycznie chwycił powietrze, cały czas na granicy krzyku.

Molly położyła mu dłoń na ramieniu.

–Kochanie, to tylko sen.

Tłumiąc krzyk, usiadł na łóżku, złapał ją za nadgarstek i wykręcając go, oderwał jej dłoń od swojego ramienia, jakby była zabójcą, zamierzającym się na niego sztyletem.

Choć się obudził, sprawiał wrażenie, że wciąż widzi zagrożenie

ze snu. Jego szeroko otwarte oczy wypełniał strach, młot przerażenia przekuł twarz w maskę o nowych ostrych konturach.

Molly jęknęła z bólu.

–Puść mnie, to ja...

Zamrugał i przez jego ciało przebiegł dreszcz. Puścił żonę. Molly cofnęła się o krok i zaczęła masować bolący nadgarstek.

–Wszystko w porządku? – spytała.

Neil odrzucił kołdrę i usiadł na skraju łóżka.

Miał na sobie jedynie spodnie od pidżamy. Choć nie był wysoki – miał metr siedemdziesiąt osiem i szczupłą budowę ciała – jego ramiona były dobrze umięśnione.

Molly lubiła dotykać ramion, barków i piersi męża. Neil był masywny, więc można było na nim polegać.

Jego budowa pasowała do charakteru. Mogła mu ufać, zawsze.

Czasami dotykała go mimochodem, z niewinnymi zamiarami, i namiętność pojawiała się tak szybko, jak grzmot po błyskawicy.

Zawsze był pewnym siebie, ale cichym kochankiem, cierpliwym i niemal nieśmiałym. Ponieważ Molly była z ich dwojga bardziej impulsywna, to ona zazwyczaj prowadziła męża do łóżka, a nie odwrotnie.

Po siedmiu latach jej własna zuchwałość w dalszym ciągu ją zaskakiwała i zachwycała. Nie zachowywała się tak wobec żadnego innego mężczyzny.

Nawet w tym denerwującym luminescencyjnym świetle, mimo łoskotu deszczu zamierzającego zniszczyć dach i niepokojącego wspomnienia kojotów, Molly na widok męża poczuła zmysłowe drżenie. Jego potargane włosy. Przystojna twarz z trzydniowym zarostem i czule usta chłopca.

Wytrzeł twarz dłońmi, by ściągnąć z niej pajęczyny snu. Kiedy popatrzył na Molly, jego błękitne oczy miały ciemniejszy odcień niż zwykle, były niemal szafirowe. W tym błękitcie poruszały się ciemniejsze cienie, jakby po polu widzenia Neila ciągle jeszcze biegał

pochodzący z sennego koszmaru powidok jadowitych pajaków.

–Dobrze się czujesz? – spytała Molly.

–Nie. – Jego głos był schrypnięty, jakby od długo niezaspokajanego pragnienia, i brzmiało w nim zmęczenie po rozpaczliwej pogoni przez pola snu. – Dobry Boże, co to było?

–Co to było?

Neil wstał. Jego ciało przypominało ściśniętą sprężynę, każdy mięsień był naprężony. Sen podziałął na niego jak gwałtowne przekręcenie kluczyka w zegarze, któremu z powodu użycia zbyt wielkiej siły grozi rozerwanie.

–Miałeś zły sen – stwierdziła Molly. – Krzyczałeś.

–To nie był zły sen, ale coś znacznie gorszego. – Z pełnym niepokojem zdziwieniem rozejrzał się po pokoju. – Ten odgłos...

–To deszcz. – Molly wskazała na okno. Neil pokręcił głową.

–Nie... to nie tylko deszcz. Coś za nim... nad nim... Jego zachowanie sprawiło, że niepokój Molly gwałtownie

wzrósł. Neil wyglądał, jakby jeszcze nie całkiem otrząsnął się z sennego koszmaru. Wzdrygnął się.

–Spada na nas góra – wymamrotał.

–Góra?

Odchylił głowę do tyłu i patrzył w sufit z wyraźnym przestraczem. Jego głos wygładził się, brzmiał teraz jedwabście i hipnotyzujące

–Wielka. We śnie. Potężna. Góra ze skały czarniejszej od żelaza zbliża się do Ziemi, spadając powoli. Biegnie się i biegnie... ale nie da się spod niej wybiec. Jej cień rozszerza się przed tobą szybciej... szybciej, niż można się poruszać.

Wypowiadane cicho słowa, ostre jak kostki harfisty, szarpały nerwami Molly.

–O! Sen z *Kurczaka małego!* - powiedziała, próbując odebrać tej chwili jej ciężar.

Neil cały czas wpatrywał się w sufit.

–To nie tylko sen. Tutaj. Teraz. – Wstrzymał oddech i słuchał. Po chwili dodał: – Coś z deszczem... spada na Ziemię.

–Neil, przerażasz mnie.

Opuścił głowę i popatrzył jej w oczy.

–Ogromny ciężar gdzieś tam w górze. Rosnący nacisk. Ty też go czujesz.

Nawet gdyby Księżyc spadł na Ziemię, Molly niechętnie by przyznała, że jego grawitacyjne oddziaływanie wzbudziło nowe silne pływy w jej krwiobiegu. Aż do tej nocy była jeźdźcem, trzymającym życie na krótkiej wodzy, a emocjom pozwalała galopować jedynie na stronach swoich książek, rezerwowała dramatyzm na potrzeby literackiej fikcji.

–Nie czuję – odparła. – W twój sen wdzierał się odgłos deszczu, a twój umysł przerobił to na coś innego, zrobił z tego górę.

–Też ją czujesz – upierał się Neil. Ruszył bosą w kierunku okna.

Przytłumione bursztynowe światło, padające z nocnej lampki, było zbyt słabe, aby ukryć lśnienie nawałnicy, która zdawała się pokrywać las lametą i posrebrzała ziemię.

–Co się dzieje? – spytał Neil.

–Nietypowa zawartość minerałów, jakieś zanieczyszczenia – odpowiedziała, powtarzając wyjaśnienia, które już rozważyła i odrzuciła.

Zaciekawienie i zdumienie, które skłoniły ją do wejścia między kojoty, zamieniły się w strach. Zaczęła tęsknić za powrotem do łóżka, skuleniem się w pościeli, przespaniem tej zwariowanej burzy i obudzeniem się w świetle normalnego poranka.

Neil otworzył zasuwkę okna i sięgnął do klamki, aby je otworzyć.

–Nie rób tego! – zawołała.

Odwrócił się od okna i popatrzył na nią.

–Ten deszcz dziwnie pachnie – powiedziała. – Sprawia wrażenie... brudnego.

Dopiero w tym momencie Neil zauważył, że Molly ma na sobie szlafrok.

–Dawno wstałaś?

–Nie mogłam spać. Zeszłam na dół popisać, ale...

Ponownie popatrzył na sufit.

–Znowu. Czujesz?

Może rzeczywiście coś czuła, a może to tylko jej wyobraźnia budowała w powietrzu góry. Neil przesunął wzrok po suficie.

–Już na nas nie spada. – Jego głos ścichł do szeptu. – Przemieszcza się na wschód... z zachodu na wschód.

Choć nie dane jej było czuć działania tego najwyraźniej pozazmysłowego zjawiska, po chwili stwierdziła, że prawą dłońią trze o szlafrok – tą, którą wyciągała na deszcz i później tak energicznie szorowała pachnącym pomarańczowym mydłem.

–Jest wielkie jak dwie góry albo trzy... olbrzymie – szepnął Neil. Zrobił na piersi znak krzyża – od czoła do piersi, od lewego barku do prawego – czego nie widziała u niego od lat.

Nagle bardziej poczuła niż usłyszała potężne, basowe, powolne dudnienie, zagłuszone przez ryk ulewy.

–...żeby was przesiać jak pszenicę...* [Łukasz 22, 31, *Biblia Tysiąclecia*] – wymamrotał Neil.

Słowa te, dziwne i równocześnie niepokojąco znajome, przeniosły jej uwagę z sufitu na męża.

–Co powiedziałaś?

–Jest wielkie.

–Nie, potem. Co powiedziałaś o pszenicy?

–O pszenicy? O czym ty mówisz? – zdziwił się, jakby poprzednie słowa wyrwały mu się bez udziału świadomości.

Ruch na skraju pola widzenia zwrócił uwagę Molly na zegarek

na nocnym stoliku. Jarzące się zielone cyferki zmieniały się szybko i nieprzerwanie, jakby chciały dotrzymać kroku oszalałemu czasowi.

–Neil...

–Widzę.

Cyferki nie przeskakiwały ani do przodu, w kierunku poranka, ani w tył, ku północy. Przypominały raczej strumień obliczeń, przepływających przez ekran komputera.

Molly popatrzyła na zegarek na ręku. Wskazówka godzinowa obracała się w prawo, zgodnie ze zwykłym ruchem wskazówek zegara, odliczając w pół minuty dobę, minutowa – znacznie szybciej – poruszała się w przeciwnym kierunku, i Molly miała wrażenie, że stoi na skale, wystającej z rzeki czasu, a przyszłość odpływa od niej tak samo szybko jak przeszłość.

Tajemnicze basowe pulsowanie – niemal poza granicą słyszalności, ale wyczuwalne we krwi i w kościach – sprawiało, że Molly miała wrażenie, iż jej serce zaczyna puchnąć.

Była to szczególna chwila, nie przypominała niczego, z czym kiedykolwiek spotkała się w życiu, atmosfera była wyraźnie wroga.

Podczas spotkania z kojotami instynkt Molly najwyraźniej rozwiódł się z jej zdrowym rozsądkiem. Wychodząc lekkomyślnie na werandę, kierowała się odruchami.

Teraz jej instynkt i zdrowy rozsądek znów były małżeństwem. Zarówno intuicja, jak i rozum mówiły Molly, że choć istota zjawiska jeszcze się im wymyka, ona i Neil są w poważnych tarapatach.

Molly widziała w oczach męża, że do niego to również dotarło. Przez lata, które wspólnie przeżyli, służąc sobie nawzajem jako spowiednicy, osiągnęli jedność umysłów i dusz, która często czyniła słowa zbędnymi.

Wyjęła z szuflady nocnej szafki pistolet. Zawsze był naładowany, mimo to wysunęła magazynek, by sprawdzić, czy nie brakuje w nim ani jednego naboju. Mignął mosiądz. Wszystkie dziesięć sztuk amunicji było na swoim miejscu.

Zatrzasnęła magazynek i położyła broń na toaletce, obok szczotki, żeby w razie potrzeby była pod ręką.

Po przeciwległej stronie sypialni, na komodzie, stała kolekcja sześciu antycznych pozytywek, które odziedziczyła po matce. Nagle zaczęły wydawać z siebie stalowe brzęki i dzwonienia: w hałaśliwym dysonansie splatało się sześć różnych melodii.

Stojące na wieczkach dwóch pozytywek figurynki zaczęły się poruszać. Na jednej para w wiktoriańskich galowych strojach tańczyła walca, na drugiej kręcił się w kółko karuzelowy koń.

Kakofonia brzękliwych tonów szarpała nerwy i zdawała się przecinać czaszkę jak chirurgiczny nóż.

Znane od dzieciństwa przedmioty, stanowiące część życia Molly, w jednej chwili stały się obce i wrogie.

Neil przez chwilę obserwował maleńkich tancerzy i konia i również sprawiał wrażenie wytrąconego z równowagi. Nie podszedł jednak do komody, aby wyłączyć pozytywki.

Zamiast tego odwrócił się znów do okna, nie po to jednak, aby je otworzyć, co jeszcze tak niedawno zamierzał zrobić. Zamknął zasuwkę, którą wcześniej odsunął.

Kiedy pospiesznie wciągali dżinsy i bluzy, Molly opowiedziała mężowi o kojotach.

Ponure dudnienie deszczu, natrętne brzęczenie pozytywek i tajemnicze pulsowanie tworzyły podkład muzyczny o niespójnej melodii, który sprawiał, że opowiadanie Molly brzmiało bardziej złowieszczo, niż to wyglądało w rzeczywistości. Usiłowała – choć było jasne, że jej się to nie uda – przekazać Neilowi uczucie nabożnego zachwytu, które ją wtedy ogarnęło.

Siedząc na stołku przed toaletką i próbując opisać więź z przyrodą, jaką czuła, stojąc wśród kojotów, zakładała nieprzemakalne buty do chodzenia po górach. Ręce jej drżały i musiała przez dłuższą chwilę walczyć ze sznurowadłami, ale w końcu udało się je zawiązać.

Cały czas mówiąc, wzięła do ręki szczotkę, leżącą obok pistoletu. Choć zdawała sobie sprawę z absurdalności wszelkich prób negocjowania dziwności tej chwili przez skupianie się na zwykłych, codziennych sprawach, popatrzyła w lustro, na swoje potargane włosy.

Jej odbicie było normalne, ale wszystko poza nim wyglądało zupełnie inaczej. W lustrze nie znajdowała się w przytulnej, oświetlonej i schludnej (jeżeli nie brać pod uwagę rozrzuconej pościeli) sypialni, lecz w jakimś brudnym i zniszczonym pomieszczeniu.

Przerwała zdanie w pół słowa i wypuściła z ręki szczotkę. Odwróciła się, aby popatrzeć na zmieniony pokój, okazało się jednak, że jest taki sam jak zawsze.

Wyjątkiem był tylko zegarek stojący na nocnej szafce. Chaotyczne szeregi świecących zielonych cyferek w dalszym ciągu przesuwaly się po wyświetlaczu.

W lustrze wszystkie ściany pokoju pokrywał mech albo pleśń. Stała w nim tylko jedna lampa, jej abażur był przekrzywiony i zbutwiały. Przez wezglowie połamanego łóżka pelzły pnącza, zbyt mięsiste, aby mogły pochodzić z otaczających dom gór, szarozielone, błyszczące wilgocią liście przypominały wywieszane języki.

Molly znów poczuła chęć powrotu do łóżka – mogłaby wtedy spróbować uwierzyć, że wcale nie wstała i nie zeszła na dół, lecz w dalszym ciągu śpi. Dziwny deszcz i niezwykłość całej sytuacji – od kojotów po odbicie w lustrze toaletki – byłyby bardziej zrozumiałe, gdyby okazały się sennymi marzeniami.

Neil podszedł bliżej, zdziwiony jej zachowaniem, i wyciągnął rękę, aby dotknąć lustra, jakby spodziewał się, że odbity w nim obraz okaże się trójwymiarową rzeczywistością, światem za lustrem.

Molly zatrzymała jego dłoń.

–Nie...

–Dlaczego?

–Bo...

Nie było żadnego logicznego powodu, by go powstrzymać, czuła jednak przesądny lęk przed tym, co się mogło zdarzyć, kiedy jego palce zetkną się z posrebrzaną powierzchnią lustra.

Neil dotknął lustra drugą dłonią. Szkło okazało się twarde jak zwykle.

Nagle coś poruszyło się w sypialni we wnętrzu lustra. Był to poskręcany ciemny kształt, który tak szybko przemknął w poprzek lustra i zniknął, że mógł to być człowiek w pelerynie, człowiek z przezroczystymi skrzydłami albo cokolwiek innego.

Z westchnieniem zaskoczenia Neil szybko cofnął dłoń, jakby to, co było po drugiej stronie, mogło przedostać się na drugą stronę.

W tym samym momencie Molly odwróciła się gwałtownie i skoczyła na równe nogi, w absurdalny sposób przekonana, że coś przeszło przez warstwę szkła i rtęci. Do pokoju nie wdarł się jednak żaden niepożądany gość.

Popatrzyła na zegarek na szafce i zobaczyła, że cyferki przestały się przewijać. Była godzina 2:44.

Wskaźniki na cyferblacie jej ręcznego zegarka również przestały wirować. Pokazywały tę samą godzinę co zegarek elektroniczny: 2:44.

Pozytywki zamilkły.

Miniaturowy koń znieruchomiał z cichym brzęknięciem, tańczące figurki zamarły w pół kroku.

Molly poczuła, że ogromny ciężar – realny lub wyimaginowany – który wisiał nad ich głowami niczym gigantyczny miecz Damoklesa, zniknął.

Nie całkiem słyszalne, ale wyraźnie odczuwalne pulsacje dźwięku przestały przeszywać ją falami dygotu.

–Lustro – powiedział Neil.

Odbicie ukazywało pokój, w którym naprawdę się znajdowali. Nie było w nim ścian pokrytych pleśnią, niczego nie oplatała winorośl.

Neil popatrzył na sufit i podszedł do okna. Patrzył nie tyle na otaczający dom las, co na zachmurzone niebo, z którego cały czas potężnymi strugami lał się deszcz.

–Zniknęło – oświadczył.

–Coś czułam – przyznała Molly. – Co... co to było?

–Nie mam pojęcia.

Neil był wobec niej szczery – tak samo jak ona wobec niego.

Ukształtowała ich kultura tęskniąca za międzygalaktycznym kontaktem, podstawą nowej wiary, w której Bóg był jedynie rezerwowym. Wszyscy znali doktryny tej pseudoreligii lepiej niż słowa *Ojciec Nasz*: nie jesteśmy sami... obserwujcie niebo... gdzieś tam jest

odpowieź... Zostali zeszpilbergowani, zlukasowani i zszyjamalanowani *[Ostatnie określenie odnosi się do amerykańskiego reżysera hinduskiego pochodzenia, M. Nighta Shyamalana, który wyreżyserował takie filmy jak *Szósty zmysł*, *Znaki* i *Osada*]. Tysiące filmów i programów telewizyjnych oraz dziesiątki tysięcy książek przekonywało świat, że współcześni magowie nie będą wędrować na wielbłądach do Betlejem, ale mobilnymi laboratoriami z antenami satelitarnymi na dachach będą docierać do miejsc lądowania UFO, a zbawienie ludzkości nie przyjdzie z Królestwa Niebieskiego, lecz z innej planety.

Molly знаła znaki, przewidywane przez Hollywood i pisarzy science fiction. Neil także je znał.

Tej wrześniowej nocy ciemność szczelnie otuliła Strefę Bliskiego Spotkania. Jedynym źródłem cudów była tutaj technologia z kosmosu.

Molly nie chciała mówić o tym głośno, Neil najwyraźniej też nie. Udawanie zdziwienia wydawało się bezpieczniejsze od otwartości.

Może ich milczenie wynikało z tego, że Hollywood sugerowało dwa możliwe scenariusze: jeden, w którym przybysze z kosmosu są łagodnymi bogami, oraz drugi, w którym okazują się okrutni i wrogo nastawieni do ludzi. Jak na razie ostatnie wydarzenia w niczym nie przypominały rodzinnej rozrywki bez ograniczeń wiekowych.

Neil w końcu odwrócił się od okna.

–Nie przypuszczam, żebyśmy tego potrzebowali, ale... przyniosę strzelbę.

Mając w pamięci ledwo widoczną, poskręcaną ciemną postać, która przemknęła

przez zapleśniały pokój w lustrze, Molly wzięła do ręki pistolet.

–A ja wezmę trochę zapasowej amunicji do niego.

Strzelba wraz z zapasem amunicji leżała na stole w kuchni, a obok niej pistolet, drugi magazynek i pudełko naboju kalibru 9 milimetrów.

Plisowane zasłony w kuchni i sąsiadującym z nią salonie odcinały ich od widoku – niestety nie od wszechobecnego szumu – świecącego deszczu.

Molly nie mogła się pozbyć wrażenia, że otaczający ich las, do tej pory wypełniony przyjazną zielenią, kryje teraz w sobie nieznanymi, wrogimi obserwatorami. Neil najwyraźniej podzielał tę paranoję, bo pomógł żonie opuścić zasłony.

Podejrzewali, że tajemnicze siły, działające tej mokrej nocy, nie ograniczyły swej aktywności do okolicznych gór. Równocześnie sięgnęli po pilota, ale Neil okazał się szybszy.

Stali przed wielkim telewizorem i patrzyli, zbyt podnieceni, aby usiąść.

Odbiór nie był dobry. Na niektórych kanałach przekaz był tak zanieczyszczony elektronicznym śniegiem, że widać było jedynie przypominające duchy kontury. Fonia również pozostawiała wiele do życzenia.

W jednej z całodobowych sieci informacyjnych dźwięk był lepszy, a obraz w miarę wyraźny i tylko od czasu do czasu przeskakiwał i migotał.

Czytająca wiadomości młoda kobieta – Veronica jakaś tam – była miłusia jak gwiazdka filmowa. Miała chciwe oczy, a jej uśmiech przypominał uśmiech manekina.

Komentowała wydarzenia na zmianę z młodym mężczyzną, Jackiem, który gdyby nie poszedł na dziennikarstwo i nie zrobił specjalizacji z emisji programu telewizyjnego, mógł zostać znakomitym modelem bielizny Calvina Kleina. Jego szybko pojawiający się i jeszcze szybciej znikający uśmiech ukazywał wybielane zęby, kanciaste jak u krowy.

Wojna, polityka, przestępczość, a nawet plotki z życia hollywoodzkiej elity – wszystko to zostało całkowicie wyparte przez szaleńczą pogodę o bezprecedensowej gwałtowności.

W ciągu nocy nad morzem z niesamowitą prędkością ukształtował się największy w historii niespodziewany front burzowy, który przeszedł wzdłuż całego Zachodniego Wybrzeża wszystkich Ameryk – Południowej, Środkowej i Północnej.

Zewsząd napływały informacje o dziwnie pachnącym deszczu, osiagającym sto, sto dwadzieścia, a nawet sto pięćdziesiąt milimetrów na godzinę. W ciągu kilku godzin

nisko położone miasta – od Argentyny po Alaskę – zaczęła zalewać woda.

Przekazy satelitarne na żywo z różnych miast, czasami niezbyt wyraźne albo ziarniste, ukazywały samochody i ciężarówki, pływające ulicami zamienionymi w kanały. Rodziny na dachach do połowy zalanych domów. Nasączone wodą zbocza wzgórz, osuwające się w potokach błota.

Na każdym ujęciu świecący deszcz migotał jak drobiny czystego srebra wszyte w gobelin, więc Argentyna i Alaska oraz wszystkie miejsca między nimi przypominały widmowe krajobrazy widywane w sennych marzeniach.

Molly nigdy nie lubiła oglądać katastroficznych wiadomości. W relacjach z przytrafiających się ludziom nieszczęść nie widziała ani wartości intelektualnej, ani rozrywkowej. Każdego innego dnia odwróciłaby się od telewizora, teraz jednak czuła, że jej przyszłość jest związana z losem ukazywanych na ekranie obcych ludzi.

Niedawno ulewne deszcze zaczęły padać także w Europie. W Azji. W Afryce. Z wysuszonego Bliskiego Wschodu, nawet z rozprażonych piasków Arabii Saudyjskiej nadchodziły informacje o niezwykle ulewnym deszczu. Wkrótce spodziewano się kolejnego materiału filmowego.

Nic w wiadomościach nie dawało podstaw do optymizmu, ale Veronica i Jack trzymali się twardo najważniejszej zasady dziennikarstwa telewizyjnego: nawiąż z widownią kontakt, bądź miły i stań się osobą dobrze widzianą w domach, autorytatywną, ale sympatyczną, poważną, ale zabawną.

Żadne z tej dwójki nie potrafiło ukryć podniecenia. Mimo iż z racji młodego wieku przydzielono ich do cmentarnej zmiany, nagle znaleźli się na antenie w chwili, gdy zaczęły napływać wiadomości najwyższej wagi. Z minuty na minutę ich widownia wzrosła z jakichś stu tysięcy bezsennych telewidzów do milionów, niemogących oderwać od nich oczu. Niemal było słyhać, jak oboje obliczają, o ile przyspieszy ich kariera dzięki temu szczęśliwemu zbiegowi okoliczności.

Choć istota kryzysu nadal pozostawała niejasna, doniesienia z terenu rekompensowały to dramaturgią przedstawianych wydarzeń.

Sześć godzin wcześniej, przed dotarciem deszczu do wybrzeży obu Ameryk, załoga francuskiego statku badawczego, znajdująca się trzysta mil morskich na południe od Tahiti, była świadkiem nagłego powstania potężnej trąby wodnej. Utworzyła się ona jakieś trzy mile morskie od prawej burty statku i z ogromną prędkością zaczęła się rozrastać, aż dotykający powierzchni wody dół trąby osiągnął średnicę mniej więcej sześciuset metrów.

Amatorski film, nakręcony kamerą cyfrową przez jednego z członków załogi i przekazany za pomocą łącza satelitarnego, jakim dysponował statek, ukazywał twór

o przerażającej wielkości. Znajdujący się na pokładzie statku naukowiec oszacował przypominające tornado zjawisko na pięć kilometrów średnicy – jego wysokości nie mógł określić, bo ginęło w chmurach.

–Boże drogi... – szepnął Neil.

Na filmie ani morze, ani potężna kolumna wody nie świeciły.

Ale niezwykle deszcz, dudniący za zasłoniętymi oknami, musiał mieć jakiś związek z gigantyczną trąbą, udokumentowaną na wideo na dalekim południowym Pacyfiku. Choć Molly i Neil nie wiedzieli, na czym ten związek polega, niezwykłość tych wszystkich wydarzeń potęgowała ich lęk.

W telewizorze szalejący na Pacyfiku wir wypluł złą pogodę. Dzień nagle zamienił się w wieczór, jakby Bóg przyłożył ciężki palec do niebiańskiego reostatu. Wielkie pazury błyskawic wbiły się w ocean.

Gdyby obraz wideo ukazywał cokolwiek, z czym dałoby się porównać wodny komin, zjawisko wyglądałoby jeszcze bardziej przerażająco. Molly bez trudu mogła wyobrazić sobie strach kamerzysty, gdy trąba ruszyła na jego statek.

Kiedy błyskawice trafiły w czarną powierzchnię, morze uniosło się i wystrzeliło, jakby wstrząsnęły nim ból i wściekłość. Statek spadł w przerażający rów, w ogromną wodną przepaść.

Jego dziób wbił się w dno rowu. Tony wody przeleciały przez reling i rozbiły się o pokład.

Kamerzysta został uderzony falą, która podcięła go. Udało mu się jednak utrzymać równowagę i na sztywnych nogach uciekł z odsłoniętego pokładu w chwili, gdy statek gwałtownie zadygotał i zaczął się wspinać na zbocze gigantycznej fali.

Na ekranie pojawiła się ponownie reporterka o filmowej urodzie, Veronica, informując, że po przekazaniu wyemitowanego właśnie filmu kontakt z francuskim statkiem się urwał.

Jack, prowadzący razem z nią program, wyraził troskę o los załogi i z idiotycznym przekonaniem dodał, że na pewno nic im się nie stało, ponieważ „chłopcy ze statków badawczych naprawdę umieją sobie radzić na morzu”.

Uśmiechając się jak drewniana lalka brzuchomówcy, Veronica wyznała, że jeden semestr w college'u spędziła na statku, uczestnicząc w specjalnym programie.

Molly miała ochotę wrzasnąć na nią, jakby jej głos mógł dotrzeć do Nowego Jorku albo Waszyngtonu, czy gdzie tam znajdowały się

studia tej stacji. Chciała zmusić prezenterów do porzucenia pełnej samozadowolenia dziennikarskiej obojętności, która zawsze wydawała jej się wyrazem poczucia wyższości i emocjonalnego tumiwisizmu, udającego profesjonalizm.

Personel wojskowy „Ronalda Reagana”, amerykańskiego lotniskowca, znajdującego się trzysta mil morskich na zachód od Japonii, nakręcił kolejny film wideo i przekazał go za pomocą satelity. Dokumentował on zdumiewająco szybkie powstawanie gęstej pokrywy chmur na czystym niebie.

Zaraz potem w trzech różnych miejscach, wszystkich w zasięgu wzroku marynarzy lotniskowca, utworzyły się trąby wodne. Ich średnica gwałtownie rosła, aż w końcu każda z nich stała się większa od tornada zarejestrowanego na wideo przez Francuzów. Oficer, który z pokładu lotniskowca komentował te niezwykle obrazy, nie potrafił zapanować nad drżeniem głosu.

Także i w tym przypadku ani na morzu, ani w wirujących kominach nie było śladu świecenia, charakteryzującego spadający na kontynenty deszcz.

Doniesienia o gigantycznych trąbach wodnych napływały również z innych statków płynących po Atlantyku i Morzu Śródziemnym, choć nie towarzyszyły im nagrania wideo.

Najwyraźniej czytając z telepromptera, Veronica pedantycznym tonem, świadczącym jednak o tym, że chce się przypodobać, powiedziała:

–Choć trąby wodne wyglądają jak rury, składają się z mgły i piany i wcale nie są tak wspaniałe, jak się wydaje.

–W każdym razie – włączył się Jack – technicy z pokładu „Ronalda Reagana” za pomocą skomplikowanej analizy komputerowej dopplerowskich obrazów radarowych stwierdzili, że obserwowane przez nich trąby nie pasują do żadnego znanego modelu tego zjawiska. Są tworamiprzypominającymi ciało stałe, a doktor Randolph Templeton, meteorolog z Narodowej Służby Pogodowej, który dołączył do nas w studiu przed kilkanaście minutami, ocenia, że każdy z tych kominów wysysa z oceanu około czterystu tysięcy litrów wody na minutę.

–Więcej – oświadczył Templeton, który również pojawił się na ekranie. – Przynajmniej dwa razy tyle. – Doskonale wiedział, że nie należy się przy tym uśmiechać.

W jego oczach widać było umiarkowane zaniepokojenie profesjonalisty.

Potrzebując dotyku Neila, Molly położyła mu dłoń na ramieniu, ale uspokoiło ją to znacznie mniej niż zwykle.

Marszcząc czoło, Jack poważnym głosem spytał doktora Templetona, czy zjawiska te są wynikiem ocieplania się klimatu.

–Większość meteorologów nie wierzy w globalne ocieplenie się klimatu – odparł naukowiec z lekką irytacją. – Przynajmniej w takie, które nie ma naturalnego i cyklicznego charakteru.

Stwierdzenie to zbiło z tropu młodych redaktorów i zanim realizator programu zdążył szepnąć im do słuchawek odpowiednie pytanie, oboje równocześnie popatrzyli na sufit studia.

–W Waszyngtonie zaczął właśnie padać ulewny deszcz – powiedziała Veronica.

–Bardzo ulewny – dodał Jack. Najwyraźniej realizator szepnął im coś do ucha, bo Jack odwrócił się do meteorologa. – Ale przecież wszyscy wiedzą o działaniu gazów cieplarnianych, doktorze Templeton...

–To, co wszyscy wiedzą, to bzdury – przerwał mu naukowiec – i jeżeli chcemy sobie poradzić z tym, co się dzieje, potrzebujemy analizy opartej na rzetelnej wiedzy, a nie na...

Neil zaczął wciskać klawisze pilota, aż znalazł jedną z największych sieci, która z opóźnieniem doszłusowała do obsługi kryzysu, niczym dołączający do sfory rekin, który ma nadzieję, że jeszcze nie wszystko zostało zjedzone.

Prowadzący był starszy od pary z poprzedniej stacji i bardziej znany. Przeprowadzając wywiad ze specjalistą od analizy danych satelitarnych, puszył się w poczuciu własnej ważności.

Zgodnie z informacją, umieszczoną na pasku u dołu ekranu, był nim doktor Sanford Nguyen. Pracował dla tej samej agencji rządowej, która zatrudniała Randolpha Templetona, dyskutującego właśnie

\na innym kanale z Jackiem i Veronica o globalnym ocieplaniu się klimatu.

Komentatorowi z pewnością również podrzucał pytania realizator i zespół naukowców, ale sływały mu z warg tak gładko, jakby sam był znawcą orbitalnych systemów pozyskiwania danych.

Doktor Nguyen oświadczył, że trzy godziny przed dostrzeżeniem niezwykłych trąb wodnych wszystkie orbitujące stacje Narodowej Służby Pogodowej i innych agencji federalnych oślepyły. Wyglądało na to, że satelity prywatnych korporacji, wyposażone w wysokiej jakości sprzęt fotograficzny, także przestały funkcjonować. Nie dysponowano żadnymi wykonanymi z dużych wysokości fotografiami ani radarowymi obrazami trąb wodnych, na podstawie których można by spróbować

wywnioskować, dlaczego i w jaki sposób doszło do ich powstania.

–A co z satelitami wojskowymi i urządzeniami do śledzenia rakiet? – zapytała ze zdziwieniem Molly. – Co z satelitami szpiegowskimi?

–Też je pewnie oślepieno – mruknął Neil.

W telewizji prowadzący pytał właśnie doktora Nguyena, czy obwody tych wszystkich latających w kosmosie oczu mogły zostać zablokowane przez wybuch promieniowania kosmicznego albo niezwykle intensywną aktywność plam na Słońcu.

–Nie – odparł zdecydowanie Nguyen. – Nie da się tego tym wyjaśnić. Anomalie pogodowe, jakie obserwujemy, nie były poprzedzone promieniowaniem kosmicznym ani pulsacją magnetyczną, ale jestem pewien, że cokolwiek oślepiło nasze satelity, jest także przyczyną powstawania trąb wodnych i burz.

Komentator zmarszczył brwi, próbując przyjąć najpoważniejszą minę, jaką miał w repertuarze.

–Doktorze Nguyen, czyżbyśmy wobec tego byli świadkami konsekwencji globalnego ocieplenia klimatu?

Mina Nguyena sugerowała pogardę oraz zdumienie, jakby zadawał sobie pytanie: „Co ja tu robię?”.

–Dlaczego przestały działać tylko satelity obserwacyjne? – zapytała Molly, wskazując na telewizor. – Najwyraźniej satelity komunikacyjne w dalszym ciągu działają.

–Prawdopodobnie wolą, abyśmy tego nie widzieli, ale poinformowali nas, co się dzieje, ponieważ strach ogłupia – odparł Neil. – Może chcą, żebyśmy się bali, kulili ze strachu i byli ulegli.

–Oni?

Neil nic na to nie odpowiedział.

Molly wiedziała, kogo ma na myśli, on zaś wiedział, że został dobrze zrozumiany, a jednak żadne z nich nie chciało o tym mówić. Jakby nazwanie wroga oznaczało zgodę na dopuszczenie do siebie przerażenia, którego nie będą w stanie opanować.

Neil odłożył pilota, odwrócił się od telewizora i ruszył do kuchni.

–Idę zrobić kawę.

–Kawę? – powtórzyła z niedowierzaniem Molly.

Ta prosta domowa czynność wydała jej się dowodem całkowitego psychicznego wyparcia, reakcji niegodnej wspaniałego mężczyzny, za którego wyszła.

–Nie przespaliśmy całej nocy – wyjaśnił Neil. – Może będziemy musieli przez długi czas czuwać. Kawa nam pomoże. Lepiej ją zrobię, póki mamy prąd.

Molly popatrzyła na telewizor i lampy. Nie przyszło jej do głowy, że może zabraknąć prądu.

Myśl, że stracą światło i pozostanie jedynie upiorne świecenie dziwnego deszczu, sprawiła, że poczuła przebiegający po plecach dreszcz.

–Zbiorę latarki i zapasowe baterie – powiedziała.

W całym domu były porozkładane latarki, podłączone do tkwiących w gniazdkach ładowarek. Miały im pomóc odnajdywać drogę w przypadku, gdyby trzęsienie ziemi przerwało dopływ prądu i trzeba się było przebijać przez pokoje, zablokowane poprzewracanymi meblami.

Neil popatrzył na nią. Był bardzo blady.

–Nie, Molly. Od tej chwili żadne z nas nie będzie nigdzie chodziło samo. Zbierzemy latarki później, razem. Teraz zrobimy kawę. I kanapki.

–Nie jestem głodna.

–Mimo to zjemy.

–Ale...

–Nie wiemy, co nas czeka. Nie wiadomo, kiedy będziemy mieli okazję znowu zjeść... w spokoju.

Wyciągnął do niej rękę.

Był najprzystojniejszym i najbardziej pociągającym mężczyzną, jakiego kiedykolwiek spotkała. Gdy ujrzała go po raz pierwszy, ponad siedem lat temu, stał w różnokolorowym świetle przesianym przez witraż, uśmiechał się ciepło, a jego twarz była tak doskonała i oczy tak łagodne, że przez chwilę myślała, że widzi naturalnej wielkości figurę, przedstawiającą świętego Jana.

Ujęła jego dłoń, cała drżąca ze strachu i nieopisanie wdzięczna losowi, że pozwolił jej go spotkać i połączyć się z nim w małżeństwie.

Wziął ją w ramiona, a ona mocno się do niego przytuliła.

Przyciskając ucho do piersi Neila, słuchała bicia jego serca. Uderzało mocno, z początku szybciej niż zwykle, zaraz jednak rytm się uspokoił.

Serce Molly dopasowało się do serca męża.

Stal ma wysoką temperaturę topnienia, podwyższa się ona jednak znacznie, kiedy do stopu doda się tungstenu. Wełna kóz kaszmirskich jest wytrzymałym włóknem, ale domieszka jedwabiu sprawia, że staje się jeszcze bardziej wytrzymała i zapewnia użytkownikowi więcej ciepła niż każde włókno osobno.

Molly już w młodym wieku nauczyła się sama utrzymywać na barkach cały ciężar, jaki świat na nią zwał. Dopóki miała Neila, mogła wytrzymać nie tylko wszystkie okropności tego świata, ale także te, które nadejdą z innych.

Choć kuchnię i salon wypełniał aromat kawy, Molly wydawało się, że czuje przenikający przez ściany delikatny zapach deszczu.

Siedzieli na podłodze przed telewizorem, strzelba i pistolet leżały tak, aby bez trudu można było do nich sięgnąć, i jedli kanapki z kurczakiem, przegryzając chipsami.

Molly z początku nie miała apetytu, ale po pierwszym kęsie okazało się, że ma wilczy.

Jeszcze nigdy w życiu nie jadła niczego tak dobrego. Kurczak okazał się bardziej soczysty, majonez bardziej kremowy, pikle bardziej pikantne, a chipsy bardziej chrupkie od wszystkich, jakie jadła dotychczas. Również każdy zapach był znacznie mocniejszy.

Może w tak samo intensywny sposób doświadcza zapachów i tekstur jedzenia każdy więzień w celi śmierci, spożywający ostatni posiłek przed egzekucją.

W telewizji widać było niebieski śnieg, padający w Alpach Francuskich, w górach Kolorado i na ulicach Moskwy. Wszystko wyglądało, jakby było posypane srebrnym pyłem, używanym do zdobienia bożonarodzeniowych kartek.

Kopuły i minarety Kremla przypominały jakąś baśniową scenerię. Migoczące cienie na migoczących bulwarach i skrzących się placach

zdawały się kryć elfy, skrzaty i inne baśniowe stwory, które w każdej chwili mogły się ukazać, tańcząc i wykonując napowietrzne akrobacje.

Eteryczne piękno pełnego srebrnych cekinów śniegu sugerowało, że cokolwiek się wydarzy, nie może być całkowicie złe.

W Denver, choć jeszcze nie zaczęło świtać, dzieci szalały na ulicach, obrzucały się śnieżkami, wyciągnięte z domów przez niezwykłą świecąca śnieżycę.

Ich pełne zachwyty melodyjne śmiechy sprawiły, że jeden z obecnych na miejscu reporterów również się uśmiechał.

–Kolejny szczegół dotyczący tego niezwykłego zjawiska:

śnieg pachnie wanilią – powiedział.

Molly zastanawiała się, czy dziennikarz miał wystarczająco czuły węch, aby wyczuć mniej powabny zapach -jeżeli taki zapach w ogóle pojawił się w Denver.

–To wanilia zmieszana z pomarańczami – dodał reporter.

Być może także u nich, w górach San Bernardino, deszcz nie pachniał już tym, czym pachniał, kiedy Molly wyszła na werandę, do kojotów. Może tak samo jak w Kolorado tutejsza noc również była pełna zapachowych uroków z kuchni cukiernika.

Reporter odwrócił się i polecił kamerzyście, by pokazał okoliczną panoramę, po czym omiół ramieniem zimowe otoczenie: otuloną śniegiem ulicę, zimozielone gałęzie pełne szafirowego puchu, ciepłe bursztynowe światła w domach, otulone błękitną niezwykłością.

–Wszystko wygląda niesamowicie pięknie – powiedział. – Przypomina to scenę z doktora Seussa, ukazującą ulicę w Whoville, tyle że bez Grincha.

Kamerzysta skończył zakreślać półkole i zatrzymał się na grupie rozbawionych dzieci.

Jedna z dziewczynek – może siedmioletnia – trzymała w ubranej w rękawiczkę dłoni śnieżkę.

Zamiast nią w kogoś rzucić, polizała ją, jakby był to modny ostatnio smakołyk ze struganego lodu i aromatyzowanego soku

owocowego, sprzedawany podczas parad karnawałowych i w wesołych miasteczkach. Uśmiechnęła się do kamery, ukazując zabarwione na niebiesko zęby.

Nieco starszy chłopiec, zainspirowany przykładem, ugryzł kawałek swojej śnieżki. Wyraźnie mu smakowała.

Scena ta bardzo poruszyła Molly. Gdyby jeszcze jadła, na pewno odłożyłaby kanapkę.

Pamiętała wrażenie brudu, kiedy deszcz zmoczył jej dłoń. Nigdy nie uniosłaby głowy ku niebu i nie otworzyła ust, aby napić się deszczówki.

Widok jedzących śnieg dzieci zaniepokoił również Neila. Wziął pilota i zaczął szukać innych wiadomości.

Nie mogąc pozbyć się obrazu dzieci jedzących błękitny śnieg, Molly chodziła po pokoju jak wilk po klatce i piła zbyt dużo kawy.

Neil siedział na podłodze i od czasu do czasu zmieniał pilotem kanały.

Coraz więcej stacji było za słabo odbieranych, aby dało się cokolwiek zobaczyć. Coraz więcej całkiem zanikało.

Dwa razy natknęli się na kanał, ukazujący skrzące się różnokolorowe mozaiki. Choć wzory miały symetryczne, kalejdoskopowe kształty, ich kontury były nieostre. Składały się z samych krzywych i sinusoid, było ich nieskończenie wiele i sugerowały, że coś znaczą.

Obrazom tym towarzyszyły oscylujące elektroniczne dźwięki, które Molly słyszała w telefonie: piski, po których następowały basowe pulsujące dźwięki, a po nich przenikliwe wycia.

Nagle wszędzie pojawili się oficjele rządowi i choć starali się brzmieć autorytatywnie, wyglądali na zaniepokojonych i zdezorientowanych, jeśli nie na przestraszonych. Sekretarz Ministerstwa Bezpieczeństwa Wewnętrznego, różni urzędnicy z Federalnej Agencji Zarządzania Kryzysowego...

Co godzina pojawiały się informacje o dziesiątkach kataklizmów,

związanych z sytuacją pogodową – z nadmiarem deszczu, który w wielu miejscach osiągał sto siedemdziesiąt milimetrów na godzinę. Wkrótce rzeki zaczęły wylewać z koryt. Zbiorniki retencyjne zapełniały się tak szybko, że bramy powodziowe nie były w stanie zmniejszyć narastającego parcia wody. W Oregonie, kilka godzin po rozpoczęciu deszczu, pękła tama i kilka miasteczek zostało zmytych z powierzchni ziemi.

Choć wyglądało na to, że zagrożony jest cały świat, Molly martwiła się tylko ich własnym domem.

–Co z lawinami mułu?

–Jesteśmy bezpieczni – odparł Neil. – Stoimy na skale.

–Nie czuję się bezpieczna.

–Jesteśmy wysoko... jakieś siedemset metrów nad najwyższym poziomem powodzi.

Było to irracjonalne, ale Molly wydawało się, że gdyby ich dom ocalał, mogliby w

nim przetrzymać nawet koniec znanego im świata – jakby był zamkniętym w pęcherzu, samowystarczalnym wszechświatem.

Kiedy jedli i obserwowali w telewizji rozpadanie się świata, Neil postawił obok siebie na podłodze telefon, który zwykle stał na stoliku przy kanapie. Od czasu do czasu próbował dzwonić do swojego brata Paula, mieszkającego na Hawajach.

Czasami w słuchawce pojawiał się sygnał i komórka Paula dzwoniła na Maui, ale nikt jej nie odbierał. Kilka razy Neil usłyszał oscylującą elektroniczną kakofonię, która akompaniowała kolorowym mozaikom na ekranie telewizora.

Przy siódmej albo ósmej próbie połączenie doszło do skutku. Paul odebrał.

Głos brata wyraźnie poprawił Neilowi nastrój.

Paulie... dzięki Bogu... bałem się, że możesz okazać się na tyle szalony, aby w tym chaosie próbować szukać fali...

Paul zawzięcie surfował, ocean był jego wielką pasją.

Molly złapała pilota i wyłączyła dźwięk w telewizorze.

–Co? – powiedział Neil do słuchawki. – Co?... Tak, u nas wszystko gra. W domu. Pada tak, że może powinniśmy zacząć szukać żywego drzewa i planów budowy arki.

Molly uklękła przed mężem, sięgnęła do aparatu i wcisnęła klawisz GŁOŚNIK. Z północnego wybrzeża Maui doleciał głos Paula:

–...widziałem mnóstwo deszczów tropikalnych, ale żaden z nich nie przypominał tego.

–W telewizji mówią o stu siedemdziesięciu milimetrach na godzinę.

–Jest gorzej - odparł Paul. – Znacznie gorzej. Deszcz jest tak gęsty, że nawet na stojąco można się utopić. Jeśli chce się odetchnąć, do ust wpada więcej wody niż powietrza. Ten deszcz to... waga ciężka, chce nas rzucić na kolana. Zebraliśmy się w budynku sądu. Jest nas prawie setka.

–W budynku sądu? – Neil zmarszczył czoło. – Nie w kościele? Stoi wyżej.

–Sąd nie ma tylu okien i są mniejsze. Łatwiej go ufortyfikować i bronić.

BRONIĆ.

Molly popatrzyła na ich własną broń: strzelbę i pistolet.

W pozbawionej głosu telewizji pokazywano właśnie spektakularne nagranie wideo z jakiegoś miasta, ogarniętego pożarem mimo zalewających ogień mas wody.

–Pierwszy list świętego Piotra Apostoła, rozdział czwarty, wers siódmy - powiedział Paul. – Nie masz takiego wrażenia, bracie?

*–Szczerze? Dla mnie to jak **Bliskie spotkania** - przyznał Neil, wreszcie wypowiadając głośno to, czego ani on, ani Molly nie chcieli do tej pory nazwać. – Kto wie, do czego to ostatecznie zdąża...*

–Ja wiem - odparł pewnie i spokojnie Paul. – Z najlepszą wolą pogodziłem się już z wszelkim cierpieniem, lękiem i zgryzotą, jakie mogą przyjść.

Molly rozpoznała w tych dość pompatycznych słowach parafrazę

modlitwy *Codziennie pogodzenie ze śmiercią*, jednej z modlitw wieczornych.

–Nie będzie tak, Paulie – powiedziała. – Chyba jest w tym... nie wiem... także coś pozytywnego.

–Uwielbiam twój słodki głos - odparł Paul. – Zawsze dostrzeżesz w huraganie tęczę.

–Cóż... życie nauczyło mnie optymizmu.

–Masz rację. Śmierć nie jest czymś, czego należałoby się bać, prawda? To tylko nowy początek.

–Nie, nie to miałam na myśli. – Opowiedziała o kojotach na werandzie. – Chodziłam między nimi. Były takie potulne... to było niesamowite, Paul.

–Kocham cię, Molly. Zostałaś Neilowi zesłana przez Boga, uszczęśliwiłaś go i wyleczyłaś jego duszę. W pierwszym roku powiedziałem tyle niemiłych rzeczy...

–Nieprawda – zaprotestowała.

Neil ujął jej dłoń i lekko ścisnął.

W telewizji pokazywano inne miasto, w którym szabrownicy rozbijali sklepowe wystawy. Kaskady porozbijanego szkła migotały wcale nie słabiej od cekinowego deszczu.

–Nie czas na kłamstwa, dzieciaku - powiedział Paul. –

Nawet na takie, które mają pocieszyć.

Paul początkowo nie akceptował ich małżeństwa, ale wkrótce przyzwyczał się do nowej sytuacji. Zaprzyjaźnił się szybko z Molly i aż do dzisiaj nie rozmawiali o dawnym antagonizmie.

Uśmiechnęła się.

–W porządku, ojciec Paulu, przyznam się. Bywały momenty, kiedy mnie wkurzałeś.

Paul roześmiał się cicho.

–Jestem pewien, że Boga też. Dawno temu poprosiłem go o wybaczenie, a teraz proszę ciebie.

Głos uwiązał Molly w gardle. Najchętniej odłożyłaby słuchawkę. Wiedziała, co oznaczają te słowa. To było pożegnanie.

Paulie... jesteś także moim bratem. Nawet nie wiesz, jak bardzo cię cenię.

–Wiem. Oczywiście, że wiem. Wiesz co, mała? Thalia byłaby dumna z twojej ostatniej książki.

–Słodka melodia, dobry rytm, ale niezbyt głębokie obserwacje – odparła.

–Nie. Przestań się katować. Jest w niej ta sama mądrość co w najlepszych rzeczach twojej matki.

Do oczu Molly napłynęły łzy.

–Paulie... sam mówiłeś, że nie czas na kłamstwa...

–Nie skłamałem.

W kierunku kamerzysty zaczął biec milczący tłum ludzi o oszalałych oczach. Zdawali się w przerażeniu przed czymś uciekać.

–Słuchajcie, muszę iść - powiedział Paul. – Nie zostało nam chyba dużo czasu.

–Co się u was dzieje?

–Kilka minut przed twoim telefonem skończyłem odprawiać mszę. Ale nie wszyscy zebrani tu ludzie są katolikami, więc potrzebują innego rodzaju pociechy.

Kamerzysta na ekranie został przewrócony przez spanikowany tłum. Obraz rozmazał się, jakby kamera zatoczyła gwałtowny łuk, a kiedy znów stał się wyraźny, ukazał stopy widziane z poziomu asfaltu, rozchlapujące błyszczące jak ciemne kamienie szlachetne kałuże i wzbijające w górę świecące fontanny.

Choć głośnik był włączony, Neil mocno ścisnął słuchawkę, jakby chciał w ten sposób utrzymać brata na linii.

–Paulie... co miałaś na myśli, mówiąc, że sądu można lepiej bronić? Przed kim?

Zakłócenia zaburzyły nadchodzącą z Hawajów odpowiedź.

–Paulie? Nie słyszeliśmy cię. Na chwilę przerwało. Czyjego ataku się spodziewacie?

Kiedy głos Paula ponownie do nich dotarł, brzmiał, jakby dochodził z głębokiego wykopu.

–To w większości prości ludzie, Neil. Może ich wyobraźnia pracuje w nadgodzinach albo widzą to, co spodziewają się zobaczyć, a nie to, co mają przed sobą. Ja żadnego nie widziałem.

–Kogo?

Znowu usłyszeli tylko szумы i trzaski.

–Paulie?

Wśród dobiegających z głośnika porwanych, poszarpanych słów, jedno zabrzmiało jak „diabły”.

–Paulie, jeśli połączenie zostanie przerwane, zaraz znowu do ciebie zadzwonimy. Jeśli nam się nie uda, ty dzwoń do nas. Słyszysz mnie, Paulie?

W telewizorze, w mieście identyfikowanym przez napis jako BERLIN, NIEMCY, ostatnie z bezgłośnie poruszających się stóp przemknęły po zalewanym wodą asfalcie, mijając leżącą na ziemi kamerę.

Nagle z dalekiego Maui, wyraźny jakby ktoś mówił z kuchni obok, znowu przypląnął głos Paula Sloane'a:

–...rozdział dwunasty, wers dwunasty. Pamiętasz, Neil?

–Przepraszam, Paulie, ale nie usłyszałem, o jaką księgę chodzi. Możesz powtórzyć?

Z Berlina mokry obiektyw przekazywał zamazany obraz maszerujących po pełnych kałuż ulicach świecących stóp, wzbijających mgiełkę błyszczącą jak diamentowy pył.

Świadomość nadciągającej katastrofy sprawiała, że Molly nie mogła oderwać wzroku od telewizora.

Na ekranie nic więcej się nie działo, tłum przeniósł się gdzie indziej, ale podejrzewała, że towarzyszący obrazowi komentarz musiał informować o czymś ważnym, bo inaczej realizator w studiu przerwałby przekaz.

Trzymała pilota, ale nie wciskała klawisza MUTE, włączającego głos, nie chciała ryzykować, że zagłuszy słowa jej szwagra, jeśli uda mu się jeszcze cokolwiek powiedzieć.

Głos Paula w telefonie wpadł w otchłań, ale kiedy Neil zamierzał odłożyć słuchawkę, linia znów zaczęła działać i Paul jeszcze na chwilę do nich dołączył.

–...pałając wielkim gniewem, świadom, że mało ma czasu *[Apokalipsa św. Jana 12,12, Biblia Tysiąclecia].

W tym momencie połączenie zostało ostatecznie przerwane i ze słuchawki nie dolatywał nawet najcichszy elektroniczny trzask ani pisk.

–Paulie? Paulie, słyszysz mnie? – Neil naciskał widelki, bezskutecznie próbując uzyskać sygnał.

W telewizji, bezgłośnie jak wpływający w ramkę zdjęcia bąbel powietrza, na asfalcie wylądowała ludzka głowa, być może nieszczęsnego kamerzysty, rozcięta od czoła po podbródek na dwie połowy. Upadła na asfalt i rozszerzone przerażeniem oko wpatrzyło się w Molly i Neila.

Aż do dzisiejszego dnia Molly nigdy nie zabierała do toalety naładowanego pistoletu.

Położyła go na żółtych kafelkach obok umywalki, z lufą skierowaną do lustra. Widok broni nie uspokajał, ale sprawiał, że czuła nieprzyjemne drżenie w głębi brzucha.

W sytuacji awaryjnej, gdy nie ma czasu na rozważania, co jest słuszne, a co nie, umiałaby bez wahania pociągnąć za spust. Już raz tak zrobiła.

Perspektywa konieczności strzelenia do kogoś przyprawiała ją jednak o mdłości. Była twórcą, nie zabójcą.

Siedząc na porcelanowej muszli z przyciskiem do spuszczenia wody, modliła się, aby niezależnie od tego, co się wydarzy w najbliższych godzinach, nie musiała bronić się przed innymi istotami ludzkimi. Chciała mieć do czynienia tylko z wrogami tak obcymi ludzkiej rasie, aby nie było wątpliwości, nie było powodu do poczucia winy.

Choć zdawała sobie sprawę z absurdalności tej sytuacji, każde jej skierowane do Boga słowo było szczere, płynęło z głębi duszy i serca. Ironia chwili była zbyt gorzka, aby potrafiła się zdobyć nawet na skrzywiony uśmiech.

Zdecydowała się skorzystać z pozbawionej okien malutkiej łazienki obok kuchni. Zza drzwi, przez szum uderzającego o dach

deszczu, dolatywały brzęki i stuknięcia. To Neil pakował do dwóch toreb-lodówek zapasy jedzenia, które zamierzali wziąć do samochodu.

Każda z jego dwóch karier zawodowych wymagała przewidywania. Obecnie pracował jako stolarz, co nauczyło go, jak ważne jest sporządzanie planów i dokonywanie przed wstępną obróbką materiału dokładnych pomiarów.

Martwił się, że zanim wrócą do domu, zgłodnieją. Ale wydarzenia mogły przybrać taki obrót, że w ogóle nie uda im się wrócić do domu.

Molly nie miała ryzykanckiej natury, była Diogenesem swojego Kolumba, i z żalem opuszczała dom. Jej preferowaną strategią było barykadowanie drzwi, zabijanie okien deskami, podpieranie powiek zapałkami i czekanie, aż kłopoty zapukają do drzwi.

Zdawała sobie jednak sprawę z tego, że decyzja Neila, aby działać, jest mądrzejsza. Cokolwiek mogło przybyć z deszczem lub po nim, byłoby łatwiejszym łupem sami niż wśród innych ludzi.

Zanim umyła ręce, schyliła głowę nad umywalką i ostrożnie wciągnęła nosem parę, unosząc się nad płynącą z kranu wodą. Nie wyczuła zapachu deszczu.

Niesiona burzą deszczówka nie dostała się jeszcze do systemu wodociągowego. Jeżeli się jednak dostała, krążyła teraz w niewidzialnym przebraniu, niewykrywalna.

Zanim Molly wzięła do ręki mydło, przeniosła pistolet na spluczkę toalety – poza zasięg tego, co mogłoby wyłonić się z lustra.

Minęło dopiero kilka godzin od rozpoczęcia się nowej rzeczywistości, a ostrożność stała się już częścią jej natury i Molly zaczęła się zastanawiać, czy jeżeli zwariuje, to w ogóle zauważy ten fakt. Może już zaczynało się z nią coś dziać? Może tak bardzo oddaliła się od racjonalizmu, że nie istniała taka ilość jedzenia, która wystarczyłaby jej na drogę powrotną.

Umyła ręce.

Jej odbicie w lustrze nie było poplamione ani porośnięte dziwną winoroślą czy przecięte od czubka głowy po podbródek, lecz młode, jasnookie i przepelnione rozpacziwą nadzieją.

Zapakowali do stojącego w garażu samochodu torby-lodówki, skrzynkę wody w butelkach i podstawowe środki pierwszej pomocy. Byli przygotowani do podróży po rozmiękłych drogach i przy najgorszej pogodzie.

Molly spakowała także książki matki i cztery swoje, dodając do paczki niedokończoną powieść, nad którą właśnie pracowała. Światy mogły ginąć, ale nie mogło zginąć słowo pisane.

Zbierając siły do opuszczenia domu, stali w salonie i oglądali telewizję.

Kanał po kanale ogarniał chaos. Ponad połowa elektronicznych autostrad była zatkana śniegiem, błyskawicami, kolistymi rozbłyskami, eksplozjami światła i trzeciej generacji duchami ludzi oraz niemożliwymi do zidentyfikowania obiektami.

Jedna trzecia stacji pokazywała pulsujące wzory o intensywnej kolorystyce, wijące się i zmieniające jak w kalejdoskopie. Towarzyszyły im pomruki, posykiwania, bulgot, szczenięcia, piski, gwizdy i trele – ten sam repertuar dźwięków uniemożliwiał także korzystanie z telefonu.

Nie dało się znaleźć żadnych sensownych informacji.

Kilka kanałów nadawało czysty sygnał – obraz i dźwięk były zaskakująco wyraźne. Wszystkie emitowały programy rozrywkowe.

Przez minutę oglądali stary odcinek *Seinfelda*. Widownia – rzeczywista albo wirtualna – śmiała się bez przerwy.

Neil przerzucił kilka kanałów i trafił na teleturniej. Aby wygrać ćwierć miliona i zdobyć szansę na więcej, należało wymienić nazwisko autora zbioru wierszy *Koty*.

–T. S. Eliot – powiedziała Molly.

Odpowiedziała prawidłowo, podejrzewała jednak, że za tydzień

ćwierć miliona dolarów może być warte nie więcej niż gazeta sprzed kilku dni.

Na innym kanale, w czarno-białej nocy Casablanki, Bogart żegnał się z Ingrid Bergman w ogarniętym totalną wojną świecie.

Neil tak dobrze znał ten dialog, że potrafił powtórzyć go słowo w słowo. Bezgłośnie poruszał ustami wraz z aktorami.

Znów zmienił kanał. Cary Grant coraz bardziej nerwowo reagował na nieustanną paplaninę Katharine Hepburn.

Na następnym Jimmy Stewart gawędził z niewidzialnym dwumetrowym królikiem.

Z początku Molly nie mogła pojąć, dlaczego Neil ogląda te stare filmy z takim napięciem i błyskiem w oku. Jeszcze niedawno chciał jak najszybciej znaleźć się w towarzystwie innych ludzi.

Po chwili zrozumiała, że zakładał, iż jeśli Ziemia dostanie się we władanie Obcych, czczących innych bogów, już nigdy nie będzie miał okazji cieszyć się tymi filmami. Żadnymi filmami.

Sama zaczęła zachłannie patrzeć na ekran. Na Gary'ego Coopera, idącego w samo południe zakurzoną ulicą miasteczka na Dzikim Zachodzie, na Toma Hanksa, gumpującego przez życie urzekające prostotą, na Johna Wayne'a z Maureen O'Harą.

Uświadomiła sobie, że wstrzymuje oddech i czuje w klatce piersiowej słodki ból. To, co kiedyś było jedynie wypełniającą czas rozrywką, teraz wydawało się niezwykle piękne i mądre.

Neil przeszedł ze starych filmów na program współczesny – starannie wyreżyserowaną rozrywkę dla prostaków o mylącej nazwie „reality show”, celebrującą brutalność, nagradzającą ignorancję, zwabiającą publikę obietnicą poniżenia i nigdy nie tracącą popularności. Jedna z uczestniczek jadła właśnie blade, wijące się ślimaki.

Na kolejnym kanale piękna, gibka blondynka wykonywała nieprawdopodobne ewolucje szermiercze. Ścięła głowy kilku przeciwnikom, kilku innym wbiła ostrze miecza w oczy, patroszyła ich z

radością, ładniejsza od lalki Barbie, ale tak samo bez serca.

Nagle pilot przestał być urządzeniem pozwalającym na wybór kanałów, bo na wszystkich były same okropności. Wszędzie tryskała krew, zalewała ekran.

Płatna stacja pornograficzna – której nie abonowali, a więc nie powinni jej odbierać – uraczyła ich zbiorowym gwałtem ze wszystkimi szczegółami. Ofiara udawała, że brutalne traktowanie bardzo jej się podoba.

Rozkrzyczani komicy, opowiadający świńskie kawały, wyduszali z widowni obrzydliwy śmiech.

Żaden prześmiewczy film nie mógłby skuteczniej zadrwić z aspiracji ludzkości niż ten pozornie przypadkowy wybór okrutnej rozrywki.

Neil wcisnął na pilocie guzik wyłączenia telewizora, nic to jednak nie dało. Spróbował ponownie – z takim samym skutkiem.

Na ekranie sterowanego przez drwiącą z nich istotę telewizora wciąż pojawiały się szybko zmieniające się sceny brutalnego seksu i straszliwych morderstw. Byli atakowani mrozącym krew w żyłach zlepkiem tego, co w naturze ludzkiej najbardziej zepsute i okrutne.

–To kłamstwo – wymamrotał Neil przez zaciśnięte zęby. – Nie jesteśmy tacy. To nie wszystko, czym jesteśmy.

Niewidzialni władcy eteru nie zgodzili się z tym jednak i na ekranie w dalszym ciągu pojawiały się obrazy przedstawiające zaspokajanie prymitywnej chuci i żądzy krwi – fale audiowizualnych ścieków.

Molly przypomniała sobie artykuł o jednym z hitlerowskich obozów zagłady – Oświęcimiu, Bergen-Belsen albo Dachau – w którym żydowskim więźniom przedstawiano ich dziedzictwo kulturowe jako zdeformowane drzewo, podlewane kłamstwami, żywiące się pracą innych ludzi, o gałęziach poskręcanych przez chciwość. Oprawcy chcieli, aby przed egzekucją więźniowie uwierzyli, że zasługują na karę, i wyrzekli się swej przeszłości.

Nawet architekci zagłady, którzy zaprzędali się złu i już za życia zdeponowali swoje dusze w archiwach piekła, czuli potrzebę uzasadnienia nadużycia władzy. Chcieli wierzyć, że ich ofiary same uznają się za winne i dostrzegą sprawiedliwość masowego morderstwa – co sugerowało, że podświadomie zdawali sobie sprawę ze

swojej nikczemności.

Molly odwróciła się od telewizora i z niepokojem popatrzyła na zasłonięte okna i sufit, zdający się zapadać pod miażdżącym dach ciężarem gwałtownego deszczu.

Czuła, że na stacjach kolejowych zestawiane są właśnie pociągi śmierci. Długie łańcuchy bydlęcych wagonów czekały na załadunek ludzkim towarem, by przewieźć go do masowych grobów, użyźnić szczątkami milionów ludzi rozległe, bujnie kwitnące łąki, mające służyć istotom ślepym na piękno, stworzone przez niezliczone pokolenia *homo sapiens*.

Gdzieś pod dachem coś głośno tąpnęło, po czym zapadła cisza.

Może to tylko gałąź uderzyła w dach. Może po gontach przeturlała się luźna cegła z komina, wypłukana przez deszcz z zaprawy.

A może przez strych wszedł jakiś dziwny gość, który badał teraz przestrzeń pod pokrytymi pajęczynami krokwiemi, szukał klapy w podłodze i opuszczanej drabiny, by zejść na drugie piętro.

–Czas iść – powiedział Neil.

Część druga

Zniszczenie i pustka. Zniszczenie i pustka.

I ciemność na licu otchłani.

T. S. Eliot, chorał ze *Skały*

Nagle uwolnieni od troski o wysokość kolejnego rachunku za elektryczność, zostawili wszystkie światła pozapalane, aby podczas ich nieobecności w domu nie zamieszkała ciemność.

W pomieszczeniu gospodarczym szybko włożyli gumowce i czarne płaszcze przeciwdeszczowe. Trące o kafelki gumowe podeszwy wydobywały spod ich stóp przenikliwe piski.

W znajdującym się obok garażu było chłodniej niż w domu. Wilgotne powietrze pachniało parującym drewnem i mokrą płytą gipsowo-kartonową, ale deszcz nie przebił się jeszcze przez dach.

Ford explorer był gotów do drogi, załadowany. Choć wysokość miesięcznych rat nieco ich przerażała, w końcu postanowili pozbyć się starego samochodu i zamienić go na lepszy. Teraz Molly bardzo się cieszyła, że mają do dyspozycji pojazd, na którym można polegać.

Kiedy zrobiła dwa kroki w kierunku samochodu, Neil zwrócił jej uwagę na swój stół roboczy. Na blacie zebrało się trzydzieści, może czterdzieści myszy. Molly nie zauważyła tego od razu, ponieważ gryzonie nie wydawały z siebie żadnego dźwięku i nie poruszały się.

Polne i leśne myszy, niektóre brązowe, niektóre szare, opuściły swoje naturalne środowisko, aby ukryć się w ich garażu. Drugie tyle zebrało się pod stołem.

Kolejne myszy zgromadziły się w kątach i pod ścianami. Siedziały na pokrywach dwóch kubłów na śmieci i na wszystkich szafkach.

Była ich na pewno ponad setka, może nawet więcej. Wiele myszy stało na tylnych łapkach, dygotały z napięcia, drżały im wąsy, ich różowe noski badały powietrze.

W normalnych warunkach na widok ludzi by się rozpierzchły, teraz jednak nie zareagowały. Przyczyna ich strachu znajdowała się na zewnątrz, kryła się w burzy.

Choć Molly nie lubiła gryzoni i robiła wszystko, aby odstraszyć je od domu, nie wzdrygnęła się na widok tych płochliwych intruzów. Podobnie jak w przypadku kojotów, rozumiała, że tej dziwnej i strasznej nocy myszom i ludziom grozi to samo niebezpieczeństwo.

Wsiedli do samochodu.

–Jeżeli instynkt każe zwierzętom chować się w pomieszczeniach, to może my też

nie powinniśmy opuszczać domu – powiedziała, kiedy zamknęli drzwiczki auta.

–Paul i jego sąsiedzi zebrali się na Maui w budynku sądu, ponieważ łatwiej go można bronić. A nasz dom, przy tyłu oknach, z prostymi zamkami... nie da się go bronić.

–Może niczego się nie da obronić.

–Może.

Myszy nie zareagowały także na odgłos uruchamianego silnika. W świetle reflektorów ich ślepia świeciły srebrno i czerwono.

Neil zablokował wyposażone w centralny zamek drzwi forda i dopiero wtedy nacisnął klawisz pilota otwierającego drzwi garażu.

Molly zauważyła, że nie zamknął domu. Klucze i zasuwy nie gwarantowały już bezpieczeństwa.

Za fordem powoli podnosiły się drzwi garażu. Nie można było odróżnić łoskotu pracującego mechanizmu od nieustannego szumu deszczu.

Molly ogarnęła rozpaczliwa chęć wyskoczenia z pojazdu, zanim czająca się na zewnątrz noc zostanie wpuszczona do garażu.

Zaczęła snuć fantazje na temat domu. Zrobi sobie kubek gorącej herbaty. Ulung, gatunek o specyficznym zapachu, rosnący w dalekich chińskich górach Wu-l.

Wypije ją w przytulnym salonie, pogryzając maślane herbatniki, z afganem grzejącym jej stopy. Czytając miłosną historię o wiecznej namiętności i cierpieniu.

Kiedy przewróci ostatnią zalaną łzami kartkę, okaże się, że deszcz przestał padać. A gdy nastanie poranek, przyszłość nie będzie ponura i nieprzenikniona, lecz radosna i jasna.

Nie otworzyła jednak drzwi samochodu, aby podążyć za swoją fantazją o herbacie, herbatnikach i łatwych happy endach. Nie śmiała.

Neil puścił hamulec, wrzucił wsteczny i wyjechał z garażu w bezwietrzną burzę. Deszcz padał pionowo, z ogromną siłą i explorer zdawał się drzeć w każdym złączu i napręzać w każdym spawie.

Bardziej ze względu na przerażone myszy niż dla ochrony domu Molly wcisnęła pilota zamykającego drzwi garażu.

W świetle reflektorów strugi deszczu pojaśniały, zakipiały migoczącymi refleksami.

Cedrowe deski, którymi obity był dom, posrebrzone przez czas, sprawiały wrażenie, jakby były pokryte warstewką rtęci. Wzdłuż całego dachu z przepelnionych rynien wytryskiwały strumienie wody, tworząc migoczące płachty, które skrywały całe fragmenty domu.

Neil zawrócił explorera i ruszył w górę, ku dwupasmowej lokalnej drodze. Wznoszący się podjazd zamienił się w rzekę, w której wiły się wielkie ławice nieistniejących węży i falujących jak sinusoidy smug jasności.

Kiedy samochód znalazł się na szczycie podjazdu, Molly spojrzała przez strugi deszczu i drzewa za siebie. Ze wszystkimi zapalonymi światłami ich dom wyglądał zapraszająco – i nieosiągalnie.

Najkrótsza droga do miasta prowadziła na południe.

Dwupasmowy asfalt był przejezdny, ponieważ przebiegał graniami otaczającymi jezioro i deszcz sływał obydwojma poboczami. Miejscami nawierzchnię pokrywała gruba, śliska papka ze strząśniętych przez ulewę z drzew suchych igieł, ale przystosowany do jazdy terenowej samochód bez trudu dawał sobie radę z takimi przeszkodami.

Nawet pracując na najwyższej prędkości, wycieraczki nie były w stanie poradzić sobie z masami wody. Neil jechał powoli i ostrożnie.

Od wschodniej strony las – częściowo spalony w pożarze z minionej jesieni – opadał ku trawiastym, pozbawionym drzew wzgórzom, przechodzącym w ubogie w wodę tereny, za którymi zaczynała się pustynia Mojave. Znajdowały się tam jedynie pojedyncze domy.

Na zachodnim zboczu wzgórza domów było dużo, ale stały w sporych od siebie odległościach. Ich najbliższymi sąsiadami od południa byli Jose i Serena Sanchez z dwójką dzieci i psem o imieniu Semper Fidelis.

Neil skręcił przy skrzynce pocztowej w prawo i zatrzymał się na szczycie podjazdu, tak aby światło reflektorów padało na dom poniżej.

–Obudzimy ich? – spytał.

Molly zaniepokoiło coś w wyglądzie domu, choć nie potrafiłaby tego określić. Nie chodziło jedynie o brak światła.

Gdyby rodzina Sanchezów była w domu, niespotykana siła ulewy na pewno by ich obudziła. Zaciekawieni wstaliby z łóżek, włączyli telewizję i dowiedzieli się o losie świata.

Dla Molly monotonne dudnienie deszczu było głosem śmierci,

przemawiającym do niej nie z nieba, lecz ze stojącego na dole podjazdu domu.

–Nie ma ich – powiedziała.

–Dokąd poszli?

–Może nie żyją.

–Nie, nie -jęknął Neil. – Nie Jose, Serena... chłopcy...

Talenty Molly kończyły się na umiejętności pisania, nie miała wizji ani przeczuć, teraz jednak przemówiła przez nią pewność niechcianej intuicji:

–Nie żyją. Wszyscy nie żyją.

Dom rozmazał się, ponownie stał się ostry, rozmazał się i znów wyostrzył. Wydawało jej się, że za pozbawionymi światła oknami dostrzegła jakiś ruch, ale może niczego tam nie było.

Wyobraziła sobie, jak poskręcana skrzydlata postać, którą widziała przez ułamek sekundy w lustrze, lata po domu Sanchezów od zwłok do zwłok.

Choć jej głos był jedynie drżącym szeptem, to, co powiedziała, dotarło do Neila mimo szumu deszczu:

–Jedźmy stąd. Natychmiast.

Na południe od Sanchezów mieszkał Harry Corrigan – od zeszłego czerwca sam, kiedy jego ukochana Calista zginęła pod bankomatem.

Należący do niego kamienny dom z po części dwuspadowym, a po części czterospadowym dachem stał znacznie bliżej drogi niż dom Neila i Molly. Podjazd był krótszy i mniej stromy niż u nich.

Światła, które Molly widziała, gdy po raz pierwszy wstała z łóżka i podeszła do okna, aby ocenić gwałtowność burzy, w dalszym ciągu się paliły. Wyglądały wtedy jak światła pozycyjne statku, płynącego w oddali po wzburzonym, sfalowanym morzu.

Oświetlone było chyba każde okno – jakby Harry chodził od pokoju do pokoju i szukał utraconej żony, zapalając po kolei wszystkie znajdujące się w domu lampy w nadziei, że Calista wróci, albo chcąc uczcić jej pamięć. Za szybami nie poruszały się żadne cienie.

Jeżeli Harry był w domu, warto połączyć z nim siły. Był przyjacielem i można było na nim polegać.

Neil zaparkował na dole podjazdu, przodem do drogi. Zgasił reflektory.

Kiedy sięgnął do kluczyka, Molly przytrzymała jego dłoń.

–Nie gaś silnika.

Nie musieli dyskutować, czy powinni razem wejść do domu Harry'ego. Ustalili już wcześniej, że żadne z nich nigdzie nie będzie chodzić samo.

Naciągnęli kaptury i zamienili się w średniowiecznych mnichów.

Molly bała się wyjść z samochodu. Pamiętała jak energicznie szorowała zmoczoną przez deszcz dłoń pachnącym pomarańczowym mydłem, a mimo to czuła się brudna.

Nie mogła jednak wечно siedzieć w aucie, sparaliżowana strachem lub brakiem wiary. Nie mogła siedzieć jak kształt bez formy, gest bez ruchu i czekać na koniec świata.

W kieszeni miała pistolet. Położyła na nim prawą dłoń.

Wysiadła z explorera i cicho zamknęła za sobą drzwi, choć w szumie deszczu nawet głośne trzaśnięcie nie rozniosłoby się daleko. Nawet podczas apokalipsy dyskrecja wydawała jej się wskazana.

Niezwykła siła ulewy zabujała ją, rozstawiła jednak szeroko nogi i udało jej się zachować równowagę.

Deszcz nie pachniał już spermą. Czuć było ledwie ślad tamtej woni, maskowały ją nowe aromaty, przypominające kadzidło, rozgrzany mosiądz i cytrynową herbatę. Molly wyczuwała w nim jakiś dymny zapach, którego nie umiała porównać z niczym znanym.

Próbowała tak trzymać głowę, aby nie padało jej na twarz, ale deszczowi udało się dostać pod kaptur. Krople wody nie były tak ciepłe jak poprzednio.

Odruchowo oblizwała wargi. Deszcz nie był słony, miał słodkawy, przyjemny smak.

Kiedy pomyślała o liżących niebieski śnieg dzieciach, zachłysnęła się i musiała kilka razy splunąć, w efekcie połykając więcej wody.

Odpyw na podjeździe zablokowały sosnowe igły i sterty liści górskich klonów. Stopy Molly i Neila otaczała głęboka na piętnaście centymetrów kałuża, rozjaśniana srebrnymi filigranami tańczących świateł.

Neil rozpiął płaszcz i schował pod nim strzelbę. Lewą ręką przytrzymał połę płaszcza, starając się jak najlepiej zasłonić broń przed strugami wody.

Z kałuży na asfalcie do frontowych schodów prowadziła stroma ścieżka z kamiennych płyt.

Kiedy weszli pod dach werandy, Molly ściągnęła z głowy kaptur i wyjęła pistolet z kieszeni. Neil oburącz trzymał strzelbę.

Drzwi domu Harry'ego Corriganana były uchylone.

Pomarańczowa plama światła na ościeżnicy wskazywała miejsce, gdzie znajdował się dzwonek, okoliczności nie wymagały jednak zapowiadania się. Neil czubkiem buta pchnął drzwi.

Czekali, aż skrzydło drzwi się zatrzyma. Przez chwilę obserwowali pusty hol, a potem weszli do środka.

Przed śmiercią Calisty byli tu częstymi gośćmi, Harry zapraszał ich też kilka razy potem. Kiedy cztery lata temu Corriganowie przebudowywali kuchnię, Neil zrobił im meble. Teraz to znajome miejsce wydawało się obce. Nic nie było takie, jak Molly pamiętała, nic nie stało na dawnym miejscu.

Reszta parteru zawierała więcej dowodów prostego życia, wypełnionego powtarzanymi od lat codziennymi czynnościami: stare meble, pejzaże i obrazy o

tematyce morskiej, leżąca w popielniczce fajka, książka założona opakowaniem batona, troskliwie pielęgnowane kwiatki o bujnych, błyszczących liściach, purpurowe śliwki, dojrzewające w stojącej na kuchennej ladzie drewnianej misie...

Nie było żadnych śladów przemocy. Nie było też ich przyjaciela i sąsiada.

Wrócili do holu, stanęli u stóp schodów i przez chwilę rozważali, czy powinni zawołać gospodarza.

Ale aby przebić się przez łomoczące o dach katarakty, musieliby krzyczeć. Zamiast Harry'ego Corriganego mogło im wtedy odpowiedzieć coś całkiem innego. Możliwość ta nakazywała zachować ciszę.

Neil zaczął wchodzić pierwszy. Molly szła bokiem, tuż przy ścianie, przesuwając się po niej plecami, co pozwalało jej patrzeć zarówno w górę, jak i w dół.

Kiedy dotarli do górnego korytarza, ich oczom ukazał się niezwykle widok. Solidne, dębowe drzwi głównej sypialni zostały wyrwane z zawiasów. Pęknięte niemal na pół, leżały na podłodze. Dookoła nich, na dywanie, były rozsypane fragmenty zamka.

Z ościeżnicy wystawały resztki potężnych zawiasów z pięcio-milimetrowej stalowej blachy, powyginane przez potężną siłę, która wyrwała drzwi. Wygięty był nawet stalowy bolec, na którym obracały się zawiasy.

Jeżeli Harry ukrył się za zaryglowanymi drzwiami sypialni, barykada długo nie wytrzymała.

Bez specjalnego urządzenia do wrywania zakleszczonych przedmiotów nawet napompowany steroidami kulturysta z herkulesowymi mięśniami nie wyrwałby tych drzwi. Dokonanie tego gołymi rękami przekraczało możliwości zwykłego śmiertelnika.

Spodziewając się wszystkiego najgorszego, Molly zawahała się przed wejściem do sypialni. Za progiem nie zobaczyła jednak śladów przemocy.

Garderoba była otwarta. W środku nikogo.

Kiedy jednak Neil nacisnął klamkę drzwi prowadzących do sąsiadującej z sypialnią łazienki, okazało się, że są zamknięte.

Popatrzył na Molly. Kiwnęła głową.

Neil przysunął usta do drzwi.

–Harry? Harry, jesteś tam?

Jeżeli padła jakaś odpowiedź, była zbyt cicha, aby dało się ją usłyszeć.

–Harry, to ja, Neil Sloan. Jesteś tam? Nic ci się nie stało?

Nie otrzymawszy odpowiedzi, Neil cofnął się i z całej siły kopnął w drzwi. Zamek służył jedynie zapewnieniu prywatności, drzwi nie miały mocnego rygla i po trzech kopniakach puściły.

Dziwne, że ten, kto wyrwał pierwsze, znacznie mocniejsze drzwi, nie wyłamał także tych.

Neil podszedł do progu, ale wzdrygnął się i odwrócił gwałtownie. Rysy jego twarzy wykrzywiło przerażenie i odraza.

Próbował zatrzymać Molly, aby nie ujrzała tego, co zobaczył, nie udało mu się to jednak. Żaden widok nie mógł być gorszy od owego straszliwego dnia, kiedy miała osiem lat.

Pozbawiony oczu, z głową wydrążoną jak lampa z dyni, Harry Corrigan siedział na podłodze, oparty o wannę. Ssał krótkolufą samopowtarzalną strzelbę z pistoletową rękojeścią.

Czując mdłości, Molly odwróciła się szybko.

–Nie mógł przestać rozpaczać – mruknął Neil.

Z początku nie rozumiała, co jej mąż miał na myśli, ale po chwili dotarło do niej, że mimo wszystkiego, co dotychczas widział, próbuje wypierać fakty.

–Harry nie zabił się z powodu Calisty – powiedziała. – Schował się w łazience i rozwalił sobie łeb, aby nie stanąć twarzą w twarz z tym, co wyłamało drzwi do sypialni.

Bezpośredniość stwierdzenia „rozwalił sobie łeb” sprawiła, że Neil się wzdrygnął, a jego twarz, blada jak papier od chwili, gdy ujrzał martwego sąsiada, zrobiła się szara.

–Kiedy usłyszeli strzał – dodała Molly – wiedzieli, co zrobił, i przestali się nim interesować.

–Oni... – wyszeptał zamyślony i popatrzył na sufit, jakby przypomniał sobie olbrzymią opadającą masę, którą poczuł kilka godzin temu. – Ale dlaczego nie strzelił... do nich?

Podejrzewając, że odpowiedź na to pytanie może znajdować się gdzieś w tym domu, Molly ruszyła w stronę korytarza. Dalsze przeszukiwanie piętra nie przyniosło nic ciekawego. Aż do schodów od tyłu.

Wąskie stopnie schodziły stromo do pokoiku obok kuchni, z którego można było wyjść na podwórze.

Najwyraźniej pierwsze spotkanie Harry'ego Corriganana z niepożądanymi gośćmi miało miejsce właśnie tam. Był uzbrojony w strzelbę i użył jej na schodach wiele razy. Śrut ponadgryzał ściany i wyrwał kawałki drewna ze schodów.

Wchodząc tyłem na piętro, Harry ostrzeliwał się. Biorąc pod uwagę rozrzut strzałów, w tak ciasnej przestrzeni nie mógł nie trafić w przeciwnika, ale ani na schodach, ani u ich stóp nie leżało żadne ciało. Nigdzie nie było też śladów krwi.

Stali u szczytu schodów, wahając się przed zejściem nimi na dół.

–Do czego on strzelał? – spytał Neil. – Do duchów?

Molly pokręciła głową.

–To nie duch wyrwał drzwi sypialni z zawiasów.

–A co mogło przejść przez ogień ze strzelby?

–Nie wiem. I może wcale nie chcę wiedzieć. – Molly odwróciła się. – Chodźmy stąd.

Wrócili drogą, którą przyszli. Kiedy okrążali leżące na korytarzu drzwi sypialni, światła zamigotały nagle i zgasły.

Na korytarzu nie było okien, więc nie rozświetlał go blask świecącego deszczu. Panowała tu całkowita czerń korytarzy ze snów o śmierci, o podziemnych miejscach wiecznego spoczynku.

Ciągle jeszcze uczyli się nowego zachowania, koniecznego w tej pogodowej apokalipsie, i Molly, nie umiejąc jeszcze wszystkiego przewidzieć, zostawiła latarkę w samochodzie.

W ciemnościach zaczął narastać dziwny szelest, przypominający rozpościeranie i przygotowywanie do lotu pozbawionych piór membranowych skrzydeł. Molly próbowała przekonać samą siebie, że to na pewno Neil, przeszukujący kieszenie płaszcza.

Pojawienie się promienia latarki dowiodło, że miała rację. Wypuściła wstrzymywane powietrze.

Mrok w korytarzu nie sprawiał wrażenia zwykłej ciemności, rządzonej przez prawa fizyki, był jak przypominająca sadzę esencja namacalnego zła. Światło rzeźbiło pas ukazujący mniej, niżby Molly chciała, a kiedy promień się odchyłał, ciemność powracała żwawymi skokami.

Minęli leżące na podłodze drzwi i zrobili kilka kroków, gdy coś ukrywającego się w głębokim cieniu wyrecytowało wers jednego z ulubionych poetów Molly, T. S. Eliota.

–Myślę -jesteśmy w szcurzym zaułku...

Zostało to powiedziane teatralnym szeptem, nie wykrzyczane, ale jakimś sposobem słowa przebiły się przez uparty werbel deszczu i Molly rozpoznała głos Harry'ego Corriganana, martwego Harry'ego, który zrobił sobie to samo, co jakiś bandzior zrobił jego żonie dla dwustu dolarów.

Skacząc, promień latarki badał korytarz po ich prawej stronie, po lewej, za nimi. Nikogo nie było.

Neil podał ją żonie, by móc swobodnie posługiwać się strzelbą.

Trzymając latarkę tuż przy lufie, Molly kierowała jej wylot tam, gdzie promień światła rozjaśniał ciemność. Do połowy otwarte drzwi do gościnnej sypialni po prawej. Odrobinę uchylone drzwi gabinetu po lewej. Kolejne drzwi: błysk porcelany w łazience.

Harry, groteskowa istota, która była kiedyś Harrym, albo coś, co tylko udawało

Harry'ego, mogło czaić się w każdym z tychpomieszczeń. Albo w żadnym.

Usłyszeli kolejny wers z *Ziemi jałowej*, następujący w tekście bezpośrednio po tym, który wyrecytowano wcześniej:

–*Gdzie zmarli ludzie pogubili kości.*

Molly nie umiała określić, skąd dobiega głos. Słowa wiersza oplatały ją jak serpentyny, zdawały się płynąć raz z jednej, raz z drugiej strony.

Jej galopujące serce zaczęło z taką siłą uderzać w żebra, że wydawało się, iż w jej krwi zapłonie ogień.

Wnętrze dłoni Molly i karbowana rękojeść pistoletu zrobiły się śliskie od potu.

Uparta, gęsta ciemność, drzwi po obu stronach korytarza, zastygłe w napięciu niczym pokrywki pudełek, z których wyskakują diabełki, i ponad dziesięć metrów do schodów.

Osiem.

Sześć.

Tuż przy schodach z otwartych drzwi, ze ściany albo z portalu między dwoma światami – nie dało się tego stwierdzić na pewno i Molly była w stanie uwierzyć we wszystko – wyszła jakaś postać.

Drżące światło latarki najpierw ukazało stopy i mankiety sztruksowych spodni.

Leżący w opryskanej krwią łazience Harry miał na sobie flanelową koszulę i sztruksowe spodnie o identycznym odcieniu.

Kiedy Molly pomyślała, że znów ujrzy wydrążoną jak dynia głowę, puste oczodoły i poszarpane przez lufę dwunastki zęby, ugięły się pod nią nogi.

Ale to, co chciała widzieć, to jedno, a co jej zdecydowana ręka chciała pokazać, to drugie. Uniosła światło latarki do kolan stwora, sprzączki paska, flanelowej koszuli, porośniętego siwą szczeciną podbródka...

W tym momencie minął ją Neil, strzelił i przeładował. Makabryczna postać została odrzucona do tyłu i zataczając się, zniknęła w ciemności.

–Ruszaj się, Molly, zabieramy się stąd, szybko!

Echo wystrzału odbiło się od ścian korytarza i pomknęło przez sąsiednie pomieszczenia, przez pokoje na dole, jakby dom był wielokomorowym dzwonem.

To, o czym nie wolno myśleć, stało w ciemności między nimi a schodami, oddalone jedynie o dwa długie kroki: ociekający krwią stwór, kat, wieczny Piechur, Obcy, który prędzej czy później zjawia się u każdego drzwi i natarczywie puka, nie chcąc odejść, tym razem w postaci martwego Harry'ego, ich utraconego przyjaciela.

Molly ruszyła biegiem za dziko skaczącym światłem, w kierunku rozproszonego blasku, wypolerowanego mahoniowego słupka balustrady, znaczącego początek drogi w dół, nie patrząc w lewo, gdzie ożywiony z martwych sąsiad został rzucony plecami w cień.

Musiał wstać i podejść bliżej, bo Neil znów strzelił. Płomień z lufy

pognał korytarzem za przypominającą kłębowisko nietoperzy płataniną cieni.

Molly dotarła do schodów, które wydawały się bardziej strome niż wtedy, gdy nimi wchodzili. W jednej ręce trzymając latarkę, a w drugiej pistolet, nie mogła przytrzymać się poręczy i jedynie szczęściu zawdzięczała, że się nie przewróciła. Skoczyła na oślep w dół schodów, śliskich jak oblodzona drabina, potknęła się, zaczęła machać rękami i zataczając się, wylądowała stopami na dole, łopocząc płaszczem jak żaglem.

Frontowe drzwi były otwarte. Kiedy domem wstrząsnął trzeci strzał, Molly wybiegła na zewnątrz w deszcz.

Nie zaciągnęła kaptura i strugi wody smagnęły jej twarz i włosy. Małe strumyczki natychmiast zaczęły spływać jej po karku w dół, pod kołnierz, wzdłuż kręgosłupa i między pośladki, jakby były palcami lubieżnika, wykorzystującego chwilę jej słabości.

Zaczęła brnąć przez głęboką kałużę w kierunku explorera. O jej buty uderzało coś miękkiego i bezkształtnego.

W świetle latarki okazało się, że to martwe ptaki – dwadzieścia, trzydzieści, czterdzieści, może więcej – z rozdziawionymi w niemym krzyku dziobami i szklistymi ślepiami, unoszące się w srebrzystym jezioru, jakby utopiły się podczas lotu i zostały splukane z zalanego wodą nieba.

Neil wybiegł z domu i ruszył w stronę samochodu. Nic go nie ścigało, przynajmniej nie biegło tuż za nim.

Molly wsunęła się za kierownicę, wstawiła latarkę w podstawkę do napojów, a pistolet wcisnęła między uda. Zwolniła ręczny hamulec.

Trzymając oburącz śmierdzącą rozpalonym metalem i wystrzelonym prochem strzelbę, Neil wskoczył do środka, gdy wrzucała jedynkę. Zatrzasnął drzwi zaraz po tym, jak ruszyli.

Przemknęli przez pełne martwych ptaków jezioro, wjechali podjazdem, wyglądającym, jakby pokryte go czarno-srebrną węzową łuską, i uciekli z tej nawiedzonej kataklizmem okolicy.

Na zalanym wodą, przypominającym Niagarę asfalcie, śliskim jak tor bobslejowy, prędkość oznaczała głupotę, zwiększenie tempa równało się szaleństwu. Ale Molly, której zależało na jak najszybszym dotarciu do miasta, jechała bardzo szybko, znacznie przekraczając granicę bezpieczeństwa.

W wielu miejscach słabsze gałęzie, po obciążeniu wodą, łamały się i spadały na jezdnię. Drogę zasłaniały nakładające się na siebie warstwy deszczu i Molly często dostrzegała przeszkody dopiero tuż przed sobą.

Lodowate przerażenie uczyniło z niej doskonałego kierowcę, a wyostrzony instynkt samozachowawczy poprawił jej zdolność oceny i refleks. Prowadziła explorera slalomem przez naniesione burzą śmieci, kontrowała każdy poślizg, przeskakiwała przez dziury w nawierzchni, na których kierownica gwałtownie drżała w jej rękach, wyciągała samochód z głębokich uskoków gruntu, w których o mało nie gasł silnik.

W którymś momencie zbyt późno dostrzegła poskręcaną, szponiastą gałąź zimozielonego drzewa i jego rozcapierzone pazury wbiły się w podwozie, zaczęły o nie drapać, drzeć i stukać, jakby przez podłogę chciała się do nich przebić jakaś żywa istota. Gałąź zaczepiła o tylny zderzak i przez kilkaset metrów wlokła się za samochodem, zanim pękła i odpadła.

Skarcona przez Neila, Molly zwolniła nieco. Przez następne pięćset metrów raz za razem spoglądała na wskaźnik paliwa, niepokojąc się, czy zbiornik nie został przebity.

Ale wskaźnik tkwił nieruchomo tuż pod literką F, oznaczającą pełny zbiornik. Nie zapaliło się światełko, ostrzegające o spadku ciśnienia oleju lub o utracie któregoś z istotnych dla sprawnego działania samochodu płynów. Ich dobra passa trwała.

Jadąc wolniej, Molly nie musiała się już tak bardzo skupiać na prowadzeniu, mogła więc zastanowić się nad ponurym epizodem w domu Corrigan. W dalszym ciągu jednak nic nie rozumiała.

–Co to było, cholera? Co tam się właściwie działo? – W jej głosie było coś z przerażenia małej dziewczynki, ale nie próbowała ukryć jego drżenia.

–Nie pojmuję tego – przyznał Neil.

–Harry nie żył.

–Aha.

–Jego mózg był rozprysnięty po całej łazience.

–Są wspomnienia, których być może nawet Alzheimer nie mógłby wymazać.

–Ale jak on mógł znów chodzić?

–Nie mógł.

–I mówić?

–Nie mógł.

–Ale mówił. Neil, na Boga, co to może mieć wspólnego z Marsem?

–Z Marsem?

–Czy innym miejscem, skąd pochodzą... przeciwległym krańcem Drogi Mlecznej, inną galaktyką, końcem wszechświata.

–Nie mam pojęcia.

To nie przypomina ET z filmu.

–Bo to nie film.

Nie wygląda też na rzeczywistość. Normalny świat kieruje się logiką.

Neil wyjął z kieszeni zapasowe naboje i pewnymi ruchami doładował strzelbę. Nie drżały mu ręce.

Jego dłonie zawsze były pewne, tak samo umysł i serce. Pewny Neil.

–Więc gdzie logika? – spytała Molly. – Nie dostrzegam jej.

Z góry spadły na nich dwa przedmioty wielkości pomarańczy. Kiedy odbiły się od przedniej szyby i poszybowały w ciemność, przypominały z wyglądu granaty ręczne.

–Pasożyty – mruknął Neil.

Molly zatrzymała samochód – lewymi kołami na jezdni, prawymi na żwirowym poboczu.

–Pasożyty?

–Może te stwory z drugiego końca wszechświata albo z ciemnej strony Księżyca, czy skąd tam są, to rzeczywiście pasożyty. Pasożyty to stary wątek w science

fiction, czyż nie?

–Naprawdę tak sądzisz?

–Inteligentne pasożyty, zdolne do opanowania ciała gospodarza i manipulowania nim jak marionetką.

–Jakiego gospodarza?

–Dowolnego gatunku. W tym przypadku martwego Harry'ego.

–I ty to nazywasz logicznym wytłumaczeniem?

–To jedynie spekulacje.

–Ale w jaki sposób ten pasożyt – nawet jeśli jest cwańszy od wszystkich członków Mensy razem wziętych – może panować nad gospodarzem, który odstrzelił sobie mózg?!

–Zwłoki miały cały szkielet, mięśnie, sprawne obwody nerwowe poniżej poziomu głowy. Pewnie pasożyt podłącza się do zachowanych elementów i może manipulować gospodarzem niezależnie od tego, czy ma on mózg, czy nie.

Jej przerażenie na chwilę ustąpiło miejsca zdumieniu.

–Nie brzmisz jak uczeń jezuitów.

–Jezuici cenią sobie bystrość umysłu, wyobraźnię i otwartość myślenia.

–I najwyraźniej zbyt często oglądają odcinki *Star Treka*.

W moim podręczniku myślenia teoria pasożytów nie zalicza się do logicznych.

Przez chwilę Neil przyglądał się mokremu, posrebrzonemu lasowi, widniejącymi w oddali. Wyraźnie zaniepokojony, obserwował zalewaną deszczem drogę przed i za nimi.

–Nie zatrzymujmy się – powiedział. – Wydaje mi się, że kiedy stoimy, łatwiej nas zaatakować.

Niezwykła długość trwania deszczu, otępiający ryk wody i przerażający charakter tego zjawiska wywoływały dziwne reakcje psychiczne. Monotonia zjawiska i jego przytłaczająca siła przygnębiały i dezorientowały.

Jadąc powoli zlewany wodą zachodnim brzegiem grani nad Black Lake w kierunku miasta o tej samej nazwie, Molly Sloan umiała oprzeć się zarówno depresji jak i poczuciu dezorientacji, czuła jednak, że stopniowo pozbawiana jest czegoś istotnego.

Nie nadzieja. Nigdy nie straci nadziei – była elementem jej struktury psychicznej jak wapń kości.

Poczucie sensu, jakim cechowało się jej podejście do życia, było nieco słabsze niż zwykle, pod wpływem tej dziwnej ulewy jakby się rozmywało, traciło głębię dotychczasowej intensywności.

Poza tym, że chciała dotrzeć do miasta, nie wiedziała, dokąd zdąży, poza tym, że zamierzali poszukać schronienia wśród ludzi, nie wiedziała, dlaczego tam jedzie. Zawsze planowała życie nie na mi sięć naprzód, nawet nie na rok, lecz z wyprzedzeniem dziesięcioletnim lub większym, ustalając sobie cele i nieustępliwie dążąc do ich realizacji. Teraz nie potrafiła spojrzeć poza nadchodzący świt, a bez jasnego celu, bez długofalowego planu czuła się jak dryfująca kłoda.

Oczywiście chciała przeżyć, ale jeszcze nigdy samo przeżycie jej nie wystarczało i tak samo było tym razem. Aby mieć motywację do działania, potrzebowała głębszego celu, czegoś znacznie ważniejszego.

Strony zbierające się w rozdziały, rozdziały przemieniające się w książki: celem jej życia zdawała się do tej pory praca pisarza. Matka wbijała Molly do głowy, że talent to dar od Boga, a pisarz ma wobec Stwórcy obowiązek doskonalenia tego daru i wykorzystywania go do rozjaśniania umysłów czytelników.

W pośpiechu pakowania jedzenia, broni i innych rzeczy, niezbędnych podczas czekającej ich niebezpiecznej podróży, zapomniała wziąć laptopa. Zawsze pisała na komputerze i nie wiedziała, czy talent jej nie opuści, gdy zacznie używać pióra.

Poza tym nie wzięła także ani pióra, ani ołówek. Nie dołączyła również do zapasów czystego papieru – zabrała jedynie swoją ostatnią, niedokończoną powieść.

Może kiedy lepiej zrozumie ich obecną sytuację i pozna więcej faktów niż do tej pory, będzie mogła zastanowić się nad tym, co może im przynieść przyszłość, zacznie planować i wyznaczy sobie jakiś ważny cel.

Jeżeli jednak mają cokolwiek zrozumieć, potrzebne im będą odpowiedzi na wiele pytań.

Choć jechała z prędkością nieprzekraczającą piętnastu kilometrów na godzinę, nie odrywała wzroku od jezdni. Nie zrobiła tego także wtedy, gdy zapytała męża:

–Dlaczego T. S. Eliot?

–Co masz na myśli?

–To, co Harry... to, co było kiedyś Harrym... powiedziało do mnie. „Myśle – jesteśmy w szczurzym zaułku, gdzie zmarli ludzie pogubili kości”.

–Eliot jest jednym z twoich ulubionych poetów, prawda? Może Harry o tym wiedział?

–Kiedy ciało Harry'ego do mnie mówiło, było w korytarzu, ale

jego mózg znajdował się w łazience, pozbawiony wszelkich wspomnień.

Neil, dosłownie siedzący na strzelbie i nie ufający nocy, nic na to nie odpowiedział.

Molly nie popuszczała jednak.

–W jaki sposób ten twój pasożyt z kosmosu mógłby wiedzieć, co było w umyśle Harry'ego, jeżeli Harry nie miał już umysłu?

Na jezdni również leżały ptaki. Choć były na pewno martwe, Molly starała się je omijać. Ponuro zastanawiała się, kiedy natkną się na ludzkie trupy.

–Pewien pisarz science fiction – powiedział Neil – wydaje mi się, że Arthur C. Clarke, zasugerował, że pozaziemski gatunek, o setki tysięcy lat bardziej rozwinięty niż my, może dysponować technologiami, które wydawać się nam będą działaniem sił nadnaturalnych, czystą magią.

–W tym przypadku czarną magią- stwierdziła Molly. – Złem. Jaki praktyczny cel mogłoby mieć przemienianie martwego człowieka w marionetkę... pomijając chęć siania przerażenia?

Przed nimi, w świecącej burzy, zapaliło się pojedyncze światełko, które z każdą sekundą stawało się większe.

Molly jeszcze bardziej zwolniła, pozwoliła samochodowi jechać z górki na luzie.

Ze strug ulewy wychynął niebieski nissan infiniti. Stał na pasie, którym jechali, jego przód był skierowany w stronę miasta, do którego chcieli dotrzeć, ale nic się w nim

nie poruszało. Reflektory miał włączone, troje z czworga drzwi było szeroko otwartych.

Molly zatrzymała się trzy metry za nissanem. Miał włączony silnik – z rury wydechowej wydobywał się blady dym, natychmiast rozmywany przez strumienie wody.

Z miejsca, w którym stanęli, nie było widać, czy w środku jest kierowca albo pasażerowie.

–Jedź dalej – powiedział Neil.

Skręciła na przeciwny pas i zaczęła powoli wymijać unieruchomiony pojazd. – W środku nie było nikogo żywego ani martwego.

Samochód nie zawiódł, a jednak ludzie go porzucili i zdecydowali się na dalszą podróż piechotą. Może uciekli w panice albo zostali porwani.

Przed nissanem leżały na asfalcie trzy przedmioty, oświetlone reflektorami. Kij baseballowy. Nóż rzeźnicki. Siekiera z długim trzonkiem.

–Pewnie nie mieli broni palnej – mruknął Neil, wyrażając to samo, co i Molly przyszło do głowy – i uzbroili się w to, co udało im się znaleźć.

Podczas konfrontacji, do której doszło w tym miejscu, pasażerowie samochodu musieli dojść do wniosku, że ich broń jest bezużyteczna, więc ją porzucili. Albo zostali rozbrojeni przez coś, co nie bało się pałek ani noży.

–Może spotkamy ich na drodze – powiedział Neil.

Molly nie sądziła, by do tego doszło. Ci ludzie odeszli na zawsze: nie wiadomo dokąd, nie wiadomo, jaki okropny koniec ich spotkał.

Kiedy światła porzuconego nissana infiniti rozplynęły się za nimi w deszczu, Neil włączył radio, może po to, by zapobiec dalszym niepokojącym spekulacjom na temat nieobecnych pasażerów samochodu, który minęli. Ich los mógł być pisany wszystkim, którzy odważali się wyjść w burzę, i gdyby miało to być prawdą, nie istniałby ani jeden sensowny argument, przemawiający za kontynuowaniem podróży do miasta.

Zarówno na falach AM jak i FM, tam gdzie kiedyś eter wypełniały głosy i muzyka, teraz pojawiała się albo kakofonia szumów i elektronicznego skrzeku, albo cisza. Tylko na nielicznych pasmach z nawałnicy dźwięków wyłaniały się jakieś słowa, usłyszeli nawet kilka zdań.

W dwóch stacjach dziennikarze albo rzecznicy rządu czytali oficjalne oświadczenia władz. Były pozbawione konkretnych faktów i w większości składały się z pustych zapewnień.

Jakiś mężczyzna z Denver zwracał się bezpośrednio do syna i żony, wyrażając w prostych, ale robiących wrażenie słowach swoją miłość do nich. Najwyraźniej nie spodziewał się, że ich jeszcze kiedyś zobaczy.

Z jakiegoś odległego miejsca przez wzburzony eter tej ważnej nocy płynęła muzyka: klasyczna, smętna piosenka *I'll Be Seeing You*.

Jej melancholijny tekst i pełna tęsknoty melodia zawsze poruszały Molly, ale w obecnej sytuacji ta piosenka o utraconej miłości stała się przejmującą metaforą końca całej ludzkości, cywilizacji, pokoju i nadziei.

Cały jej świat od dawna się kurczył, telewizja, komunikacja satelitarna i Internet robiły go coraz mniejszym. Teraz, w ciągu kilku godzin, wszystkie te łącza zostały przecięte, a ściśnięty świat ekspandował do rozmiarów sprzed ponad stulecia.

Głos męczyzny przemawiającego z Denver do syna i żony brzmiał tak, jakby nadawano go z innego kontynentu. Potem ta nostalgiczna piosenka, napisana tuż przed drugą wojną światową, odzwierciedlająca niepokoje tamtych trudnych czasów, przyniosła ze sobą przez noc wrażenie dali – jakby nadawano ją nie tylko z dalekiej Europy, ale także z Europy innej epoki, jakby przemierzyła pół świata i ponad pół wieku.

Łzy zamglily wzrok Molly.

Poczucie zagubienia, nasilające się z każdą nutą piosenki, zaczynało niemal boleć, było jak obracany w piersi nóż. Nie prosiła jednak Neila o wyłączenie radia, aby nie

pozbawiać ich nawet tego wątlęgo kontaktu z cywilizacją, która zdawała się błyskawicznie rozpadać w żrącej wodzie niezwyklej burzy.

Neil albo wyczuł jej nastrój, albo czuł to samo, wcisnął bowiem klawisz przeszukiwania pasma, by radio znalazło inną stację.

Po serii piśnieć, trzasków i licznych milczących stacjach radio złapało wyraźny głos. Disc jockey, gość talk-show lub prezenter – kimkolwiek i gdziekolwiek był – sprawiał wrażenie wściekłego i przestraszonego.

Mówił tylko o jednym: o transmisjach radiowych z Międzynarodowej Stacji Kosmicznej krążącej po orbicie okołoziemskiej, o wiadomościach przesłanych przez załogę około północy, w czasie pojawienia się na oceanach potężnych trąb wodnych.

–Puszczalem je już dziesięć razy i puszczą jeszcze dziesięć, sto razy, cholera, będę je puszczał, aż stracimy prąd i nie będzie można nadawać, aż ktoś wyłomie drzwi i nas zabije.

Słuchaj tego, Ameryko, słuchaj uważnie i dokładnie poznaj wroga. Nie ma to nic wspólnego z globalnym ociepleniem klimatu, plamami na Słońcu czy promieniowaniem kosmicznym, nie chodzi o żadne nagłe, niemożliwe do wyjaśnienia zmiany klimatu Ziemi. To wojna światów.

Przekazy były odbierane fragmentami albo zostały na użytek tego programu zredagowane. Zaczynały się od zaskoczenia, podniecenia, nawet zaciekawienia, ale ich ton szybko się zmieniał.

Najpierw członek załogi, mówiący po angielsku z rosyjskim akcentem, zgłosił, że po awarii kamer zewnętrznych komputer zameldował zadokowanie do stacji nieznanego statku kosmicznego. Było to zaskakujące, bo radar nie wykazał zbliżania się żadnej masy – ani orbitujących odpadów kosmicznych, ani UFO.

Oficer komunikacyjny o nazwisku Wong nie był w stanie nawiązać łączności z przybyszami.

–Jesteście pewni, że coś do nas zadokowało?

–Stuprocentowo - odparł Rosjanin.

–Nie mamy do czynienia z awarią komputera, błędnym raportem o dokowaniu?

–Nie. Czulem to, ty też czuleś, wszyscy czuli.

Inny członek załogi, sądząc po głosie, prosto z Teksasu, oświadczył, że z bulaja, z którego widać część modułu dokującego, nie jest w stanie dokonać bezpośredniego

wzrokowego potwierdzenia obecności jakiegoś statku.

–Mama mówiła, że mam nie przeklinać, ale, do cholery, powinienem stąd widzieć choć kawałek tego chłystka, nie?

–Uwaga wszyscy! - odezwał się ponownie Rosjanin. – Komputer zgłasza rozpoczęcie procedury otwierania zewnętrznego wjazdu komory dekompresyjnej.

–Kto, do diabła, dał na to zezwolenie? - zapytał inny Amerykanin, z bostońskim akcentem.

–Nikt - odparł Rosjanin. – Przejęli kontrolę nad naszymi systemami.

–Kto?

–Może Jamajka ma program kosmiczny, o którym nikt nie wie - powiedział Teksaszczyk, ale nikt się z tego nu zaśmiał.

Ponieważ rozgrywający się wysoko nad Ziemią dramat tak bardzo rozpraszał Molly, że nie mogła się odpowiednio skupić na zasłanianej przez deszcz drodze, zwolniła do trzydziestu kilometrów na godzinę.

Teksaszczyk najwyraźniej odszedł od bulaja z widokiem na część modułu dokującego i najprawdopodobniej obserwował obraz, przekazywany przez kamery wewnętrzne na monitory.

–Lapeer, czy to ciebie widzę w komorze dekompresyjnej?

–Tak, to ja, Willy - odpowiedział kobiecy głos z francuskim, może belgijskim akcentem. – Jestem w części wejściowej z Arturem. Instrumenty pokazują dodatnie ciśnienie, niewiele brakuje do parametrów ziemskiej atmosfery.

–Lepiej stamtąd wyjdź, Emily - powiedział Rosjanin. – Ty też, Arturo. Wycofajcie się. Dopóki nie zrozumiemy sytuacji, oddzielcie się od nich przegrodami.

Emily Lapeer roześmiała się nerwowo.

–To nowy świt, Iwan. Nie czas na dawne lęki.

Wtrącił się kolejny głos. Kobiecy, z niemieckim akcentem.

–Daj spokój, Emily. Zastanów się. Procedury wchodzenia na pokład powinny być uniwersalne. Ich zachowanie jest zdecydowanie agresywne.

–To ksenofobiczna interpretacja - zaprotestowała Lapeer.

–Nie, zdrowy rozsądek - odparła Niemka.

–Też tak uważam, Lapeer - poparł ją Tekszańczyk. – Wycofaj się i zarygluj za sobą włązy. Zabieraj stamtąd tyłek.

–Tu tworzy się historia - oświadczyła Lapeer.

Rosjanin miał kolejne złe wieści.

–Kamery skierowane na komorę dekompresyjną oślepiły. Jeżeli na pokład wejdą goście, nie zobaczymy ich.

–Słyszymy w komorze hałasy - powiedziała Lapeer.

–Jasna cholera, Lapeer! - zawołał Tekszańczyk. – Kamery w komorze też właśnie zdechły. Syf z malarią. Ciebie

również już nie widzimy.

Zaskoczona, choć nie zaniepokojona, Lapeer powiedziała bardzo szybko kilka zdań po francusku, po czym powróciła do angielskiego.

–Dzieje się tu coś dziwnego...

–Co za cholera... - powiedział męski głos, może Artura.

–...nie otwierają wewnętrznego włązu komory, ale przenikają przez niego... - dodała Lapeer.

–Że co?

–...materializują się na powierzchni stali...

–Komputer wskazuje, że włąz jest zamknięty - poinformował pozostałych Rosjanin.

Przerażenie, które nagle ogarnęło Lapeer, sprawiło, że jej słowa zabrzmiały jak natarczywe, trwożliwe prośby dziecka:

–Sainte Marie, mčre de Dieu, non, non, bėnie Marie, non, sauvez-moi!

W przedziale wejściowym stacji kosmicznej, w komorze dekompresyjnej, Arturo zaczął wyć z przerażenia – a po chwili w agonii.

–Mčre de Dieu, sauvez-moi! Bėnie Marie, non, non, NON...

Rozpacзлиwa modlitwa Emily Lapeer urwała się nagle, przechodząc w ciągły wrzask

o podobnej sile jak krzyk Artura.

Choć prawdopodobnie byli bardziej bezpieczni, poruszając się, Molly nie była w stanie jechać. Zdolność koncentracji odebrał jej nie lęk, ale współczucie i żal. Zahamowała i czekała, aż przestanie się trząść.

Neil wyciągnął do niej rękę. Wdzięczna losowi, że nie jest sama, bardziej wdzięczna, niż umiałaby to wyrazić, ścisnęła jego dłoń i mocno ją trzymała.

Wysoko nad Ziemią członkowie załogi stacji kosmicznej krzyczeli do siebie z różnych pomieszczeń przez otwartą linię interkomu. Mówiono po angielsku, czasami powracano do ojczystego języka, ale pytania i modlitwy były takie same:

Co się dzieje? Gdzie jesteś? Słyszysz mnie? Jesteś tam? Gdzie oni są? Co robią? Dlaczego, gdzie, jak? Powstrzymaj ich! Zabarykaduj drzwi! Nie! Pomóż mi! Pomóż mi, Boże, pomóż mi! Boże! Proszę, Boże - nie!

Potem był już tylko krzyk.

Może dlatego, że krzyki były dwukrotnie przetworzone – przekazane z orbity, nagrane na taśmie albo dysku i odtworzone przez stację radiową – Molly wyczuwała w nich subtelne niuanse przerażenia, męki i lęku, których w innym przypadku pewnie by nie wychwyciła. Krzyki były z początku ostre i przenikliwe, przepelnione niewiarą i sprzeciwem, potem zrobiły się bardziej chrapliwe i na koniec przeszły w coś straszliwie krwawego i pierwotnego, stanowiącego esencję marności. Były to jęki i szloch torturowanych mężczyzn i kobiet, którym powoli odrywano kończyny, ludzi patroszonych przez cierpliwe uosobienie zła, pozostawiające sobie dużo czasu, aby móc delektować się swoim dziełem.

Kiedy już napastnicy pomieszczenie za pomieszczeniem przeszli stację od jednego końca do drugiego, gdy wszyscy członkowie nieszczęsnej załogi zostali po kolei zredukowani do kłębków zwierzęcych popiskiwań w ochlapanym łajnem przedsiionku rzeźni, ofiary jedna po drugiej milkły, aż w końcu zawył ostatni astronauta. Jego wrzask przebił próżnię i stratosferę, ostatni dobry dzień na jednej z połówek planety i początek najdłuższej nocy, zbierającą się burzę, która w chwili, gdy umierał, jeszcze nie zaczęła zatapiać Ziemi, a jego jęk męki był ostrzeżeniem dla świata, wezwaniem na Anioł Pański i dzwonem na trwogę, wybijającym ostatnią godzinę.

Samotny głos zabrzmiał po raz ostatni.

Zapadła cisza, wibrująca pamięcią przerażającego wydarzenia.

Słuchając, Molly wciągała powietrze krótkimi, płytkimi wdechami, teraz jednak całkiem wstrzymała oddech i przekrzywiła głowę, by przysunąć ucho do radia.

Z martwej stacji doleciał nowy głos – głęboki, jedwabisty, pełen

hipnotycznej siły – głos istoty wezwanej za pomocą złowrogich zaklęć, kierowanych do otoczonego świecami pentagramu, namalowanego jagnięcą krwią. Mówiła językiem, którego prawdopodobnie nigdy przedtem nie słyszano na Ziemi:

–Aneim imm noigel, ows eim refittul, ows nodaba, ows

natazer tszadajes szszut.

Poza miłością do słów i pasją do poezji, Molly posiadała zdolność zapamiętywania bez najmniejszego trudu całych partii tekstu – tak jak geniusz fortepianu, raz usłyszawszy piosenkę, może zagrać ją nuta po nucie. Te obce słowa miały w sobie niemal poetycki rytm, a kiedy dziwny głos w radio je powtórzył, Molly mówiła razem z nim:

–Aneim imm noigel, ows eim refittul, ows nodaba, ows

natazer tszadajes szszut.

Choć nic nie rozumiała, czuła w tych słowach arogancję przepelnioną poczuciem triumfu, najczarniejszą nienawiścią i wściekłością przekraczającą możliwości najczarniejszego ludzkiego serca, wściekłością wykraczającą poza jakąkolwiek możliwość zrozumienia.

***–Aneim imm noigel... ows eim refittul... ows nodaba... ows natazer tszadajes szszut* - wymruczała jeszcze raz Molly, tym**

razem sama.

Martwą ciszę w radiu przerwał głos podnieconego dziennikarza:

–To wojna światów, Ameryko. Odgryzajcie się, walczcie

twardo. Jeżeli macie broń, używajcie jej. Jeżeli nie macie

broni, zdobądźcie ją. Jeżeli słyszy mnie ktoś z rządu, użyjcie,

na Boga, bomb atomowych. Nie będzie jeńców...

Neil wyłączył radio. Deszcz. Deszcz. Deszcz. Martwi astronauta na górze, a burza w dole. Sześć kilometrów do miasta – jeżeli jeszcze istniało. Jeżeli nie, to jak daleko było do innych ludzi, do grup zebranych w celu wspólnej obrony?

–Niech Bóg będzie dla nas łaskawy – wyszeptał Neil, co przypominało Molly o jego jezuickim wychowaniu.

Puściła hamulec i ruszyli dalej. Powstrzymała się przed modlitwą o łaskę, bo jej wiara została skalana prymitywnym przesądem – obawiała się, że przewrotny los odmówi jej tego, o co prosi, dając jedynie to, czego nie potrzebuje.

Mimo wszystko w dalszym ciągu miała nadzieję. Jej serce zaciskało się jak pięść wokół bryłki nadziei, jeśli nie bryłki, to przynajmniej kamyka, jeśli nie kamyka, to ziarna. Ostryga tworzy przecież perłę wokół jednego ziarnka piasku.

Deszcz. Deszcz. Deszcz.

Drugi porzucony samochód, lincoln navigator, stał na pasie dojazdu na północ, przodem do jadącego na południe explorera. Tak samo jak w poprzednim przypadku, silnik pracował na wolnym biegu i żadna z opon nie była przebita, co wskazywało na to, że auto nie zawiodło pasażerów.

Reflektory były przygaszone, ale światła awaryjne rozbłyskiwały rytmicznie jak stroboskop i miliony języków deszczu zdawały się podrygiwać.

W nissanie było otwartych troje drzwi, w tym pojeździe tylko jedno. Tylne drzwi od strony kierowcy pozwalały wpadać deszczowi do środka i ukazywały fragment oświetlanego wewnętrzną lampką wnętrza.

–Boże... Neil...

Molly zahamowała i stanęła.

–Co się stało?

Mokra szyba w drzwiach, rozmazujący obraz deszcz i odblaski, rzucone przez poruszające się jak metronom wycieraczki oszukiwały oczy, ale Molly wiedziała, co widzi, i wiedziała, co musi zrobić.

–Tam jest dziecko – wyszeptała, przesuwając dźwignię skrzyni biegów na luz. – Małe.

–Gdzie?

–Na tylnym siedzeniu navigatore – odparła i otworzyła drzwi.

–Molly, zaczekaj!

Jeśli deszcz był trujący, została już zatruta w stopniu przekraczającym możliwość ratunku, kiedy uciekali z domu Harry'ego Corriganana. Kolejna dawka trucizny nie mogłaby jej bardziej zaszkodzić.

Tak jakby deszcz był cieplejszy niż w rzeczywistości, obijany strugami wody' pojazd z czarnym dachem wypacał olej i asfalt pod stopami Molly był bardzo śliski.

Poślizgnęła się, przejechała kawałek na podszewkach i o mało nie upadła. Kiedy walczyła o odzyskanie równowagi, ogarnęło ją przekonanie, że coś ją obserwuje, i gdyby upadła, pozbawiony imienia stwór wyslizgnąłby się z mokrego mroku, capnął ją okrutnymi szczękami i natychmiast zostałaby uniesiona ponad jezdnię, za grań, między drzewa, zielsko i jeżyny, połknięta przez kolczasty brzuch nocy.

Kiedy stanęła przy otwartych drzwiach samochodu, zobaczyła, że porzucone dziecko – bosa dziewczynka w różowych spodniach do kolan i żółtym T-shircie – to duża lalka, mająca nieco ponad pół metra. Rozkładała pulchne rączki, jakby o coś błagała albo miała nadzieję, że ktoś ją obejmie.

Molly sprawdziła przednie siedzenia, potem przedział bagażowy. Nie było tam nikogo.

Dziecko, do którego należała lalka, poszło za rodzicami. Może do jakiejś kryjówki.

Co jest pewniejszą kryjówką od śmierci?

Próbując odrzucić tę myśl, Molly przeszła na tył navigatora.

Neil zawołał ją z niepokojem. Odwróciła się i stwierdziła, że wysiadł z explorera i stoi ze strzelbą w rękach, osłaniając ją.

Choć nie rozumiała jego słów, domyślała się, że chce, aby wróciła za kierownicę i zawiozła ich do miasta.

Pokręciła głową i obeszała navigatora. Chciała się upewnić, czy dziecko, do którego należała lalka, nie kucnęło gdzieś za samochodem,

ukrywając się przed zagrożeniem, które nadeszło drogą, złem, które zabrało jego rodziców.

Za samochodem nikt się nie chował. Także pod nim, co sprawdziła, klękając i zaglądnąc pod spód.

Pobocze było wąskie. Pokruszony asfalt, żwir i migoczące kawałki wyrzuconych przez okno, porozbijanych butelek oraz wyraźnie odcinające się od podłoża zamknięcia niezliczonych puszek z napojami odbijały świecący deszcz, tworząc w rozpaćkanym błocie bezsensowną mozaikę.

Kiedy Molly wstała, wydało jej się, że las, który napierał na drogę już przedtem, przybliżył się jeszcze bardziej, gdy odwróciła się do niego plecami. Obciążone wodą konary wyniosłych, wiecznie zielonych drzew zwisały niczym przemoczone szaty – peleryny i płaszcze, sutanny i ornaty.

Wyraźnie czuła, że zza nisko opuszczonych kapturów sosen przyglądają jej się uważnie niewidzialni obserwatorzy – i nie były to sowy ani inne zwierzęta.

Przestraszona, ale zdając sobie sprawę z tego, że okazanie strachu będzie zaproszeniem do ataku, nie cofnęła się od razu. Potarła zabłocone dłonie i splukała je na deszczu – choć wiedziała, że nie będzie się czuła czysta aż do chwili, gdy

będzie mogła zmyć ze skóry jego ślady.

Przekonując samą siebie, że wrogie istoty, których obecność wyczuwała w lesie, są jedynie wytworami jej wyobraźni, i dobrze wiedząc, że się okłamuje, powoli obchodziła navigatora, wracając do drzwi kierowcy z udawaną nonszalancją.

Wzięła lalkę z tylnego siedzenia. Potargane blond włosy, błękitne oczy i słodziutki uśmiech przypominały Molly dziewczynkę, która dawno temu umarła w jej ramionach.

Nazywała się Rebecca Rose. Była bardzo nieśmiała i lekko sepleniała.

Jej ostatnie słowa, wyszeptane w agonii, nie brzmiały zbyt sensownie: „Molly... tu jest pies. Taki ładny... ale świeci...”. Po raz pierwszy w życiu, w jego ostatnich sekundach, nie sepleniała.

Molly nie udało się uratować Rebecki, ale zachowała to wspomnienie.

Kiedy Neil wsiadł za nią do explorera, dała mu lalkę, by jej pilnował.

–Możemy natknąć się na dziewczynkę i jej rodziców, idących do miasta – wyjaśniła.

Neil nie zwrócił jej uwagi na to, że navigator został porzucony, kiedy jechał w przeciwnym kierunku.

–Byłoby miło dać jej lalkę. Jestem pewna, że nie chciała jej zostawiać.

Rozum mówił, że wojna światów, jeśli rzeczywiście się rozpoczęła, nie będzie oszczędzać dzieci.

Serce nie chciało przyjąć do wiadomości, że gdy dojdzie do ludobójstwa, żaden stopień niewinności nie może zagwarantować bezpieczeństwa.

Dawno temu, pewnego deszczowego popołudnia, Molly uratowała kilkanaścioro dzieci, wszystkich jednak nie była w stanie ocalić. Ale jeśli maleńkie ziarenko nadziei w jej sercu miało być zaczątkiem perły, musiała wierzyć, że w jej obecności żadne dziecko nie będzie cierpieć – a te, które trafią pod jej opiekę, będą bezpieczne, choćby miała zginąć w ich obronie.

Kiedy explorer potoczył się dalej, Neil popatrzył na Molly.

–Piękna lalka. Mała będzie szczęśliwa, kiedy ją odzyska.

Molly kochała go za to, że zawsze doskonale wiedział, co chciałaby usłyszeć. Rozumiał, co ją w każdej chwili i każdych okolicznościach motywuje – nawet w obecnych.

Kiedy odjechali kawałek od porzuconego navigatora, Molly z opóźnieniem uświadomiła sobie, że deszcz pachnie znacznie słabiej niż wtedy, gdy wyszła na werandę, do kojotów. Przypominająca zapach spermy woń zniknęła całkowicie, a melanz pozostałych zapachów był zdecydowanie mniej intensywny niż w domu Corrigan.

Neil potwierdził to.

–Masz rację. Nie świeci też tak jak dotychczas.

Chochlikowa noc w dalszym ciągu spływała lametą, ale

deszcz był o kilka lumenów ciemniejszy niż jakiś czas temu, padał jednak z taką samą siłą.

Zmiany te powinny dodać Molly odwagi, ale było odwrotnie – martwiły ją. Wyglądało na to, że kończy się pierwsza faza tej przedziwnej wojny i wkrótce zacznie się następna.

–Przypominam sobie jak przez mgłę, że twój pan Eliot napisał też coś o końcu świata.

–Tak. Napisał, że staniemy się wydrażonymi ludźmi, chochołowymi ludźmi z głowami napełnionymi słomą, bez przekonań i wyższych celów, a świat wydrażonych ludzi... nie kończy się z hukiem, lecz ze skomleniem *[Trawestacja tłumaczenia wiersza *Wydrażeni ludzie* w przekładzie Czesława Miłosza]..

Neil pochylił się i wyjrzał przez przednią szybę w górę, na spływające wodą niebo.

–Nie wiem jak ty, ale ja spodziewam się huku.

–Ja też.

Nie minęła minuta, a Molly zupełnie straciła zainteresowanie końcem świata i sposobem, w jaki ma nastąpić. Widok piechura, maszerującego żwawym krokiem prowadzącą na północ jezdnią, odwrócił jej uwagę od planetarnej katastrofy i przypominał osobisty kataklizm, który zmienił jej życie, gdy miała osiem lat, i ukształtował każdy jego następny dzień.

Wzdłuż drogi nie biegły chodniki i nic nie zachęcało do pokonywania jej na piechotę, ale mężczyzna szedł zdecydowanym, energicznym krokiem.

Z początku Molly wydawało się, że musi to być ktoś z tych, którzy uważali, że jeżeli

będą chodzić wystarczająco często i daleko oraz nie zjedzą nigdy nawet łyżeczki lodów, będą żyli wiecznie – o ile nie udaremnią tego takie przeszkody jak ciężarówki, nad którymi kierowca utracił kontrolę, spadające samoloty czy inwazja Obcych.

Mimo ulewy nie miał na sobie płaszcza przeciwdeszczowego. Jasnoszare spodnie i taka sama koszula, przypominające mundur, były zupełnie przemoczone.

Musiał nie czuć się najlepiej, ale dzielnie parł dalej, mokre ubranie i inne niewygody tylko w nieznacznym stopniu – jeżeli w ogóle – wpływały na rytm jego kroków. Ponieważ zła widoczność, konieczność zachowania ostrożności i strach przed tym, co mogli odkryć w mieście, sprawiały, że Molly jechała niemal wyłącznie siłą rozpędu, piechur zdawał się iść na północ niemal tak samo szybko, jak oni przemieszczali się na południe.

Gęste ciemne włosy kleiły się do jego głowy, którą nisko pochylił, aby łatwiej mu było oddychać w pionowym oceanie deszczu.

Kiedy explorer się zbliżył, mężczyzna podniósł głowę i popatrzył na nich skosem przez dwa pasy.

Mimo rozmazującego wszystko deszczu jego rysy były łatwe do rozpoznania. Gdyby Molly nie wiedziała, że za tą twarzą kryje się potwornie zdeprawowany umysł, pewnie nazwałaby ją „hollywoodzko przystojną”.

W ich kierunku szedł Michael Render. Jej ojciec. Morderca.

Nie widziała go od niemal dwudziestu lat.

Natychmiast się odwróciła, mniej dlatego, że obawiała się rozpoznania, a bardziej, ponieważ nawet na taką odległość lękała się siły jego spojrzenia, magnetyzmu w oczach, wsysającego wiru jego osobowości.

–Ki diabeł? – zdumiał się Neil, a gdy Molly przyspieszyła, odwrócił się, by spojrzeć przez tylne okno. – Miał być pod kluczem.

Potwierdzenie przez męża tożsamości idącego poboczem człowieka sprawiło, że Molly nie próbowała wmawiać sobie, że to wyobraźnia ją poniosła, a piechur jest obcym mężczyzną, nieco tylko podobnym do Renderów.

Zazwyczaj gdy myślała o nim, był jedynie nazwiskiem, z którego dawno temu zrezygnowała, przybierając panięńskie nazwisko matki. Kiedy czasami pojawiał się w jej snach, nie miał imienia, pod skórą jego głowy złowrogo rysowała się czaszka, dłonie były kosami, a szczerzące się w szerokim uśmiechu zęby połamanymi nagrobkami.

–Czy on...

–Co? Poznał cię?

–Myślisz, że tak?

–Nie wiem.

–Myśmy go poznali.

–Dzięki reflektorom. Nas było trudniej zobaczyć.

–Zmienił kierunek? Idzie za nami?

–Chyba stanął. Nie wiem dokładnie. Prawie zniknął mi z oczu.

–Cholera.

–Nic się nie dzieje.

–I to jak się dzieje! Przecież wiesz, dokąd szedł.

–Może.

–A co by tu miał innego robić? Szedł do naszego domu. Przyszedł po mnie.

–Nie wie, gdzie mieszkamy.

–Jakoś się dowiedział.

Wzdrygnęła się na myśl, co by się stało, gdyby postanowili przecześć burzę w domu.

–Nie widzę go – stwierdził Neil. – Chyba... poszedł dalej na północ, tam, dokąd zmierzał.

We wstecznym lusterku Molly widziała jedynie padający deszcz i chmury pyłu wodnego, wznoszone przez tylne koła.

Dzięki sprytnie sformułowanemu wnioskowi o uznanie za niepoczytalnego, złożonemu przez adwokata, Render uniknął więzienia. Ostatnie dwadzieścia lat spędził w szpitalach psychiatrycznych. Pierwsze z nich były instytucjami ścisłego nadzoru, ale z każdym kolejnym przeniesieniem trafiał do mniej pilnowanej placówki i otrzymywał coraz więcej przywilejów.

Terapia i leki pozwoliły mu powoli wydobywać się z otchłani psychicznego mroku.

Tak przynajmniej twierdzili psychiatrzy, choć ich sprawozdania były napisane mętym żargonem, ukrywającym fakt, że ich wnioski nie są poparte rzetelnymi obserwacjami.

Twierdzili, że zaczął żałować tego, co zrobił, więc zasługuje na lepsze warunki życia i więcej sesji terapeutycznych. Kiedy osiągnąłby dalszy postęp i okazał skruchę, mógłby zostać uznany za zrehabilitowanego, a w określonych warunkach nawet za całkowicie wyleczonego.

W ubiegłym roku ponownie rozpatrzono jego sprawę. Badający Render psychiatrzy różnili się w ocenie jego stanu. Jeden zalecał, aby zwolniono go z zachowaniem nadzoru, ale dwaj pozostali przeciwstawili się temu i orzeczono pozostawienie go w szpitalu psychiatrycznym na następne dwa lata.

–Nic gorszego nie mogli zrobić – powiedziała Molly i ze zdenerwowania zbytnio przyspieszyła.

Mało brakowało, a zaczęłyby wierzyć, że we wstecznym lusterku ujrzy nagle w chmurze wznoszonego przez tylne koła pyłu wodnego Render, biegnącego z nadludzką prędkością.

–Jeżeli go puścili, są tak samo szaleni jak on – dodała.

–Nie wiemy, co się dzieje za tymi górami, w szerokim świecie – odparł Neil. – Poza tym, że wszystko wydaje się rozpadać. Nie na każdym tonącym statku zostaje do końca kapitan.

–Ratuj się, kto może – mruknęła Molly. – Teraz do tego dojdzie... jeśli nie było tak zawsze.

Asfalt był śliski od oleju i wody. Molly poczuła, że samochód zaczyna się ślizgać, ale nie miała odwagi zwolnić. Zaraz jednak opony wgryzły się w nawierzchnię, złapały przyczepność i napędzany na wszystkie koła explorer pokonał stromiznę.

–Ten ostatni ośrodek, do którego go przenieśli... nie był miejscem, gdzie trzyma się ludzi w kamiennych celach, za stalowymi drzwiami i w kaftanach bezpieczeństwa... – zauważył Neil.

Molly zaśmiała się gorzko.

–Telewizor w każdym pokoju. Na życzenie terapeutyczna pornografia. Codziennie popołudniowa herbatka, krokiet na słonecznej łące. Obsługiwanie przez kelnerki tych, którzy obiecują – pod groźbą poważnej dezaprobaty – nie gwałcić i nie mordować dziewcząt.

Ogarnął ją wisielczy humor, który w jej przypadku był nowością i na który, jak podejrzewała, nie powinna sobie pozwalać.

–Jeżeli personel ośrodka uciekł, a tak z pewnością się stało, zwykle zamki i siatka w oknach długo nie powstrzymały więźniów – stwierdził Neil.

–„Nie powinniśmy nazywać ich więźniami – zacytowała Molly jednego z psychiatrów – tylko pacjentami”.

–Ale przecież ostatnie miejsce, w którym go trzymano, jest daleko na północy.

–Czterysta kilometrów stąd.

–Ta burza, ten koszmar... nie zaczęły się tak dawno temu.

Kiedy Molly zastanawiała się nad tym, jak szybko zwykły porządek ustępuje miejsca chaosowi, jej umysł ogarniał dygot przerażenia. Czy cywilizacja mogła poważnie ucierpieć, w ciągu kilku godzin, w niecałe ćwierć doby, tak nagle, jakby w planetę uderzyła asteroida wielkości Teksasu? Jeżeli ich do tej pory niewidzialny przeciwnik z gwiazd był w stanie tak szybko i bez oporu przewrócić wiekowe mocarstwa i przenieść historię, to bez trudu można było przewidzieć – i nie było sposobu temu zapobiec – że w ciągu dwudziestu czterech godzin wymazane zostanie każde ludzkie życie, kryjące się w każdym zwykłym siedlisku i każdej reducie.

Jeżeli technologia wysoko rozwiniętej pozaziemskiej rasy wyglądałaby dla każdej cywilizacji, młodszej od niej o tysiąc lat, jak czysta magia, to ci, którzy by nią dysponowali, przypominiliby bogów – choć może bogów o niezrozumiałych pragnieniach i dziwacznych potrzebach, bogów bez litości, nieznających łaski, nie udzielających rozgrzeszenia, głuchych na modlitwy.

–Nie mógł dostać się tu tak szybko – mruknął Neil, mając na myśli Renderr. – Nawet szybkim samochodem i znając twój adres. Nie w tych warunkach, przy mnóstwie podmytych albo zalanych dróg.

–Ale tu był. Na piechotę.

–Był.

–Może dziś dzieje się coś niemożliwego. Wpadliśmy w dziurę prowadzącą do Krainy Czarów, ale nie ma Królika, który by nas poprowadził.

–Jeśli dobrze pamiętam, Królik nie okazał się przewodnikiem, na którym można było polegać.

Po kilku kilometrach dotarli do skrętu na Black Lake – jeziora i miasta o tej samej

nazwie. Molly zjechała w prawo i podążyli opadającą drogą w ciągle ciemniejący deszcz, który stracił niemal cały blask, między potężne drzewa, wznoszące się czarnymi szańcami, ku nadziei, innym ludziom i perspektywie nowych przerażających spotkań.

Część trzecia

Przez zimno ćmę, puste bezludzie...

T. S. Eliot, *East Coker*

(przełożył Jerzy Niemojowski)

Molly spodziewała się, że sieć zasilająca padła i miasto będzie spowite ciemnościami. Było jednak inaczej, a refrakcja deszczu tak wzmacniała migotanie wystaw sklepowych i lamp ulicznych, że Black Lake wyglądało jak miasteczko festiwalowe.

Ze swoimi niecałymi dwoma tysiącami stałych mieszkańców było znacznie mniejsze od Arrowhead i Big Bear, dwóch najpopularniejszych celów turystycznych w okolicznych górach. Ponieważ nie było tu stoków narciarskich, nie cieszyło się popularnością w zimie, ale latem na jednego mieszkańca przypadało dwóch miłośników biwakowania w lesie i żeglarzy.

Jezioro było zaopatrywane w wodę przez studnię artezyjską i kilka niewielkich strumieni, a teraz przez ulewę. Wydawało się jednak, że deszczowa woda nie miesza się z wodą jeziora, lecz pływa na wierzchu jak olej, a ponieważ było jej bardzo dużo, jezioro błyszczało, jakby wpadł do niego księżyc.

Dopływ wody przekraczał jej odpływ przez śluzę powodziową i wylewała się z brzegów. Przystań była pod wodą, zacumowane do pachołków przy zatopionych pomostach jachty stały na napiętych do granic wytrzymałości linach.

Srebrne palce wody cierpliwie badały przestrzeń między stojącymi na brzegu budynkami, poznając ukształtowanie nieznanego

terenu, szukając słabych miejsc. Było jasne, że jeśli deszcz nie przestanie padać, w ciągu kilku godzin domy i sklepy na najniższej ulicy miasteczka znikną pod podnoszącą się wodą.

Molly nie miała jednak wątpliwości, że w ciągu nadchodzącego dnia mieszkańcy Black Lake będą mieli do czynienia z zagrożeniami znacznie groźniejszymi niż powódź.

Ponieważ w niemal każdym oknie paliło się światło, mieszkańcy najwyraźniej zdawali sobie sprawę z czyhających za progiem zagrożeń i wydarzeń za górami. Wiedzieli, że nadchodzi ciemność – w każdym znaczeniu tego słowa – i chcieli powstrzymać ten moment najdłużej, jak się da.

Mieszkańcy Black Lake różnili się od mieszkańców nizin i tłumu turystów, przyciąganych przez atrakcyjniejsze górskie miejscowości. Żyli tu przynajmniej od trzech lub czterech pokoleń, kochali wysokość i las oraz cenili sobie stosunkowy spokój gór San Bernardino, wznoszących się wysoko nad przeludnionymi wzgórzami i płaskowyżem na zachodzie.

Byli twardsi od większości mieszczuchów, bardziej samowystarczalni. I ze znacznie większym prawdopodobieństwem można było u nich znaleźć kolekcję broni.

Miasteczko było za małe, aby mieć własny posterunek policji. Z powodu niewielkiej liczby funkcjonariuszy, rozrzuconych na zbyt dużym terenie, średni czas reakcji policji hrabstwa na wezwanie z Black Lake wynosił trzydzieści dwie minuty.

Gdyby do jakiegoś domu włamał się rozpaczliwie potrzebujący pieniędzy na działkę narkoman albo gwałcieł, który wyrwał się na wolność, jego mieszkaniec w ciągu tego czasu mógł pięć razy zginąć. W związku z tym większość ludzi była przygotowana do samoobrony – i bardzo z tego dumna.

W żadnym z okien nie było widać twarzy, Neil i Molly wiedzieli jednak, że są obserwowani.

Choć mieli przyjaciół w całym miasteczku, nie palili się do pukania do czyichś drzwi – po części z powodu kryjącej się za nimi broni i niepokoju jej posiadaczy. Nie chcieli też trafić ponownie na

sytuacją podobną do tej, jaką zastali w domu Corrigan.

W niesłabnącej ulewie domy z zapalonymi światłami wyglądały przytulnie i zapraszająco. Mucholówka też jest przyjemną rośliną, ale jej dwuczęściowe liście czekają na ofiarę, szczerząc szczęki z zatrutymi zębami.

–Niektórzy prawdopodobnie zostali w domach, ale chyba nie wszyscy – powiedział Neil. – Ci bardziej przedsiębiorczy pewnie się gdzieś zebrali i planują obronę.

Molly wolała się nie zastanawiać, w jaki sposób twardzi mieszkańcy Black Lake – czy nawet cała armia – mogliby obronić się przed technologią, wykorzystującą jako broń pogodę. Dopóki to pytanie pozostawało bez odpowiedzi, mogła udawać, że odpowiedź istnieje.

W miasteczku nie było żadnego dużego publicznego budynku, który podczas takiego kryzysu jak obecny mógłby służyć jako centrum operacyjne. Trzech radnych, którzy dzielili się tytułem burmistrza w systemie rotacyjnym, spotykało się zawsze w Benson's Good Eats, jednej z dwóch restauracji w miasteczku.

Nie było tu także szkoły. Dzieci, które nie uczyły się w domu, przewożono autobusami do szkół poza miastem.

Black Lake miało dwa kościoły – katolicki i baptystów. Kiedy Molly i Neil je mijali, sprawiały wrażenie pustych.

W końcu znaleźli głównych strategów na Main Street, w niewielkiej dzielnicy

handlowej, położonej powyżej wzbierającego jeziora. Zebrali się w restauracji Pod Wilczym Ogonem.

Przed restauracją parkowało kilkanaście samochodów, nie wzdłuż krawężnika, gdzie ze studzienek kanalizacyjnych przelewała się woda, ale prawie na środku ulicy. Były poustawiane tyłem do budynku, jakby przygotowano je do szybkiej ucieczki.

Pod występem dachu, osłonięci przed deszczem, stali dwaj mężczyźni. Molly i Neil znali ich.

Ken Halleck pracował na poczcie, obsługującej Black Lake i kilka

okolicznych górskich osad. Zawsze się uśmiechał od ucha do ucha, teraz jednak jego twarz była poważna.

–Molly, Neil – powitał nowych gości. – Zawsze myślałem, że załatwią nas ci zwariowani islamiści.

–Jeszcze nie zginęliśmy – oświadczył Bobby Halleck, syn Kena. Aby przebić się przez deszcz, musiał niemal krzyczeć. – Mamy piechotę morską, Army Rangers, Delta Force, mamy Navy Seals.

Bobby miał siedemnaście lat, uczył się w ostatniej klasie szkoły średniej i brylował w drużynie futbolu jako quarterback. Był dobrym chłopakiem, choć nieco bufonowatym i zadziornym, trochę jak postać z filmu o futbolu z lat 30. albo 40. XX wieku, z Jackiem Oakiem i Patem O'Brienem. Nie wyglądał na zbyt młodego, aby stać na warcie, ale był zdecydowanie za mało doświadczony, co prawdopodobnie było powodem, dlaczego ojciec, sam uzbrojony w karabin, dał mu widły, które wydawały się niezbyt przydatne do odpierania ataków komandosów z kosmosu, nie mogły jednak przypadkowo wystrzelić.

–Telewizja oszalała, więc nie wiemy, co się dzieje, ale może pan być pewien, że amerykańskie wojsko skopie im dupy – dodał Bobby.

Ken patrzył na syna z uczuciem, które zawsze chętnie okazywał, teraz jednak jego spojrzenie wyrażało żal, którego nie śmiał wyrazić słowami – z obawy, że smutek zamieni się w rozpacz i okradnie ich ostatnie wspólne dni albo godziny z drobnych radości, jakimi dane im będzie się jeszcze dzielić.

–Prezydent schował się w jakiejś dziurze w górach, ale założę się, że na orbicie mamy tajne bomby atomowe, więc ci dranie wcale nie są w tych swoich statkach tacy bezpieczni, jak im się wydaje – stwierdził Bobby. – Zgadza się pan ze mną, panie Sloan?

–Nigdy nie stawiam przeciwko piechocie morskiej – odparł Neil, zwracając się do

syna, ale dłoń położył na ramieniu ojca.

–Co tu się dzieje? – spytała Molly, wskazując na restaurację.

–Podobno mamy się wspólnie bronić – odpowiedział Ken. – Ale tak naprawdę... nie wiem. Ludzie mają różne pomysły.

–Na temat tego, czy chcą żyć, czy umrzeć?

–Nie sędzę, aby wszyscy traktowali tę sytuację tak krańcowo. – Widząc jej niedowierzanie, dodał: – Molly, mieszkańcy tego miasta to ludzie, którzy zawsze tu mieszkali, tylko że... nie są już tacy sami jak dawniej. Czasami wydaje mi się, że lepiej byłoby, gdyby telewizja wyzionęła ducha pięćdziesiąt lat temu i nie pojawiła się nigdy więcej.

Zimny szary kamień fasady restauracji nie obiecywał zbyt wiele. Ale wytarte mahoniowe podłogi, wypolerowane mahoniowe ściany i sufit oraz zdjęcia mieszkańców miasteczka sprzed stu lat – z okresu, kiedy ulice dzieliły między siebie samochody i konie – tworzyły ciepłą, swojską atmosferę.

Powietrze było przesycone odorkiem rozlewanych przez lata, zwiędłego piwa, aromatem nalanego właśnie do kufli świeżego piwa z beczki, zapachem cebuli i papryki, swądem zbożowych placków, używanych do *nachos*, ciężkim zapachem wilgotnych ubrań, schnących powoli od ciepła ludzkiego ciała, i lekko kwaskowatą wonią, która mogła być zapachem grupowego strachu.

Molly zaskoczyło, że w lokalu jest tylko jakieś sześćdziesiąt osób, z których znała niewiele więcej niż dwadzieścia. W przeciętny sobotni wieczór klientela była tu dwa razy liczniejsza, w razie potrzeby Pod Wilczym Ogonem zmieściłoby się cztery razy więcej ludzi.

Dorośłym towarzyszyło tylko sześcioro dzieci, co wydało się Molly bardzo niepokojące. Spodziewała się, że wśród osób, zamierzających zorganizować obronę całej społeczności, będą przede wszystkim rodziny z dziećmi.

Przyniosła ze sobą lalkę, którą zabrali z porzuconego lincolna navigatore z nadzieją, że dziewczynka, która ją porzuciła, będzie się

znajdować wśród zebranych w restauracji ludzi. Ponieważ żadne z dzieci nie zareagowało na widok lalki, Molly posadziła ją na kontuarze baru.

Istniała szansa, że jej właścicielka zjawi się tu jeszcze. Zawsze należy mieć nadzieję.

Dzieci zebrały się razem wokół dużego boksu w rogu, ale dorośli podzielili się na cztery grupy. Można było wyczuć, że kryterium podziału jest sposób podejścia do

tego, co się wokół działo.

Wszyscy, którzy znali Molly i Neila, pozdrowili ich. Ci, którzy ich nie znali, przyglądali im się z uwagą graniczącą z niechęcią, jakby nie uważali ich za sprzymierzeńców po prostu dlatego, że byli sąsiadami, lecz za outsiderów, których można serdeczniej powitać dopiero wtedy, gdy wyjaśnią, do kogo zamierzają się przyłączyć.

Najbardziej jednak zaskoczyła Sloanów obecność psów. Molly była kiedyś we Francji, gdzie psy widuje się zarówno w barach dla robotników, jak i w najlepszych restauracjach. W Ameryce jednak przepisy sanitarne nakazują pozostawienie psów na zewnątrz, a większość restauracji nie toleruje ich w ogóle.

Psów było cztery... sześć... osiem – w każdym rogu – mieszańców i rasowych, średniej wielkości i dużych, nie było żadnego małego. Liczba zwierząt przekraczała liczbę dzieci.

Kiedy weszli, psy niemal jednocześnie wstały i obróciły ku nim łby. Miały różne pyski, komiczne i szlachetne, ale wszystkie były poważne i czujne. Po chwili wahania zrobiły coś przedziwnego.

Ze wszystkich kątów lokalu, każdy inną drogą, zeszyły się do Molly. Nie zbliżały się do niej w rozentuzjasmowanych podskokach, wyrażających chęć zabawy, ani z ostrożnie podkulonymi ogonami, w postawie będącej reakcją na nieznaną i nieco niepokojący zapach.

Miały postawione uszy, a ich ogony zamiatały powietrze powolnymi, nieśmiałyymi ruchami. Najwyraźniej ciągnęła je do Molly ciekawość, jakby była w ich świecie czymś całkiem nowym – nowym, ale nie niebezpiecznym.

Pierwsze obliczenia Molly okazały się błędne. Było nie osiem, a dziewięć psów i wszystkie były nią bardzo zaintrygowane. Okrężały ją, napierały, wachały buty, dzinsy, płaszcz.

Przez chwilę sądziła, że czują zapach kojotów, potem jednak przypomniała sobie, że wychodziła na werandę w piżamie i szlafroku, nie miała na sobie ani jednej części tego ubrania co teraz.

Poza tym większość udomowionych psów nie ma poczucia pokrewieństwa z dzikimi kuzynami. Zazwyczaj reagują na zapach kojota – a już na pewno na jego wycie w nocy – nastroszeniem sierści i warczeniem.

Kiedy Molly wyciągnęła do nich ręce, zaczęły trącać jej dłonie nosami i lizać palce, witając ją z wylewnością, jaką większość psów

rezerwuje dla ludzi, z którymi łączy je znacznie dłuższa znajomość.

–Co ty masz w kieszeniach? Parówki? – spytał właściciel restauracji, Russell Tewkes.

Ton jego głosu nie pasował do żartobliwej treści pytania. Brzmiała w nim podejrzliwość, która zdziwiła Molly.

Ze swoją figurą przypominającą beczkę piwa i wesołą twarzą podchmielonego mnicha był uosobieniem jowialnej życzliwości. Dla tych, którym przydarzyło się nieszczęście, zawsze miał współczujące ucho, niczym najczulsza matka.

Teraz jednak podejrzliwość zwęziła mu oczy, a usta nabrały ponurego wyrazu. Zachowywał się wobec Molly, jakby była potężnym motocyklistą z gangu Aniołów Piekła z wytatuowanym na grzbietach dłoni napisem NIENAWIŚĆ.

Kiedy psy dalej ją okrężały i obwąchiwały, Molly dostrzegła, że nie tylko Russell tak się wobec niej zachowuje. Również inne osoby – wśród nich znajomi, którzy przed

chwila witali ją po imieniu albo machnięciem ręki – zaczęły ją obserwować z nieskrywaną podejrzliwością.

Nagle zrozumiała powód zmiany ich nastawienia. Naoglądali się filmów o inwazji Obcych i w ich głowach rozgrywał się w tej chwili scenariusz w rodzaju „wchodzą między nas, udając ludzi” – z takich obrazów jak *Inwazja pożeraczy ciał* albo *Coś* Johna Carpentera.

Niezwykłe zachowanie psów wskazywało na to, że Molly różni się czymś od innych ludzi. Choć dziewięciu członków futrzastej społeczności machało ogonami, lizało ją po rękach i patrzyło na nią niemal z uwielbieniem, większość ludzi obecnych w lokalu – jeżeli nie wszyscy – bez wątpienia zastanawiało się, czy nie należy interpretować zachowania zwierząt jako ostrzeżenia, że znalazła się wśród nich jakaś nieziemska istota udająca człowieka.

Bez trudu można było sobie wyobrazić, co by się działo, gdyby wszystkie psy – czy choćby tylko jeden o paskudnym charakterze – powitał ją warczeniem, nastroszeniem sierści i położeniem uszu

po sobie. Tego rodzaju wyraz wrogości zostałby jednoznacznie zinterpretowany i Molly znalazłaby się w identycznej sytuacji jak kobieta z siedemnastowiecznego Salem, oskarżona o czary.

W przynajmniej dwóch miejscach dużego pomieszczenia stały oparte o ściany strzelby i karabiny, łatwo dostępne dla każdego, kto zechciał po nie sięgnąć.

Wielu z tych obrońców planety z pewnością miało też broń krótką. Kilku spośród nich, najbardziej zżeranych przez strach i bezsilność, prawdopodobnie poczułoby ulgę, może nawet satysfakcję, jeśli mieliby okazję strzelić do czegoś lub do kogoś, do kogokolwiek.

Gdyby w tym bagnie paranoi rozpoczęła się strzelanina, nic nie mogłoby jej już przerwać.

Molly spojrzała w głąb sali, ku dzieciom. Wyglądały na przestraszone. Już w chwili, gdy je ujrzała, zrobiły na niej wrażenie straszliwie bezbronnych – tym bardziej teraz.

–Idźcie – powiedziała do psów. – Sio, idźcie sobie!

Ich reakcja okazała się równie niezwykła jak poprzednie zainteresowanie jej osobą. Natychmiast posłuchały, jakby sama je wszystkie wytresowała, i wróciły na miejsca, które zajmowały w chwili, gdy Neil i Molly weszli do środka.

Zadziwiający posłuszeństwo jeszcze nasiliło podejrzliwość sześćdziesięciu obecnych w restauracji osób. Zapadła całkowita cisza, w której słyhać było jedynie

bębienie deszczu. Wszystkie spojrzenia wędrowały od Molly do wycofujących się psów i znów wracały do Molly.

Zakłęcie milczenia przerwał Neil.

–Cholernie dziwna ta noc, cudactwo po cudactwie – powiedział do Russella Tewkesa. – Przydałoby mi się coś do

picia. Prowadzisz sprzedaż? Masz orzeszki do piwa?

Russell zamrugął i pokręcił głową, jakby otrząsnął się z transu.

–Dziś nie sprzedaję, a rozdaję. Na co masz ochotę?

–Dzięki, Russ. Masz coorsa w butelce?

–Zawsze sprzedaję tylko z beczki i w butelkach. Puszek nie mam. Powoduje Alzheimera.

–Co chcesz, Molly? – spytał Neil.

Nie miała ochoty na nic, co mogłoby osłabić percepcję i zmącić zdolność osądu. Szansa na przeżycie mogła zależeć od trzeźwości.

Kiedy jednak popatrzyła Neilowi w oczy, dostrzegła w nich prośbę, aby napiła się czegoś nie dlatego, że potrzebuje, ale dlatego, że większość ludzi w lokalu najprawdopodobniej uważa, iż w obecnych okolicznościach powinna chcieć się napić czegoś mocniejszego – jeżeli tak jak oni jest człowiekiem.

A więc szansa na przeżycie mogła także zależeć od elastyczności.

–Daj mi corone.

Podczas gdy Molly, próbując zrozumieć przyczyny takiego lub innego zachowania ludzi, musiała studiować ich charaktery i poddawać je dokładnej analizie, podobnie jak przy tworzeniu postaci bohaterów swoich powieści, Neil instynktownie rozumiał każdego w kilka chwil od poznania go. Jego reakcje „z brzucha” okazywały się zazwyczaj nie mniej trafne niż jej wnikliwa analiza charakterologiczna.

Wzięła corone i przytknęła butelkę do ust ze świadomością, że znajduje się w centrum zainteresowania. Zamierzała upić mały łyk, ale – sama najbardziej tym zaskoczona – wypila jedną trzecią butelki.

Kiedy oderwała butelkę od ust, napięcie w sali wyraźnie opadło.

Zainspirowana przez Molly, przynajmniej połowa obecnych podniosła swoje napoje.

Wielu abstynentów obserwowało pijących z dezaprobatą lub niepokojem.

Zdobywszy akceptację za pomocą tak absurdalnego testu na człowieczeństwo, Molly zaczęła wątpić, czy gdyby najeźdźcy rzeczywiście potrafili przyjmować ludzką postać, człowiekowi udałoby się przetrwać – nawet w najbardziej oddalonym i najlepiej chronionym bunkrze.

Wielu ludziom trudno pogodzić się z istnieniem czystego zła, wydaje im się, że mogą przepłoszyć je za pomocą pozytywnego myślenia i udawać, że go nie ma, zmusić je do skruchy za pomocą psychoterapii albo udomowić współczuciem. Jeżeli nie potrafią dostrzec nieprzejednanego zła w sercach swoich bliźnich i nie rozumieją jego trwałości, nie umieliby też przejrzeć doskonałego biologicznego przebrania pozaziemskiego gatunku.

Psy przez cały czas obserwowały Molly ze swoich posterunków w sali – jedno otwarcie, inne skrycie.

Ich zachowanie nagle trąciło w niej strunę paranoi, która zawsze jest obecna w ludzkim umyśle: przemknęło jej przez głowę, czy to, że psy do niej przyszły, szukając kontaktu z człowiekiem, nie oznacza przypadkiem, że wszyscy obecni – nawet dzieci – są oszustami, Obcymi, przebranymi za przyjaciół i sąsiadów.

Nie. Psy nie zareagowały na Neila, choć na pewno nie był podmieniony. Przyczyna ich zainteresowania nadal pozostawała zagadką.

Udając obojętność, zwracały uwagę na każdy jej ruch, ich błyszczące ślepie zdawały się ją adorować, jakby była nieruchomym punktem w obracającym się świecie, punktem, w którym przeszłość spotyka się z przyszłością, jedynym stworzeniem świata, godnym ich skupionej uwagi.

Molly i Neil krążyli po lokalu i rozmawiali z ludźmi, szukali informacji, które pozwoliłyby im lepiej ocenić sytuację zarówno w mieście, jak i w lasach za Black Lake.

Wszyscy widzieli apokaliptyczne sceny w telewizji. Może byli ostatnimi przedstawicielami gatunku ludzkiego, którzy oglądali wstrząsające światem wiadomości za pomocą tego środka przekazu.

Kiedy kanały telewizyjne wypełniły burze elektronicznego śniegu oraz tajemnicze pulsacje koloru, niektórzy powłączali radia i zaczęli łapać fragmenty wiadomości z innych miast. Reporterzy donosili o straszliwych istotach, które pojawiły się na ulicach, nazywając je potworami, ET, Obcymi, demonami albo jeszcze inaczej, choć często byli zbyt spanikowani, aby dokładnie opisać, co widzą, a czasem ich przekaz urywał się nagle, kończąc się okrzykami przerażenia i bólu.

Molly pomyślała o człowieku z Berlina, którego głowa została przecięta na pół i spadła w dwóch częściach na asfalt, wzdrygając się na samo wspomnienie.

Szukano także informacji w Internecie, był tam jednak tylko poplątany zlepek dzikich plotek i gorączkowych spekulacji, które jeszcze bardziej mąciły w głowie. Potem przestały działać telefony – stacjonarne i komórkowe – oraz przekaz sieciowy, co sprawiło, że

Internet rozpadł się tak szybko, jak szybko rozplywa się w silnym podmuchu obłoczek pary.

Wiele zebranych w restauracji osób, podobnie jak Neil i Molly, zaobserwowało dziwne zachowanie się zegarów i innych mechanizmów – oraz niezwykle odbicia w lustrach. Elektryczne noże kuchenne nagle zaczynały pracować i podskakiwać. Komputery same się włączały, a przez ekrany monitorów przebiegały szeregi hieroglifów i ideogramów nieznanego języka. Z odtwarzaczy CD zaczynała wydobywać się dziwna, niemelodyjna muzyka, nie przypominająca niczego nagranych na włożonych do nich płytach.

Opowiadano historie o niezwykłych reakcjach zwierząt, nie mniej tajemniczych niż przygoda Molly z kojotami i zachowanie myszy w garażu. Cała fauna świata zdawała się dostrzegać, że spoza Ziemi przybyło nowe zagrożenie, które wyparło wszelkie dotychczasowe niebezpieczeństwa.

Wszyscy wyczuli obecność czegoś niecodziennego i groźnego nad głowami, czegoś, co Neil określił słowami „spada na nas góra” – tajemniczej masy o ogromnym ciężarze, która najpierw opadała, potem nieruchomo zawisała, a następnie

odleciała na wschód.

Norman Ling, właściciel jedyne w Black Lake sklepu spożywczego, powiedział, że jego żona, Lee, obudziła go tego dnia, krzycząc, że „Księżyc spada”.

–Teraz żałuję, że to nie Księżyc – powiedziała Lee z powagą w ciemnych, przepelnionych lękiem oczach. – Gdyby tak było, zginęlibyśmy i nie czekałoby nas nic gorszego.

Choć wszyscy przeżyli to samo i wyciągali ze swoich doświadczeń podobne wnioski – że ich gatunek wcale nie jest najinteligentniejszy, a jego panowanie na Ziemi jest przeszłością – nie potrafili uzgodnić takiej reakcji na zagrożenie, która byłaby do przyjęcia dla wszystkich. Cztery różne postawy podzieliły ludzi w lokalu na cztery obozy.

Pijani i ci, którzy pilnie pracowali nad tym, aby się upić, stanowili najmniejszą grupę. Ich zdaniem najwspanialsze zdobycze ludzkiej

cywilizacji zostały już utracone i nie ma szans na ich odtworzenie. Jeżeli nie można uratować świata, należy pić, by uczcić jego pamięć – i mieć nadzieję, że kiedy nadejdzie brutalna śmierć, Jack Daniels albo absolut złagodzi ból.

Liczniejsi od pijanych byli miłośnicy pokoju, próbujący pozować na rozważnych. Pamiętali takie filmy jak *Dzień, w którym zatrzymała się Ziemia*, w którym Obcy, przynoszący ludziom na Ziemi dary pokoju i miłości, zostają źle zrozumiani i stają się celem bezmyślnej ludzkiej przemocy.

Dla tej grupy – niezależnie od alkoholu – ogólnoswiatowa katastrofa nie była dowodem złych intencji, lecz raczej tragiczną konsekwencją niemożności porozumienia się i wynikiem nierozważnego, ignoranckiego ludzkiego działania. Ci rozważni i rozsądni obywatele byli przekonani – albo udawali przekonanie – że wszystko, co się teraz dzieje, zostanie w odpowiednim czasie wyjaśnione i naprawione przez łagodnych ambasadorów z innej planety.

Według Molly *Dzień, w którym zatrzymała się Ziemia* stanowił słabsze odniesienie do sytuacji niż stary odcinek *Strefy mroku*, w którym Obcy przybyli, by rozwiązać wszystkie problemy ludzkości, prowadzeni przez świętą księgę, której tytuł brzmiał *To Serve Man* *[Nieprzetłumaczalna gra słów. Może to oznaczać zarówno „służyć człowiekowi”, jak i „podawać człowieka”]. Niestety niemądrzy ludzie zbyt późno zauważyli, że święta księga to książka kucharska.

Jeszcze liczniejsi od pijaków i miłośników pokoju razem wziętych byli podpieracze ścian, którzy nie mogli się zdecydować, czy na inwazję należy zareagować brutalną siłą, pokojowymi uwerturami i pieśniami o miłości, czy może spożyciem wyłączającej z akcji ilości napojów alkoholowych. Twierdzili, że do podjęcia decyzji potrzebują

więcej informacji, i prawdopodobnie cierpliwie czekali na nie dalej jeszcze w chwili, gdy amator ludzkiego mięsa z Andromedy podlewałby ich masłem.

Molly z przerażeniem dostrzegła wśród nich kilku przyjaciół. Miałyby dla nich więcej szacunku, gdyby zdecydowali się na pacyfizm czy upojenie alkoholowe.

Czwarta grupa, niemal tak samo liczna jak podpieracze ścian, składała się ze zwolenników obrony, niezależnie od szans na sukces. Było w niej tyle samo mężczyzn co kobiet, w różnym wieku i o różnych przekonaniach. Pełni energii i wściekłości, przynieśli większość znajdujących się w restauracji broni i palili się do walki.

Przysiedli się do Molly i Neila i przywitali ich z radością, uznając na widok strzelby i pistoletu, że Sloanowie podzielają ich pogląd na sprawę. Cała grupa zestawiała sześć stołów w kształcie litery U, aby rozważyć wszystkie możliwe „a co jeśli” oraz zastanowić się nad strategią i taktyką na każdą ewentualność.

Nic jednak nie wiedzieli o przeciwniku, więc całe to teoretyzowanie i planowanie nie było wiele więcej warte od symulowanej gry wojennej. Dawało im jednak poczucie sensu, było antidotum na strach.

Choć bali się konfrontacji, byli także rozczarowani, że napastnicy jeszcze się nie pokazali – przynajmniej w Black Lake. Chcieli walczyć i byli gotowi w razie potrzeby umrzeć, ale nie znali przeciwnika.

Molly była szczęśliwa, że wreszcie mieli towarzyszy.

Nieformalnym przywódcą frakcji „wolność albo śmierć” był Tucker Madison, wcześniej komandos piechoty morskiej, obecnie zastępca szeryfa w biurze szeryfa hrabstwa San Bernardino. Jego opanowanie, spokojny głos i jasne, szczere spojrzenie przypominały Molly Neila.

–Najbardziej martwi mnie to, że nie pokażą się szybko tam, gdzie będziemy ich mogli widzieć – powiedział. – Mając możliwość sterowania pogodą, po co mieliby ryzykować wejście pod nasz ogień, nawet jeśli nasza broń jest jak na ich standardy prymitywna?

–Niektórzy z tych bezbożnych drani najwyraźniej pokazali się

już w innych miastach – powiedziała skośnooka sześćdziesięcioletnia kobieta o ogorzałej twarzy. – Tu też w końcu przyjdą.

–Ale nikt z nas żadnego z nich nie widział – odparł Tucker. – Ci redaktorzy z wiadomości mogą być maszynami zwiadowczymi, zdalnie sterowanymi urządzeniami, robotami.

Vince Hoyt, nauczyciel historii i trener drużyny futbolowej regionalnej szkoły średniej, miał śmiałe i władcze rysy rzymskiego imperatora. Jego szczęki wyglądały na wystarczająco mocne, aby mogły miażdżyć orzechy włoskie, a kiedy się odzywał, jego głos brzmiał, jakby połknął łupiny.

–Zasadnicze pytanie brzmi, co się stanie, jeżeli dalej będzie padać... przez tydzień, dwa albo miesiąc. Nasze domy nie wytrzymają takiej ulewy. Mój już przecieka, a w tym deszczu nie da się wyjść na dach, by go naprawić. Może zamierzają utopić naszą wolę oporu, wymyć z nas chęć walki.

–Jeżeli deszcz, to dlaczego nie wiatr? – spytał młody mężczyzna z kręconymi blond włosami, złotym kolczykiem w uchu i wytatuowanymi na piersi czerwonymi, skrzywionymi kobiecymi ustami. – Albo tornada, huragany.

–Sterowane błyskawice – włączyła się skośnooka kobieta. – Czy to możliwe? Mogliby coś takiego zrobić?

Molly pomyślała o ogromnej i najwyraźniej sztucznie wywołanej trąbie wodnej na Pacyfiku, wysysającej miliony litrów wody na minutę. Koncepcja sterowanych błyskawic nie brzmiała dziś tak absurdalnie, jak brzmiałaby wczoraj.

–Może nawet trzęsienia ziemi – dodał Vince Hoyt. – Ale zanim coś takiego się wydarzy, musimy zdecydować, gdzie założyć kwaterę główną, w której można byłoby zebrać broń, jedzenie, leki, środki pierwszej pomocy...

–Mam w sklepie mnóstwo jedzenia, ale jest dosyć nisko położony – powiedział Norman Ling. – Jeżeli deszcz będzie dalej padał, jutro o tej porze zostanie zalany.

–Poza tym sklep nie jest dobrym miejscem do obrony, bo ma zbyt duże okna – oświadczył Tucker Madison, demonstrując swoje

doświadczenie z piechoty morskiej. – Mówię o tym niechętnie, ale pamiętajcie, że musimy się martwić nie tylko o Obcych. Wraz z załamaniem się systemu komunikacyjnego rozpada się cały system władzy cywilnej. Może już przestał istnieć. Nie byłem w stanie nawiązać kontaktu z biurem szeryfa. Nie ma już policji. Może nie ma także Gwardii Narodowej ani spójnego systemu dowodzenia, pozwalającego odpowiednio wykorzystać armię...

–Chaos i anarchia... – szepnęła Lee Ling.

Spokojnie, jakby nie mówił o straszliwym załamaniu się cywilizacji, Tucker powiedział:

–Wiercie mi, jest mnóstwo ludzi, którzy zechcą skorzystać z chaosu. Nie myślę jedynie o tych spoza miasta. Mamy tu własnych zbirów i mendy, złodziei, gwałcicieli i

miłośników przemocy, którzy uważają, że anarchia to raj. Będą mogli brać sobie wszystko, na co im przyjdzie ochota, robić to, na co mają ochotę, a im bardziej będą sobie folgować, tym bardziej zdegenerowani i okrutni będą się stawać. Jeżeli nie będziemy przygotowani do obrony przed nimi, pozabijają nas i nasze rodziny, zanim staniemy twarzą w twarz z kimkolwiek z drugiego końca galaktyki.

Zapadła ponura cisza. Lee Ling wyglądała, jakby znów marzyła o zderzeniu z Księżycem.

Molly pomyślała o Renderze, mordercy pięciorga dzieci, którego ostatnio widziała idącego na północ drogą na grani.

Nie będzie tej nocy jedynym uwolnionym z zaniknięcia potworem. Kiedy personel więzień i szpitali psychiatrycznych opuszczał swoje miejsca pracy, prawdopodobnie zostawił pootwierane drzwi – albo z niedbałości, albo ze współczucia dla osadzonych. Możliwe też, że w panującym wokół chaosie więźniowie sami się uwolnili.

Było to Halloween nad Halloweenem, sześć tygodni przed terminem, i niepotrzebne były wydrążone dynie czy duchy z prześcieradeł, bo noc była poznaczona śladami ropiejącego zła.

–Bank – zasugerował Neil.

Odwróciły się ku niemu wszystkie głowy, a oczy zamrugwały, jakby jego głos wyrwał siedzących przy stole z sennego koszmaru.

–Bank jest z żelbetu, stoi na fundamencie z wapiennej skały, a zbudowano go w tysiąc dziewięćset trzydziestym szóstym albo siódmym roku, kiedy stan po raz pierwszy zaczął stosować normy budowlane mające zabezpieczać przed trzęsieniem ziemi – powiedział Neil.

–Budowano wtedy tak, aby budynek długo przetrwał – dodała Molly.

Pomysł Neila spodobał się Tuckerowi.

–Bank został tak zaprojektowany, aby gwarantował bezpieczeństwo. Jedno albo dwa wejścia. Niewiele okien, do tego małe.

–I zakratowane – przypomniał Neil. Tucker kiwnął głową.

–Mnóstwo miejsca dla ludzi i na zapasy. Do rozmowy włączył się Vince Hoyt.

–Kiedy prowadziłem drużynę podczas meczu, nigdy nie uważałem, że nie da się uniknąć przegranej, nawet jeśli w ostatniej kwarcie przeciwnik miał przewagę

czterech przyłożeń, i nie zamierzam zmieniać tej postawy. Nigdy! W banku jest jeszcze jedna dobra rzecz: sejf. Opancerzone ściany, grube stalowe drzwi. Jeśli zajdzie taka potrzeba, może służyć za świetną kryjówkę. Jeżeli zechcą wyrwać drzwi i przyjść po nas, zrobimy w nim strzelnicę i zabierzemy ze sobą kupę drani.

Pełnym godności krokiem szczeniaczka lądowego, próbującego przejść przez pokład rzucanego falami statku bez zrobienia z siebie idioty, Derek Sawtelle szedł od pijaków do siedzącej wśród wojowników Molly. Pochylił się nisko, aby móc szeptać jej do ucha.

–Droga pani, nawet w tych okolicznościach wyglądasz czarująco.

–A ty nawet w tych okolicznościach masz nasrane we łbie.

–Mógłbym poprosić ciebie i Neila na słówko? Na osobności?

Zawsze upijał się wytwornie. Im więcej ginu z tonikiem wypił, tym uprzejmiej się zachowywał.

Znając go od pięciu lat, Molly wiedziała, że do butelki nie przyciągnęła go dziś kontemplacja załamania się cywilizacji. Upijanie się było jego stylem życia, filozofią, wiarą.

Był od wielu lat profesorem literatury na uniwersytecie w San Bernardino, zbliżał się do swoich sześćdziesiątych piątych urodzin i obowiązkowej emerytury, a specjalizował się w amerykańskich pisarzach XX wieku.

Idolami Dereka byli ostro pijący macho, od Hemingwaya po Normana Mailera. Jego zauroczenie nimi opierało się po części na

wiedzy literackiej, ale miało też w sobie coś z potajemnego zadurzenia brzyduli w gwiazdzie szkolnej drużyny futbolowej.

Ponieważ brakowało mu siły fizycznej, był zbyt łagodny, aby brać udział w barowych rozróbach, rozkoszować walkami byków albo trzymać żonę za kostki, wywieszoną za okno wieżowca, mógł naśladować swoich bohaterów, jedynie nurzając się w literaturze i ginie.

Niektórzy nauczyciele akademicki traktowali swoje wykłady jak przedstawienie i mogliby być niezłymi aktorami. Derek również do nich należał.

Molly kilka razy rozmawiała z jego studentami i widziała go w akcji na scenie, którą sobie wybrał. Nie tylko umiał zabawić swoją publiczność, ale był także bardzo dobrym nauczycielem.

W obliczu zbliżającego się Armagedonu ubrał się, jakby za chwilę miał wejść do sali wykładowej. Być może nauczyciele akademicki z połowy XX wieku nie preferowali

wełnianych spodni i tweedowych marynarek, wełnianych bezrękawników w różnokolorowe romby, jedwabnych chusteczek w kieszonce i ręcznie wiązanych much, Derek jednak nie tylko napisał sobie życiową rolę, ale także zaprojektował kostium do niej.

Kiedy Molly wstała i razem z Neilem poszli za nim w głąb sali, znowu zobaczyła, że wszystkie dziewięć psów skupia na niej całą swoją uwagę.

Trzy z nich – czarny labrador, golden retriever i mieszaniec o skomplikowanym rodowodzie – krążyły po pomieszczeniu i obwąchiwały podłogę, podniecone nadal utrzymującymi się zapachami jedzenia, mimo że resztki dawno zostały sprzątnięte: tu ślad wczorajszej guacamoli, tam kapka tłuszczu z upuszczonej frytki.

Od początku deszczu było to pierwsze normalne zachowanie zwierząt, ale choć krążące po sali psy przyklejały wilgotne nosy do desek podłogi, cały czas ukradkiem obserwowały Molly spod przymkniętych powiek.

Doszli do cichego końca baru, gdzie nie mogli być słyszani.

–Nie chcę nikogo niepokoić. Myślę, że wszyscy i tak są wystarczająco zdenerwowani, ale wiem, co tu się dzieje, i sądzę, że nie ma sensu się bronić.

–Bez obrazy, Derek, czy w twoim życiu istniało cokolwiek, przed czym według ciebie należało się bronić? – spytała Molly.

Uśmiechnął się w odpowiedzi.

–Jedyną rzeczą, jaka mi przychodzi na myśl, jest niesmaczna popularność tego okropnego koktajlu o nazwie Harvey Wallbanger. W latach siedemdziesiątych podawano to obrzydlistwo na każdym przyjęciu, a ja broniłem się przed nim z heroicznym uporem.

–Wszyscy wiemy, co się dzieje – powiedział Neil. – Przynajmniej w ogólnym zarysie.

Gin zdawał się służyć Derekowi jako podawana doustnie płukanka do oczu, bo ich białka w ogóle nie były przekrwione.

–Zanim wyjaśnię, o co chodzi, muszę przyznać się wam do żenującej słabości, o której nie wiecie. W zaciszu domu czytałem dużo fantastyki naukowej...

Jeśli sądził, że ten sekret wymagał okazania skruchy, może był bardziej pijany, niż wyglądało to na pierwszy rzut oka.

–Część jest całkiem niezła – powiedziała Molly.

Derek uśmiechnął się szeroko.

–To prawda, choć czytanie fantastyki to przyjemność wywołująca poczucie winy. Z pewnością nic nie może się mierzyć z Hemingwayem ani Faulknerem, ale całe biblioteki tego towaru są znacznie lepsze od Gore Vidala i Jamesa Jonesa.

–Fantastyka naukowa jest w porządku, ale jaki ma związek z tym, co nas czeka? – spytał Neil.

–W wielu powieściach science fiction natknąłem się na koncepcję terraformingu. Wiecie, co to jest?

Molly domyśliła się, o co chodzi.

–Robienie Ziemi... albo robienie jakiegoś miejsca podobnym do Ziemi.

–Właśnie – powiedział Derek z entuzjazmem miłośnika *Star Treka*, opowiadającego o szczególnie smakowitym zwrocie akcji w jego ulubionym epizodzie. – Oznacza to zmianę środowiska niemożliwej do

zamieszkania planety w taki sposób, aby mogli osiedlić się na niej ludzie. Można by na przykład zbudować wielkie maszyny, które uwolniłyby z każdej bryły ziemi i każdej skały na Marsie cząsteczki atmosfery nadające się do oddychania, zmieniając niemal pozbawioną tlenu planetę w świat, w którym będą mogli żyć ludzie oraz ziemska flora i fauna. Ale w tych opowieściach terraforming planety zajmuje dziesięciolecia czy nawet stulecia.

Molly natychmiast zrozumiała, co ma na myśli.

–Uważasz, że nie używają pogody jako broni? – zapytała.

–Raczej nie. To nie jest wojna światów. Dla tych stworów, niezależnie skąd przybyły, jesteśmy tak nieważni jak komary.

–Nie prowadzi się wojny z komarami – mruknął Neil.

–Oczywiście, że nie. Osusza się tylko bagno, pozbawia je środowiska, w którym mogą się mnożyć, i buduje domy w tym miejscu. To, co te stwory robią, jest odwrotnością terraformingu, one przerabiają środowisko naturalne Ziemi na coś, co przypomina ich planetę. Zniszczenie naszej cywilizacji jest jedynie efektem ubocznym tego działania.

Dla Molly, która uważała, że życie jest darem pełnym głębokiego znaczenia, zimne okrucieństwo i niewyobrażalna okropność tego, o czym mówił Derek, nie mogły istnieć w dziele stworzenia.

–Nie. To niemożliwe.

–Ich nauka i technologia są o setki, jeśli nie tysiące lat bardziej rozwinięte od naszych – powiedział Derek. – Wykraczają poza naszą zdolność rozumienia. Być może zamiast dziesięcioleci potrzebują na przerobienie naszego świata jedynie roku, miesiąca albo tygodnia.

Jeżeli było to prawdą, ludzkość spotkało coś znacznie gorszego od wojny, odmówiono jej nawet statusu wroga, uznano za robactwo, a nawet za coś jeszcze mniej ważnego niż robactwo – za pleśń, którą należy splukać za pomocą oczyszczającego roztworu.

Molly poczuła ucisk w piersi, jej oddech stał cięższy, a serce zaczęło galopować ze strachu, próbowała jednak przekonać samą siebie, że jej reakcja na wizję Dereka wcale nie wskazuje na to, że dostrzega w jego słowach prawdę. Nie mogła uwierzyć, że można odbierać ludziom świat z taką arogancją. Nie zgadzała się na coś podobnego.

–Mam dowody – dodał Derek, czując jej opór.

–Dowody? – zdziwił się Neil. – Jakie ty możesz mieć dowody?

–Jeśli nie dowody, to przynajmniej cholernie przekonujące fakty – odparł Derek. – Chodźcie za mną.

Odwrócił się twarzą ku zapleczu restauracji, zanim jednak zrobił krok, ponownie na nich popatrzył.

–Molly... Neil... dzielę się tym z wami z troski. Nie chcę sprawiać wam przykrości.

–Już za późno – mruknęła Molly.

–Jesteście moimi przyjaciółmi i nie chcę, żebyście zmarnowali ostatnie godziny życia, niepotrzebnie opierając się nieuniknionemu losowi.

–Mamy wolną wolę. Sami tworzymy swój los, nawet jeśli jest zapisany w gwiazdach – powiedział Neil, bo tak go nauczono i w dalszym ciągu w to wierzył.

Derek pokręcił głową.

–Lepiej skorzystać z pozostałych jeszcze przyjemności. Kochać się. Włamać się do sklepu Normana Linga i zabrać z niego coś dobrego do jedzenia, zanim zostanie zalany wodą. Otoczyć się przyjemnymi oparami ginu. Jeśli inni chcą odejść z hukem... niech im będzie, ale wy nie musicie marnować czasu, jaki wam jeszcze pozostał, zanim zostaniecie splukani w długą, pozbawioną ginu ciemność.

Odwrócił się ponownie i ruszył w kierunku zaplecza.

Molly patrzyła i wahała się, czy za nim podążać. Derek Sawtelle stał się kimś całkiem innym. W dalszym ciągu był przyjacielem, ale stał się także ucieleśnieniem śmiertelnej pokusy – pokusy rozpacz.

Nie chciała oglądać tego, co miał im do pokazania, ale odmowa byłaby milczącym przyznaniem się do obawy, że jego dowody mogą być przekonujące. Byłaby pierwszym krokiem na drodze ku rozpacz.

Jedynie idąc za nim, mogła sprawdzić siłę swojej wiary i mieć szansę zachowania nadziei.

Popatrzyła Neilowi w oczy. Rozumiał jej dylemat i myślał tak samo.

Derek stanął w wejściu do korytarzyka, prowadzącego do toalet. Odwrócił się.

–Będziecie mieli dowód – obiecał.

Molly popatrzyła na trzy wałęsające się po sali psy, a one nagle odwróciły od niej wzrok, udając, że są pochłonięte odczytywaniem zapisanej na poplamionej podłodze historii resztek jedzenia, które na nią pospadały.

Derek wszedł do korytarzyka.

Po chwili wahania Molly i Neil ruszyli za nim.

Kiedy Derek stwierdził, że męska toaleta jest wolna, dał im znak, aby weszli, i zastawił otwarte drzwi kubłem na śmieci.

Perfumowane kostki toaletowe leżące w pisuarach sprawiały, że pomieszczenie przepełniał chemiczny zapach leśny. Spod niego przebijał odór starego moczu.

W środku było troje drzwi – dwoje prowadziło do kabin, a trzecie do pakamery ze sprzętem do sprzątania.

–Myłem ręce i stwierdziłem, że skończyły się papierowe ręczniki – powiedział Derek.
– Otworzyłem drzwi do pakamery, aby poszukać nowych, i...

Kiedy otwierano drzwi pakamery, wewnątrz automatycznie zapalało się światło, które gasło po ich zniknięciu.

W środku, na metalowych półkach, leżały zapasy. Na podłodze stała miotła. Mop z gąbki i mop sznurkowy. Kubeł na kółkach.

–Od razu zauważyłem wyciek – dodał Derek.

Gipsowo-kartonowa płyta sufitowa w głębi pakamery czymś nasiąkła. Powstał pęcherz, który po jakimś czasie pękł i przez dziurę na półki poniżej zaczęła skapywać woda.

Kiedy Derek wystawił wiadro, miotłę i mopy na zewnątrz, pomieszczenie okazało się wystarczająco duże, aby zmieścili się w nim we troje.

Na widok obiecane przez Dereka dowodu Molly cofnęła się o krok i wpadła na Neila. Wydawało jej się, że zobaczyła węża.

–Prawdopodobnie jest to grzyb albo coś w tym rodzaju –

wyjaśnił Derek. – To chyba najbardziej pasujące określenie.

Na podłodze rzeczywiście leżała kolonia czegoś przypominającego grzyby, pękate, kuliste, tak ułożone, że na pierwszy rzut oka przypominały zwiniętego węża.

–Kiedy wszedłem tu po raz pierwszy, miał wielkość bochenka chleba – powiedział Derek. – Było to mniej więcej godzinę temu, a teraz jest dwukrotnie większy.

Grzyb był czarny, błyszczał jak posmarowana olejem guma, z przypominającymi ameby żółtymi miejscami z pomarańczową otoczką. Nic dziwnego, że Molly wzięła go za węża, wyglądał jadowicie i groźnie.

–Deszcz nie jest bronią – oświadczył Derek. – To instrument radykalnej zmiany naturalnego środowiska ziemskiego.

Molly zerknęła mu przez ramię.

–Chyba nie bardzo rozumiem.

–Z oceanów pobierana jest woda i przetwarzana... gdzieś, nie wiem gdzie, może w unoszących się nad Ziemią statkach, większych, niż możemy sobie wyobrazić. Sól musi być usuwana, bo deszcz nie jest słony. Do wody dodawane są nasiona.

–Nasiona? – powtórzył Neil.

–Tysiące milionów maleńkich nasion. Mikroskopijne nasiona i zarodniki oraz związki odżywcze konieczne do ich rozwoju i podtrzymujące życie bakterie. Wszystko to jest wylewane na Ziemię, na każdy kontynent, górę i dolinę, do każdej rzeki, każdego jeziora i każdego morza.

–Całe spektrum wegetacji z innej planety... – wyszeptał Neil. Miał gardło ściśnięte strachem i podziwem.

–Drzewa i algi, paprocie i kwiaty, trawy i zboża, grzyby i porosty, zioła, winorośle, chwasty nieznane człowiekowi, zasiane teraz w naszej ziemi i w naszych oceanach – dodał Derek.

Błyszcząca czerń z żółtymi plamami. Błyszczące. Płodne. Niesamowicie dziwaczne.

Czyżby to paskudne coś rzeczywiście wyrosło z zarodka, przeniesionego w ramach realizacji perfekcyjnego planu podboju przez zimno, ćmę i puste bezludzie przestrzeni międzygwiazdnej?

Dreszcz, który przeszył Molly, różnił się od wszelkich innych dreszczy, jakie znała. Nie był chwilowym zjawiskiem, umiejscowionym w okolicy kręgosłupa albo na karku, nie przechodził przez ciało drżeniem niczym bezdomny oddech wieczności, ale trwał. Chłód rozlał się po każdej jamie kości, w żółto-czerwonej miazdze szpiku, i stamtąd przenikał na zewnątrz, do każdej komórki.

–Jeżeli te pozaziemskie rośliny są agresywne, a sądząc po tym okazie, podejrzewam, że będą się wszędzie wciskać, prędzej czy później rozpełzną się i zaczną pożerać naszą florę – powiedział Derek.

–Ten piękny świat... – westchnęła Molly, czując, że rozchodzący się po jej ciele chłód niesie ze sobą dojmujące poczucie straty, nad którym nie śmiała się zastanawiać.

–Wszystko zniknie – ciągnął Derek. – Wszystko, co kochamy, od róż po dęby, wiązy i wiecznie zielone iglaki zostanie usunięte.

Czarne i żółte grzyby owijały się wokół siebie, tworząc rurę, przypominającą bezokiego węża. Gładkie i błyszczące, jakby pokrywała je warstewka oleju. Gotowe do bujnego rozwoju. Rozrastające się pączek za pączkiem i bezlitosne.

–Jeżeli nawet jakimś cudem niektórzy z nas przeżywają pierwszą fazę okupacji Obcych, jeżeli okażemy się zdolni do życia w prymitywnych społecznościach, ukrywając się w tajnych zakątkach, gdzie nowi panowie nie będą nas widzieć, jak długo przeżyjemy bez normalnego jedzenia?

–Warzywa, owoce i zboża z innego świata niekoniecznie muszą być dla nas trujące – zauważył Neil.

–Pewnie nie wszystkie, ale część tak.

–Pytanie też, czy te nietrujące będą dla nas jadalne – wtrąciła Molly.

–Prawdopodobnie będą gorzkie – powiedział Derek. – Albo nie do zniesienia kwaśne, tak zakwaszone, że będzie nas mdliło. Nawet jeśli okażą się jadalne, czy będą zaspokajać nasze potrzeby? Czy związki odżywcze będą ułożone w łańcuchy cząsteczek, które nasz układ trawienny potrafi rozkładać i wykorzystywać? Może mimo pełnych brzuchów będziemy umierać z głodu?

Głos Dereka Sawtelle'a, dźwięczny, pełen dramatycznych środków wyrazu, doskonalonych przez dziesięciolecia pracy na sali wykładowej, hipnotyzował Molly. Potrząsnęła głową, próbując zrzucić z siebie groźne zaklęcie, które jego ponure słowa na nią rzuciły.

–Cholera, wytrzeźwiałem od tego gadania, a nie podoba mi się po tej stronie zasłony z ginu. Za bardzo tu strasznie – mruknął Derek.

–Zakładamy, że to coś, ten grzyb, pochodzi z innego świata, ale tak naprawdę tego nie wiemy – powiedziała Molly, rozpaczliwie próbując obalić wizję przyszłości Dereka. – Przyznaję, nigdy przedtem czegoś podobnego nie widziałam, ale... co z tego? Nie widziałam mnóstwa egzotycznych grzybów, z których niejeden prawdopodobnie wygląda dziwniej od tego.

–Mam wam coś jeszcze do pokazania – odparł na to Derek. – Coś znacznie bardziej niepokojącego i paskudnego od tego, co widzieliście dotychczas.

Klęcząc na jednym kolanie, wyciągnął z kieszeni szwajcarski scyzoryk oficerski. Byli w dalszym ciągu w pakamerze, Molly kucała obok Dereka, a Neil stał nad nim.

Molly nigdy by nie podejrzewała tego akademickiego nauczyciela z muchą o posiadanie szwajcarskiego scyzoryka oficerskiego. Zaraz jednak przypomniała sobie, że jest w nim także korkociąg i otwieracz do kapsli.

Derek nie otworzył żadnego z obu tych ostrzy, lecz kolec. Zatrzymał jego końcówkę nad grzybami.

Jego ręka drżała. Nie było to jednak wynikiem zatrucia alkoholem ani jego odstawienia.

–Kiedy zrobiłem to przedtem, byłem przyjemnie odurzony, pełen ciekawości, która czyni z nałogu alkoholowego taką wspaniałą przygodę. Teraz jestem trzeźwy i wiem, co zobaczę... i dziwię się, że za pierwszym razem miałem odwagę to zrobić.

Zebrawszy się w sobie, wbił kolec w rurkowaty wierzch jednego z najbardziej napęczniałych grzybów.

Cała kolonia – nie tylko zaatakowane indywiduum – zadrżała jak galareta.

Z nakłucia z wyraźnym sykiem wydobyła się blada chmurka pary, co świadczyło o tym, że wewnątrz grzybowatej konstrukcji zostało pozbawione ciśnienia. Wokół rozszedł się odór przypominający smród

zgnitych jajek, wymiotów i rozkładającego się mięsa. Żołądek podszedł Molly do gardła.

–Powinienem był cię ostrzec. Na szczęście ten zapach szybko znika – powiedział Derek.

Przeciął nakłutą błonę, ukazując wnętrze grzyba.

Nie była to jednorodna materia jak w ziemskim grzybie, ale pusta w środku komora. Wierzchnią błonę, którą Derek przeciął, podtrzymywała elegancka konstrukcja z gąbczastych podpóreczek.

Pośrodku komory leżała mokra masa wielkości kurzego jajka. Na pierwszy rzut oka Molly pomyślała o jelitach, bo masa wyglądała jak miniaturowe ludzkie kiszki, była jednak szara i poplamiona, jakby zepsuta, zakażona, zrakowaciała.

Sploty i zwoje powoli się poruszały, przeplatając się leniwie przez siebie.

Przypominało to kopulujące dżdżownice.

Przyprawiający o mdłości odór zniknął, czarno-żółta błona była przecięta, ale robakowate stwory kontynuowały zmysłowe splatanie się. Po trzech, może czterech sekundach nagle się rozdzieliły i wystrzeliły we wszystkie strony. Płatanina robaków zamieniła się w tuzin macek, połączonych z czymś niewidocznym na dnie zagłębienia, szybkich i dygoczących jak pajęczne nogi, gorączkowo badających przecięte nożem brzegi osłaniającej je błony.

Molly cofnęła się, przekonana, że odrażający mieszkaniec grzyba wyskoczy ze swojego legowiska i uwolniony, okaże się znacznie szybszy od karalucha.

–Nie ma się czego bać – uspokoił ją Derek.

–Ten grzyb jest siedzibą czegoś – stwierdził Neil. – Jak muszla ślimaka.

–Nie sądzę – odparł Derek, ocierając ostrze noża chusteczką. – Możesz próbować szukać ziemskich porównań, ale są nieadekwatne. Myślę, że to obrzydlistwo jest częścią grzyba.

Gwałtowne ruchy maleńkich macek osłabły. W dalszym ciągu

szybko się poruszały, ale w bardziej skoordynowany sposób.

Wyglądało to tak, jakby realizowały jakieś zadanie, choć nie wiadomo było jakie.

–Ten szybki ruch, zdolność rozciągania się i manipulowania wyrostkami... sugeruje formę zwierzęcą, nie roślinną – powiedział Neil.

Molly była skłonna przyznać mu rację.

–Musi tu gdzieś być tkanka mięśniowa, której rośliny nie mają.

Derek wyrzucił chusteczkę.

–Może na planecie, z której pochodzą, nie ma tak wyraźnej

granicy między roślinami a zwierzętami – zasugerował.

Zaczynając od obu końców, macki zaczęły naprawiać przecięcie.

–Aby móc stwierdzić, w jaki sposób zamykają przecięcie, musiałbym się temu przyjrzeć bliżej, niż miałbym ochotę, może nawet przez lupę – powiedział Derek. – Chyba wydzielają jakiś środek klejący...

Z czubków niektórych macek rzeczywiście sączył się różowawy płyn.

–...ale widać także mikro włókna... jakby ten cholerny stwór zaszywał się, tak jak chirurg zaszywa ranę. – Derek wzruszył ramionami. – Cała nasza wiedza zbliża nas do ignorancji.

Z fascynacją równą przepelniającym ją niesmakowi i przerażeniu Molly wpatrywała się w samonaprawiającego się grzyba – o ile był to grzyb.

–Wyobraźcie sobie – powiedział Derek – świat wypełniony różnymi obrzydliwymi roślinami, spokojnymi z pozoru, ale kipiącymi wewnętrznym życiem...

Prawdopodobnie na planecie, z której przybyły, grzyby te były tak pospolite, jak na ziemskich łąkach dmuchawce. Rozsądek nie pozwalał Molly przypisywać im świadomego działania w szerszym zakresie, niż można by przypisać marchewce.

Wiedziała jednak, że ten grzybopodobny stwór jest zły i okrutny. Intuicyjnie czuła, że w jakiś dziwny sposób pragnie dokonywać przemocy – tak jak pająk może myśleć o wyssaniu krwi muchy, która prędzej czy później wpadnie w jego sieć, choć jej zdaniem to coś pragnęło dokonywać przemocy ze złośliwą satysfakcją, jakiej nigdy nie doświadcza pająk, z gwałtownością obcą światu przyrody. Na poziomie głębszym od intuicji, w sferze odczuć i przekonań pochodzących nie tyle z umysłu, co z serca, które można by nazwać wiarą, nie miała wątpliwości, że czymkolwiek ta forma życia jest, grzybem czy rośliną, zwierzęciem czy jeszcze czymś innym, jest nie tylko trująca, ale reprezentuje sobą zło.

Kiedy ohydny stwór skończył zaszywać rozcięcie i jego wijące się macki zniknęły pod błyszczącą czarno-żółtą skórą, stało się oczywiste, że nie należy do wszechświata stworzonego przez boga światła, ale do innego, ciemnego i niewyobrażalnie okrutnego.

Derek złożył scyzoryk, schował go do kieszeni i popatrzył na Molly.

–W dalszym ciągu uważasz, że to jakiś egzotyczny grzyb?

–Nie – przyznała. 23

Kiedy Derek i Molly wyszli z pakamery, Neil po raz ostatni przyjrzał się grzybowi i zgasił światło.

–Jeśli przepatrzymy Black Lake, znajdziemy takie twory w całym mieście, prawda?

–Takie i Bóg wie jakie jeszcze – odparł Derek. – To ekspresowy terraforming. Cykl rozwojowy już się rozpoczął. Na ulicach i w parkach, na podwórkach i w zaułkach, na placach szkolnych, w lasach, na dnie jeziora... wszędzie, wszędzie... rośnie nowy świat, botaniczna kraina czarów pełna rzeczy, jakich nigdy dotąd nie widzieliśmy i jakich wcale nie chcemy oglądać.

W nagłym olśnieniu Molly zrozumiała.

–Powietrze!

–Ciekaw byłem, kiedy o tym pomyślisz – mruknął Derek.

Drzewa, trawy, gigantyczne pola alg w oceanach: cała flora Ziemi pobiera z atmosfery dwutlenek węgla. Jako produkt uboczny fotosyntezy wydziela tlen. Życiodajny tlen.

Jaki proces, analogiczny, ale odmienny od fotosyntezy, mogła wykorzystywać ta roślinność z kosmosu? Czy rośliny mogą zamiast tlenu wytwarzać inny gaz? Proces fotosyntezy z pewnością może zostać odwrócony: pobierany jest tlen, a wydzielany dwutlenek węgla.

–Ile minie dni, zanim zacniemy zauważać niedobór tlenu? – zapytał sam siebie Derek. – Jeżeli w ogóle to spostrzeżemy. W końcu jednym z efektów deprivacji tlenowej jest delirium. Ile minie tygodni do chwili, gdy zacniemy się dusić jak ryby wyrzucone na ląd?

Pytania te przyprawiły o zawrót głowy i tak bardzo przytłaczały, że Molly, przypominając sobie, jak niedawno uznała Dereka Sawtelle'a za ucieleśnienie śmiercionośnej pokusy rozpacz, doszła do wniosku, że było to prorocze stwierdzenie.

Ostry sosnowy zapach kostek toaletowych i słabszy, ale bardziej dokuczliwy odór starego moczu zdawały się palić nos i gardło. Aby jak najmniej się nawdychać śmierdzącego powietrza, Molly oddychała powoli i płytko. Nic to nie dało, w dodatku po chwili zauważyła, że nieświadomie zaczęła oddychać głębiej i szybciej. Było to oznaką, że zbliża się napad paniki, więc spróbowała go powstrzymać.

–Może powinniśmy mieć nadzieję, że szybko się udusimy – powiedział Derek. – Zanim bestie nie z tego świata znajdą się wśród nas.

–Jeżeli można wierzyć wiadomościom telewizyjnym, w miastach już są – odparł Neil.

Derek pokręcił głową.

–Mam na myśli bestie z naszego świata, zwierzęta z naszych pól i lasów, drapieżniki, węże i owady. Podejrzewam, że część z nich będzie bardziej agresywna i przerażająca od czegokolwiek, co pisarze science fiction byli w stanie wymyślić w swoich najbardziej ponurych opowieściach.

–Jezu, nigdy nie sądziłem, że z ciebie taka fontanna pozytywnych myśli – mruknął z sarkazmem Neil.

–To nie pesymizm przeze mnie przemawia, ale prawda. Nadmiar prawdy nigdy nie był dobrym pomysłem. – Derek ruszył jako pierwszy i po chwili wszyscy wyszli z toalety do korytarza. – Dlatego zapraszam was do mojego stolika. Przyłączcie się do pijaków i moczymordów, wykorzystajcie najlepiej jak można pozostały nam

czas. Wlejcie w siebie kilka kieliszków znieczulenia. Nie jesteśmy wprawdzie radosną bandą, którą zazwyczaj jesteśmy, nie śmiejemy się przy byle okazji, ale wspólna melancholia może być uspokajająca, a nawet miła. W miejscu pełnym strachu i złości oferujemy wam wielkie ciepłe morze melancholii.

Próbował złapać Molly za ramię i zaprowadzić ją do głównej sali restauracji, ale oparła się.

–Muszę iść do toalety – oświadczyła.

–Wybacz, że nie zaczekam, ale w tej chwili moją maszynę oliwi niebezpiecznie mała ilość alkoholu i obawiam się, że jeżeli nie wleję sobie szybko do skrzyni biegów z pół litra ginu, zaczną kasłać i stanie.

–Nie chcę być odpowiedzialna za zatarcie się twojej skrzyni biegów – odparła z uśmiechem. – Idź ją naoliwić.

Patrzyli, jak wraca na salę szukać zapomnienia, a kiedy zostali sami, Neil przyjrzał się uważnie żonie.

–Wyglądasz jakoś tak... szaro.

–I czuję się szaro. Dobry Boże, czy naprawdę może być tak paskudnie, jak Derek to przedstawił?

Neil nic na to nie odpowiedział. Może wolał nie potwierdzać głośno przewidywań profesora.

–Chciałam się pozbyć Dereka, ale rzeczywiście muszę skorzystać z toalety – powiedziała Molly. – Zaczekaj na mnie. Bądź blisko.

Kiedy weszła do damskiej toalety, wydawało się, że jest sama. Drzwi wszystkich trzech kabin były uchylone.

Dźwięk deszczu był tu głośniejszy – słyhać było nie tylko uparte bębnienie w gonty, ale także jakby intymne gulgotanie, chlupanie i plusk.

W otwieranym pionowo oknie były szyby z matowego szkła. Ktoś podniósł dolną ramę i noc mogła zaglądać do środka.

Na parapecie tańczyły strumienie deszczu, ściekały z krawędzi i tworzyły na podłodze płytką kałużę.

Światło sufitowych lamp odbijało się w wodzie, która już nie świeciła. Nie miała też chyba żadnego zapachu, więc może burza weszła w nową fazę.

Przypomniawszy sobie, jaki przeciek spowodowała woda w pakamerze woźnego, Molly podeszła do okna, aby je zamknąć.

Kiedy złapała za uchwyt, aby pociągnąć ramę okna w dół, wydało jej się nagle, że coś czyha tuż za oknem. Coś czekało, aż nie będzie nic widziała przez matowe szkło, jakaś wroga istota, która zaraz sięgnie do środka, pochwyci ją i wyciągnie w ciemną wilgoć, a potem ostrymi jak żyłki pazurami rozplata ją od krocza po mostek i wypatroszy.

Jej strach był tak intensywny, że przypominał proroczą wizję. Zatoczyła się do tyłu, potknęła i niemal przewróciła. Kiedy odzyskała równowagę, skarciła się w myśli za to, że pozwoliła Derekowi zrobić z siebie przerażone dziecko.

Kiedy ponownie podeszła do okna, zza jej pleców odezwał się znajomy głos. Nie słyszała go od lat, ale natychmiast rozpoznała.

–Masz dla mnie buziaka, skarbie?

Odwróciła się i ujrzała Michaela Rendera, mordercę pięciorga dzieci i ojca jednego, stojącego nie dalej niż na wyciągnięcie ramienia.

Ubrany w przemoczone szare spodnie i taką samą koszulę, nie wyglądał na wymęczonego przez burzę, lecz raczej na odświeżonego – jakby ulewa, wywołana w celu podlania roślinności z kosmosu, pozwoliła rozkwitnąć także jemu.

Wyglądało na to, że dwudziestoletni pobyt w ośrodkach psychiatrycznych dobrze mu zrobił. Uwolniony od konieczności zarabiania na życie, obdarowany większą ilością wolnego czasu od rozpieszczonych królów, mając do dyspozycji więzienną dietetykę i dobrze wyposażoną siłownię, pozostał szczupły w pasie, dorobił się większych mięśni, a w kącikach jego oczu i ust nie pojawiły się zmarszczki. Mając pięćdziesiąt lat, mógł uchodzić za mężczyznę, który dopiero czeka na swoje czterdzieste urodziny.

Uśmiechnął się, zadowolony z wrażenia, jakie jego niespodziewane pojawienie się zrobiło na Molly.

–Nie ma nic bardziej poruszającego od ponownego spotkania ojca i dziecka.

Molly odzyskała mowę i z ulgą stwierdziła, że jej głos nie drży, nie widać po niej, iż serce wali jej tak mocno, aż telepią się jej kości.

–Co tu robisz?

–A gdzie indziej miałbym być jak nie z moją jedyną córką?

–Nie boję się ciebie.

–Ja też się ciebie nie boję, skarbie.

Pistolet nadal tkwił w jej płaszczu. Wsunęła dłoń do kieszeni, zacisnęła palce wokół ponacinanej okładziny uchwytu i położyła palec na osłonie spustu.

–Znów mnie postrzelisz? – spytał Render z nutą wesołości w głosie.

Był przystojny jak zawsze, a kiedyś był również tak niesamowicie czarujący i tak ujmujący, że Thalia, która już w młodym wieku dobrze znała się na ludziach, dała mu się uwieść i nakłonić do małżeństwa.

Szybko odczuła skutki swej naiwności. To, co brała za miłość, okazało się chęcią posiadania. To, co wyglądało na chęć otaczania jej opieką i chronienia, było w rzeczywistości niemal obsesyjną potrzebą dominowania.

Mokry od deszczu, pokryty kroplami wody Michael Render stał teraz przed Molly w swojej prawdziwej postaci, ukazując swoje prawdziwe oblicze. Było w nim jednak coś

jeszcze – niepokojąca zmiana, którą Molly wyczuwała, ale której nie umiałyby nazwać. Jego uwodzicielskie szare oczy błyszcząły, jakby wypełniała je po brzegi burza, której świecąca woda chlupotała w jego głowie.

–Zrezygnowałem z broni – powiedział. – Jest skuteczna, ale bardzo bezosobowa. Można ją wsadzić pomiędzy ideę a rzeczywistość, ginie przez nią cała podnieta, a morderstwo dokonane za pomocą broni tak szybko znika z pamięci... Po roku lub dwóch przywoływanie go we wspomnieniach nawet nie powoduje wzrodu.

Kiedy Molly skończyła dwa lata, jej matka miała już dość zastraszania, irracjonalnej zazdrości, pełnych uzalania się nad sobą ataków wściekłości, gróźb i w końcu przemocy. Wybierając wolność za cenę biedy, zabrała ze sobą jedynie najpotrzebniejsze osobiste rzeczy i córkę.

–Uwierz mi, skarbie, kiedy pełen sił mężczyzna zmuszony jest do przebywania w odosobnieniu, w sanatorium dla psychicznie chorych,

nawet jeśli jest to jedna z bardziej postępowych placówek, oferujących wszelkie wygody, zostaje pozbawiony możliwości czerpania zadowolenia z kobiet i dla osiągnięcia ulgi potrzebuje wszelkich możliwych erotycznych wspomnień.

W trakcie rozwodu i po nim Render początkowo starał się o prawo do samodzielnej opieki nad swoją córką, a potem do wspólnej opieki sprawowanej wraz z żoną. Kiedy system prawny okazał się wystarczająco powolny, aby go sprowokować, i sędziowie kilka razy upomnieli go za zachowanie na sali sądowej, zaczął walczyć o swoje w osobistych konfrontacjach z Thalią, często w miejscach publicznych. Doprowadziło to do wydania mu oficjalnego sądowego zakazu tego rodzaju działań, co znacznie zmniejszyło jego szanse na uzyskanie prawa do choćby częściowej opieki nad córką. Zignorowanie tego zakazu spowodowało, że na miesiąc trafił za kratki, i pozbawiło go prawa nawet do nadzorowanych spotkań z córką.

–Po roku odosobnienia niemal zapomniałem, jak to było z twoją matką... smak jej ust, ciężar piersi. Lepiej zachowałem w pamięci tanie kurwy, które miałem. – Uśmiechnął się i wzruszył ramionami. – Twoja matka była nudną porcelanową dziwką.

–Zamknij się... – Molly była w stanie tylko szeptać. Jak zawsze, Render dążył do dominacji, a ona nie umiała mu się przeciwstawić, jakby zniknęło gdzieś dwadzieścia lat, przywracając ją do dzieciństwa. – Zamknij się...

–Po dwóch latach wspomnienie twoich postrzelonych w głowę albo w brzuch koleżaneczek też już mi nie starczało. Pocisk jest zbyt bezosobowy. Pocisk to nie klinga, a klinga to nie gołe ręce. Stwierdziłem, że duszenie najdłużej pozostaje w pamięci. Jest znacznie bardziej intymne niż pociągnięcie cyngla. Na myśl o tym

nawet teraz mi staje.

Molly wyciągnęła z kieszeni płaszcz pistolet.

–Ach... – westchnął z satysfakcją, jakby przyszedł tu tylko po to, aby zmusić ją do tej konfrontacji. – Przebyłem długą drogę przez deszcz, aby zadać ci kilka pytań. Najpierw jednak opowiem ci pewną historię, abyś lepiej zrozumiała swojego starego tatusia.

Sytuacja robiła się coraz bardziej surrealistyczna. Klaustrofobiczna. Paraliżująca. I symboliczna.

Molly stała w żelaznym uścisku przeszłości i przyszłości, oba czasy napierały na nią bezlitośnie, odbierały oddech, paraliżowały, zatrzymywały głos w gardle.

–Spędziłem dwadzieścia lat pod kluczem, pozbawiony niemal wszystkiego. Przynajmniej powinnaś mnie przez chwilę posłuchać. Tylko jedna krótka historia i znikam.

Przed dwudziestu pięciu laty, kiedy zaprzepaścił ostatnią szansę uzyskania prawa do opieki nad Molly, sięgnął po instrument perswazji, który teraz określał jako niezadowolający: broń. Przyszedł do szkoły, aby zabrać córkę z klasy. Kiedy poprosił o możliwość zobaczenia się z nią pod pretekstem, który wydał się dyrektorowi nieprzekonujący, i zorientował się, że ściągnął na siebie podejrzenie, wyjął broń i zastrzelił dyrektora.

–Po pięciu latach leczenia przeniesiono mnie do ośrodka o znacznie słabszym rygorze. Mieli tam duży, piękny teren. Najlepiej zachowujący się pacjenci, którzy dokonali największych postępów w terapii i zdaniem personelu zaczęli być zdolni do odczuwania skruchy, byli zachęceni do pracy w różnych ogrodach.

Po zabiciu dyrektora zaczął szukać Molly, po drodze zabijając jednego nauczyciela i raniąc dwóch innych członków grona pedagogicznego. Kiedy znalazł klasę córki, poważnie ranił jej nauczycielkę, panią Pasternak, i gdyby nie przybyła policja, porwałby Molly.

–W ogrodach nosiliśmy na kostkach elektroniczne bransolety, które miały zaalarmować wartowników, gdybyśmy poszli dalej, niż było dozwolone. Nie próbowałem uciekać. Za płotem był świat,

który zbyt dobrze znał moją twarz. Stałem się wykwalifikowanym ogrodnikiem, specjalizowałem się w różach.

Po przybyciu policji wziął jako zakładników Molly i dwadzieścioro dwoje innych dzieci. Nie był głupi – w końcu uzyskał dwa tytuły magisterskie – i zdawał sobie

sprawę z tego, że po zabiciu dwóch osób i zranieniu trzech nie ma szans wytargowania sobie wolności. Wiecznie tłąca się w nim złość, stanowiąca esencję jego osobowości, urosła do płonącego szaleństwa i stwierdził, że jeżeli sam nie może opiekować się córką, odbierze także innym rodzicom przyjemność cieszenia się dziećmi.

–Pewnego dnia, kiedy pracowałem sam w ogrodzie różanym, pojawił się przede mną dziewięciolatek z aparatem fotograficznym...

Zanim Molly go postrzeliła, zabił pięcioro dzieci. Przyszedł do szkoły z dwoma pistoletami i zapasowymi magazynkami. Po ponownym załadowaniu broni z taką furią zareagował na coś, co powiedziano na zewnątrz przez policyjny megafon, że jeden z pistoletów zostawił na biurku nauczyciela i odwrócił się do niego plecami.

–Ten chłopak, chcąc udowodnić kolegom, jaki jest odważny, wyciął dziurę w odległym kącie płotu i przepelźł przez cały teren, aby sfotografować jednego z niebezpiecznych pacjentów. – Choć minęło dwadzieścia lat od wydarzeń w szkolnej klasie, jego głos, podbarwiony czymś znacznie mroczniejszym od jego zwykłej złości, nadal hipnotyzował Molly.

Mimo że miała wtedy dopiero osiem lat i nie była obeznana z bronią palną, chwyciła leżący na biurku nauczycielskim pistolet. Trzymając go oburącz, wystrzeliła trzy razy. Choć wstrząsał nią odrzut, udało jej się dwa razy trafić Rendera – najpierw w plecy, potem w prawe udo – a trzeci pocisk trafił w ścianę.

–Niebezpiecznym pacjentem, którego wybrał ten dzieciak,

okazałem się ja. Chłopak był płochliwy, ale oczarowałem go, zrobiłem kilka min do aparatu i pozwoliłem mu zrobić sobie osiem zdjęć między różami.

Kiedy postrzelony dwa razy Render padł na podłogę, siedemnaścioro żyjących jeszcze dzieci uciekło. Zaraz potem do klasy wpadł oddział SWAT, zastając płaczącą Molly u boku ciężko rannej nauczycielki, która miała resztę życia spędzić w wózku inwalidzkim.

–Na koniec naszej małej sesji zdjęciowej, kiedy chłopiec przestał się pilnować, uderzyłem go z całej siły w twarz, potem jeszcze raz, i udusiłem go wśród róż. Mogłoby to okazać się znacznie bardziej ekscytujące, gdyby to była dziewczynka, ale trzeba korzystać z tego, co się ma.

Wieczorem owego fatalnego dnia Molly zastanawiała się, jak udało jej się ranić go dwa razy, choć nigdy przedtem nie posługiwała się bronią, trzęsła się ze strachu, a potężny odrzutomal trzy razy nie zwałił jej z nóg. To, że udało jej się powstrzymać Rendera, wydawało się cudem.

–Niedaleko różanego ogrodu znajdował się stary zbiornik, wielka podziemna cysterna o betonowych ścianach. Kiedyś zbierano w niej deszczówkę, którą wykorzystywano do podlewania ogrodów podczas suszy.

Molly powiedziała matce, że tego straszego dnia był z nią jakiś duch, anioł, który wprawdzie nie miał wpływu na Render'a, ale prowadził ją i pozwolił zrobić to, co musiało zostać zrobione.

–Nie używano tego zbiornika od sześćdziesięciu lat. Zostawiono go, bo koszt rozbiórki byłby za wysoki.

Thalia zapewniła córkę, że tylko sobie samej zawdzięcza, że zdobyła się na odwagę zrobienia tego, co zrobiła. Anioły nie dokonują cudów za pomocą broni palnej, dodała.

–Narzędziami ogrodniczymi podważyłem pokrywę zbiornika i wrzuciłem chłopca do środka. Było tam strasznie ciemno i okropnie śmierdziało. Ciało z pluskiem wylądowało w wodzie, płosząc całą chmarę szczurów.

Mimo zapewnień matki Molly do dzisiejszego dnia wierzyła święcie, że wtedy w klasie był z nią anioł stróż.

Teraz jednak nie czuła jego obecności i była ogromnie wdzięczna losowi, że ma broń.

–Zakopałem jego aparat fotograficzny pod różami. Był to gatunek *Kardynał Mindszenty*, nazwany tak z powodu wspaniałego purpurowego koloru.

Render poruszył się, ryzykując postrzał, i zaczął odsuwać się od kabin w kierunku umywalk.

–Przyszła go oczywiście szukać policja, ale znalezienie ciała zajęło im nieco czasu. Szczury zrobiły swoje. Poza tym dno zbiornika pękło wiele lat temu, więc trup chłopca dostał się do powstałej pod nim naturalnej niszy z wapienia i jego stan, kiedy go odkryto, nie pozwolił policyjnym technikom uzyskać zbyt wielu informacji.

Powoli minął pierwszą umywalkę, potem drugą. Molly obracała się, wodząc za nim lufą pistoletu.

–Podejrzanie padło na innego pacjenta. Nazywał się Edison Crain. Brzydki, pocący się kurdupel. Dziesięć lat wcześniej zgwałcił chłopca i udusił go... był to jedyny akt przemocy w jego wykonaniu, o którym wiedziano.

Toaleta wydawała się Molly coraz mniej realna, za to Render robił się coraz wyraźniejszy, ściągał na siebie jej uwagę, hipnotyzował niczym falujące ciało kobry.

–Od tego czasu Crain przez dziesięć lat był modelowym pacjentem, uważano jego terapię za zaawansowaną i sądzono, że za rok lub coś koło tego będzie się nadawał do zwolnienia, oczywiście przy zachowaniu stałego nadzoru medycznego. Biedaka musiało jednak zżerać poczucie winy i nie ufał sam sobie, bo załamał się i przyznał do zamordowania chłopca z aparatem.

Po zatoczeniu pełnego półkola Render stanął plecami do okna, pośrodku kałuży.

–Przenieśli go do szpitala o zaostrzonym rygorze, a ja... no cóż, unikałem wszelkich konsekwencji. Było to piętnaście lat temu, ciągle jednak, kiedy leżę sam nocą w łóżku i spoglądam pomiędzy

pożądanie i miłosny spazm, wspomnienie duszenia tamtego chłopca podnieca mnie nie mniej niż wtedy, gdy to robiłem.

Molly zauważyła różnicę w jego zachowaniu, choć przez pewien czas nie wiedziała, o co chodzi. W końcu jednak zrozumiała: w Renderze nie było tak typowej dla niego dawnej złości. Jego temperament wyraźnie ostygł.

Nowością była w nim też otaczająca go aura samozadowolenia, niemal zachwyty samym sobą. Charakterystyczne dla drapieżcy skupienie. Mroczne rozbawienie w głosie. Błysk ponurej wesołości w oczach.

Dwadzieścia lat pod opieką psychiatrów zamieniło jego zwierzęcą złość w socjopatyczno-psychotyczne zadowolenie. Wino wściekłości stało się bardziej skomplikowaną, dobrze odstałą trucizną.

–A teraz moje pytanie... – Znów ten ponury uśmiech. –

Czy twoja matka w dalszym ciągu jest martwa?

Molly nie rozumiała, po co on tu przyszedł. Jeżeli chciał ją skrzywdzić, to zamiast anonsować swoją obecność, mógł zaatakować znienacka.

–Czy ktoś jeszcze czyta książki tej głupiej cipy?

Nierealność ścigała się z surrealizmem. Dlaczego Render miałby pokonywać tak długą drogę tylko po to, aby opowiedzieć jej historię o uduszonym chłopcu, skoro wiedział, że Molly nie może gardzić nim jeszcze bardziej, niż już gardziła, a obrażanie jej matki nic nie da, bo będzie puszczać jego słowa mimo uszu?

–Czy ostatnio wznowiono choć jedną jej książkę? Była tak samo kiepska w pisaniu jak w ruchaniu.

Te prowokacje zdawały się mieć na celu zmuszenie Molly do strzału, nie trzymało

się to jednak kupy. Arogancja Render i jego skłonność do okrucieństwa czyniły go niezdolnym do odczuwania żalu lub wyrzutów sumienia. Jego szaleństwo było zabójcze, nie samobójcze.

–A twoje są wydawane, skarbie? Po dzisiejszej nocy i tak nie

będzie miało znaczenia, czy cokolwiek napisałaś. Również to, że w ogóle istniałaś. Jesteś nieudaną pisarką, bezpłodną kobietą, pustą dziurą. O ciemno, ciemno, ciemno. Wszyscy odchodzą w ciemność. Ty także odejdiesz. Wkrótce. Czy zastanawiałaś się nad skierowaniem lufy na siebie, aby uniknąć nadchodzących straszliwych chwil? Domyśliła się, że zamierza wymknąć się przez okno.

–Nie próbuj uciekać! – ostrzegła go.

Uniósł brwi.

–Bo co? Wydaje ci się, że możesz zadzwonić do ośrodka i natychmiast przyślą kilku gości w bieli z kaftanem bezpieczeństwa? Bramy są otwarte, skarbie. Nie dotarło do ciebie, co się stało? Bramy są otwarte. Nie ma żadnej władzy. Wszystko jest dozwolone, a każdy jest potworem.

Kiedy podszedł do okna, przedziwny czar, który na nią rzucił, został przerwany. Podeszła do niego.

–Nie! Niech cię cholera, zatrzymaj się!

Znów ten uśmiech: sardoniczny, pozbawiony wesołości.

–Znasz historię o potopie, arce i ładowanych parami zwierzętach... wszystkie te idiotyzmy ze Starego Testamentu. Znasz odpowiedź na pytanie: „Dlaczego?”. Dlaczego świat musi się skończyć, zostać osądzony, zalany i narodzić się na nowo?

–Odejdź od okna.

–To ma związek z tym, co się dzieje, skarbie. Raz zrobiłaś to, co należało, ale teraz twoja głowa jest wypchana dwudziestoma latami nauki, co oznacza wątpliwości, dwuznaczności i zamęt. Teraz albo możesz mi ponownie strzelić w plecy, albo wsadzić sobie pistolet do ust i rozwalić mózg.

Pochylił głowę, wsadził ją w otwarte okno i wyslizgnął się na parapet.

–Neil! – krzyknęła Molly.

Trzasnęły drzwi i do środka wpadł jej mąż.

–Co się dzieje?

Molly stała przy oknie, jedną dłoń opierała o mokry parapet, a w drugiej trzymała pistolet.

–Nie możemy pozwolić mu odejść...

–Komu? Co się...

Wychyliła się przez okno, wystawiła głowę na deszcz i spojrzała najpierw w lewo, a potem w prawo. W pobliskich cieniach kryły się noc, burza i jakieś niewyobrażalne potworności, ale Render zniknął.

Część czwarta

Ten trup, którego zasadziłeś zeszłego roku w ogrodzie,

Czy zaczął już kiełkować? W tym roku czy nie będzie kwitł?

T. S. Eliot

Ziemia jałowa

(przełożył Czesław Miłosz)

Po powrocie do sali Molly odkryła, że w barze jest kawa, i zamówiła kubek. Gorąca, czarna, mocna, pachnąca, może będzie potrafiła – jeżeli cokolwiek potrafiło – obudzić ją ze snu. Jeżeli śniła.

Derek pomachał do niej od swojego stolika. Zignorowała go.

Neil też wziął sobie kawę. Choć nie miał nic do powiedzenia w sprawach w tej chwili najoczywistszych, a więc najpilniejszych, próbował pomóc Molly wyjaśnić nurtującą ją kwestię.

–Kiedy mijaliśmy go na drodze wzdłuż grani, musiał nas rozpoznać – powiedziała. – Ale jak znalazł nas tutaj?

–Pod restauracją stoi nasz explorer. Rozpoznał go.

–Skoro nie przyszedł mnie zabić, to po co?

–Z tego, co mówiłaś, sprawiał wrażenie, jakby... prowokował cię.

–Do czego? Żebym go zabiła? Jaki to ma sens?

–Nie ma żadnego.

–Nazwał mnie „bezpłodną kobietą”. Skąd wiedział?

–Są sposoby dowiedzenia się, że nie mamy dzieci.

–Ale skąd mógł wiedzieć, że od siedmiu lat próbujemy i... nic z tego nie wychodzi?

–Nie mógł tego wiedzieć.

–Ale wiedział.

–Zgadywał.

–Nie. Wiedział. Dobrze wiedział. Wbił nóż dokładnie tam, gdzie najbardziej bolało. Nazwał mnie „pustą dziurą”.

Wydawało jej się, że ma zamulone myśli – albo dlatego, że za krótko spała, albo dlatego, że noc wypełniona była zbyt wieloma wydarzeniami. Kawa jeszcze nie rozjaśniła jej umysłu, możliwe, że nawet cały dzbanek nie byłby w stanie tego sprawić.

–Dziwne, ale... teraz się cieszę, że nie mamy dzieci –

mruknął Neil. – Nie poradziłbym sobie ze świadomością, że

nie potrafię ochronić ich przed tym wszystkim...

Lewą dłoń trzymał na kontuarze. Położyła na niej rękę. Miał silne dłonie, ale przez całe życie używał ich do łagodnych celów.

–Cytował T. S. Eliota – powiedziała. Wydawało jej się to najbardziej tajemnicze i najbardziej mąciło jej w głowie.

–Wróciliśmy do domu Harry'ego Corriganana?

–Nie. Mam na myśli Rendera. Powiedział: „pomiędzy ideę a rzeczywistość”, a następnie: „pomiędzy pożądanie i miłosny spazm”. Wplótł te słowa w swój bełkot, ale to wersy z *Wydrążonych ludzi*.

–Mógł wiedzieć, że Eliot jest jednym z twoich ulubionych poetów.

–Skąd?

Neil przez chwilę się zastanawiał, nie znalazł jednak odpowiedzi na to pytanie.

–Tuż przed wyjściem powiedział: „O ciemno, ciemno, ciemno. Wszyscy odchodzą w ciemność”. To znów Eliot. Ten stwór, który był Harrym Corriganem, a teraz Renderem...

Czuła, że krąży wokół czegoś ważnego – czegoś, co może okazać się objawieniem.

–Ten zataczający się, postrzelony w głowę Harry Corrigan wcale nie był Harrym – powiedziała po chwili. – Zastanawiam się więc, czy mój ojciec w toalecie był... naprawdę moim ojcem.

–Co masz na myśli?

–Może to był Render... lecz także coś jeszcze?

–Staram się dotrzymać ci kroku, ale coraz bardziej się gubię.

–Ja także nie wiem, co to oznacza. Może wiem podświadomie, nie jestem jednak w stanie tego uchwycić... w każdym razie włosy stają mi dęba na karku.

Za mało snu, za mało kawy, za dużo przerażających wydarzeń. Jeżeli nawet była bliska odkrycia jakiejś prawdy, ukrywała się ona pod warstwami zmęczenia i dezorientacji.

Do Neila i Molly podszedł szeryf Tucker Madison, głównodowodzący grupy, która była zdecydowana opierać się przejęciu swojego miasta i świata przez Obcych.

–Kilku z nas zostanie tu na wypadek, gdyby mieli się pojawić nowi rekruci, ale większość tworzy grupy operacyjne i wychodzi na zewnątrz – poinformował ich. – Jeden oddział sprawdzi bank i zorientuje się, jak można by go lepiej ufortyfikować. Drugi wywiezie ze sklepu jedzenie, nim zostanie zalane. Trzeci oddział przyniesie więcej broni. Jesteście z nami?

Molly pomyślała o odrażającym grzybie w żółte plamki, pulsującym wewnętrznym życiem, rosnącym gwałtownie w pakamerze – zwiastunie nowego, zmienionego świata – i nawet jeżeli nie było lepszego pomysłu od ufortyfikowania banku i zamknięcia się w nim, zamiar ten wydał się jej daremny.

–Jesteśmy z wami – zapewnił szeryfa Neil. – Musimy jednak najpierw zająć się czymś innym.

Molly popatrzyła na Dereka Sawtelle'a i jego grupę uciekinierów od rzeczywistości. Tak jak przypuszczała jeszcze przed jego makabrycznym pokazem i opowieścią, był rzecznikiem rozpaczy.

–Spotkamy się za kilka minut pod bankiem – powiedziała.

Uznanie czegoś za daremne zawsze jest wynikiem podjęcia decyzji. Jej los znajduje się w jej własnych rękach. Jeśli zachowa nadzieję, wszystko jest możliwe.

Zawsze tak myślała. Aż do dzisiejszego dnia kierowała się tą filozofią i nie uważała za konieczne przekonywać samej siebie, że należy się jej trzymać.

Derek nie był jedynym rzecznikiem rozpaczy, z jakim miała do czynienia w ciągu ostatnich kilku godzin. Pierwszym był stwór, który zapanował nad ciałem Harry'ego Corrigana.

Trzecim był Render. Jakież mógł mieć inny powód odegrania swego surrealistycznego przedstawienia, jeśli nie przestraszenie jej i doprowadzenie do rozpaczy?

Znów odniosła wrażenie, że zrozumienie tego wszystkiego leży w zasięgu ręki, czeka tuż za rogiem.

Neil odstawił kubek z taką siłą, że kilka kropel kawy rozprysnęło się na kontuarze.

–Nadpływa znowu.

Przez chwilę nie wiedziała, co mąż ma na myśli, zaraz jednak poczuła ciężkie,

rytmiczne pulsowanie powietrza, któremu nie towarzyszył żaden dźwięk. Nie miało to wpływu na innych znajdujących się w restauracji ludzi, ale Molly czuła, jak przez nią przepływa, drga w strukturze kości, w przyprywie i odpływie krwi i mięśniach – niczym pamięć po falach pływowych nieistniejącego już morza, zakodowana w pamięci komórkowej jej organizmu, przypominająca o życiu sprzed wyjścia na ląd.

Kilka godzin wcześniej, w domu, nie uświadamiała sobie tego zjawiska – dopóki Neil o nim nie powiedział. Ale nawet gdy zwrócił na nie jej uwagę, nie czuła go tak wyraźnie jak teraz.

Może te drgania były wynikiem impulsów magnetycznych, wytwarzanych przez gigantyczne silniki o niewyobrażalnej mocy, oparte na technologiach tak niemożliwych do pomyślenia, jak silnik

spalinowy byłby nie do pomyślenia dla pierwotnego Indianina, wędrującego tysiąc lat przed Chrystusem przez puste przestrzenie Ameryki.

Popatrzyła na zegarek. Wskazówka godzinowa obracała się w kierunku przyszłego roku, minutowa z mniej więcej sześć-dziesięciokrotnie większą niż zwykle prędkością wracała do minionego roku, jakby chciały odebrać czasowi jego potęgę i zachęcić każdego, kto posiadał zegarek, do zastanowienia się nad chwilą obecną i stwierdzenia, że to jedyna rzecz, jaką kiedykolwiek posiadali.

Niepokój kazał zebranim w restauracji ludziom wstać. Kto miał zegarek, sprawdzał go, pozostali patrzyli na zawieszony na ścianie w głębi zegar z reklamą piwa Coors.

Wraz z tajemniczym pulsowaniem pojawiło się wrażenie potężnej masy, przesuwającej się przez deszcz: to, co Neil nazwał spadającą górą, a Lee Ling spadającym Księżycem.

–Nadchodzi od północy – powiedział Neil.

W dalszym ciągu lepiej niż Molly wyczuwał to dziwne zjawisko.

Inni też wyczuli moment, w którym zaczęło się zbliżanie. Kilku pijących, kilku miłośników pokoju, kilku podpieraczy ścian, kilku wojowników – z których żaden nie wyruszył jeszcze do miasta – patrzyło na północ, wpatrywało się w zetknięcie sufitu ze ścianą w głębi sali.

Rozmowy zamarły. Przestało szcząkać szkło.

Większość psów też patrzyła w górę, ale niektóre w dalszym ciągu obwąchiwały podłogę – ich zdolność wyczuwania niebezpieczeństwa przytłumiła fascynacja zapachem starego piwa i jedzenia.

–To jest większe, niż poprzednio sądziłem – szepnął Neil. – Większe niż jakakolwiek góra czy nawet trzy góry. I jest bardzo nisko. Może jedynie... trzy metry nad najwyższymi drzewami.

–Śmierć – powiedziała Molly, zaskoczona dźwiękiem własnego głosu, czuła jednak, że słowo to nie jest adekwatne do sytuacji, a

wędrowiec napotkany w burzy był czymś znacznie bardziej niemożliwym i równocześnie mniej tajemniczym, niż mogła sobie wyobrazić.

W restauracji zaczęła płakać jakaś dziewczynka. Jej z trudem przebijające się przez zapchany nos pochlipywania były rozpaczliwe, ale tak rytmiczne, że wydawały się nieprawdziwe.

Choć niewidoczna tajemnica, zakreślająca kurs podboju na nocnym niebie, skupiła uwagę Molly silniej od wszystkiego, z czym dotychczas miała do czynienia w życiu, płacz dziecka był tak niesamowity, że zarówno jej spojrzenie jak i spojrzenia innych ludzi przeniosły się z sufitu na źródło tego dziwnego zawodzenia.

Nie był to płacz dziecka, ale lalki, którą Molly wzięła z tylnego siedzenia lincolna navigatore, porzuconego na biegnącej wzdłuż grani drodze.

Leżała twarzą do dołu na kontuarze, tak jak Molly ją położyła. Jej głowa była odwrócona w kierunku sali, oczy zamknięte. Z otwartych ust wydobywały się zawodzenia, zapisane na procesorze wraz z innymi odgłosami i słowami.

Molly przypomniały się pozytywki w ich sypialni. Tańczące walca porcelanowe figurynki. Obracający się raz za razem, raz za razem konik na karuzeli.

Przypomniało jej się także chodzące truchło, które było kiedyś Harrym Corriganem. Martwy Harry recytował przez zaciśnięte zęby Eliota, mimo że miał przestrelone podniebienie.

Stwierdziła, że ożywione zwłoki to jedynie inny przejaw tego

samego działania, które poruszało figurynki na pozytywkach i sprawiało, że lalka płakała. Dla nieznanym panów tej nocy martwi byli zabawkami. Żywi także.

Kiedy Molly zamierzała ponownie spojrzeć na sufit, jeden z psów cicho zawarczał, zaraz potem zrobił to samo następny. Obserwowały lalkę.

Plastikowo-gumowe dziecko miało co prawda elastyczne stawy, ale nie było zasilane na baterie – a jednak się poruszyło. Przekręciło się na bok. Uniosło głowę nad kontuar.

Wszyscy obecni widzieli już tej nocy wiele rzeczy niemożliwych, więc z początku przyjęli to raczej z ciekawością niż ze strachem czy zdumieniem.

Gdyby psy nie warczały cicho i nie szczyrzyły zębów, część ludzi z pewnością przestałaby się interesować lalką, bardziej zaniepokojona nieznanym lewiatanem, prującym przez nocne niebo nad Black Lake.

Po chwili lalka przestała płakać i usiadła. Jej nogi zwisały z kontuaru, ręce trzymała opuszczone wzdłuż tułowia. Oczy otworzyły się, a głowa odwróciła.

Wykonana maszynowo na wtryskarce, sklejona, zszyta i pomalowana kukielka w

różowych bucikach oraz żółtej koszulce była oczywiście ślepa, a jednak jej wzrok przesunął się w lewo, w prawo i znów w lewo, omiatając zebranych w restauracji ludzi, jakby lalka mogła ich widzieć.

–Głodna. Jeść – powiedziała dziecięcym głosem.

Również i te dwa słowa mogły być zapisane na procesorze zabawki, kiedy jednak lalka przemówiła, stojący najbliżej ludzie cofnęli się.

Molly przysunęła się do Neila.

–Głodna. Jeść – powtórzyła zabawka.

Usta lalki były na zawiasikach, więc kiedy mówiła, wargi poruszały się i wysuwał się z nich mały różowy język.

Rozglądając się cały czas po restauracji, plastikowa kukielka wykorzystywała zawartość swego banku powiedzeń: „Kocham cię... dzidzia chce spać... dobranoc... brzusek boli... pieluszka mokra...

mamusiu, zaśpiewaj... dzidzia lubi piosenkę... będę dobra, mamu... jestem głodna... dzidzia chce budyń... mniem, mniem, zjedzone...”.

Nagle zamilkła. Odchyliła główkę do tyłu i zaczęła się wpatrywać w sufit, jakby wyczuła przesuwającego się przez deszczową noc behemota.

Coś w jej postawie – sposób pochylania głowy, lekki skłon tułowia do przodu, denerwująca przenikliwość spojrzenia szklanych oczu – sprawiło, że Molly uznała, iż plastikowa zabawka nie tylko zdaje sobie sprawę z obecności lewiatana w górze, ale jest z nim w kontakcie.

Lalka opuściła głowę i rozejrzała się jeszcze raz po obecnych.

–Umiem... umiem... umiem – zaczęła powtarzać. Po chwili zniekształciła słowo: – Umie... umie... umie...

–Ucisz to draństwo – rzucił ktoś z sali.

–Zaczekaj, zobaczymy – odparł ktoś inny.

–Ubierać... ubierać... ubierać... – powiedziała lalka, po czym i to słowo zniekształciła: –...rać... rać... rać... – Po chwili przerwy złożyła fragmenty obu słów razem: – Umierać... umierać... umierać...

Molly rozejrzała się. Jej twarz pewnie była tak samo blada jak twarze pozostałych ludzi, obecnych w lokalu.

Lee Ling patrzyła na lalkę, gryząc kostki dłoni, jej mąż Norman stał ze strzelbą w zgięciu łokcia, jakby zaraz zamierzał jej użyć.

–Umierać boli – oznajmiła lalka i choć nie miała zasilania, uniosła prawą rękę do ust, jakby chciała sparodiować Lee Ling.

Stawy w barku i łokciu mogły pozwolić zgiąć się ręce, ale plastikowe dłonie nie miały nic ruchomego, lalka nie powinna więc być w stanie dokonać samouszkodzenia, którego po chwili dokonała.

Jej prawa dłoń wsunęła się do otwartych ust, złapała maleńki różowy język i wyrwała go.

–Umierać boli.

Po chwili uniosła się lewa ręka, wydłubała lewe oko i rzuciła je na kontuar. Zaczęło, wirując, sunąć po mahoniu, pobłyskując niebieskawo, po czym zamarło.

–Wszystkie wasze dzieci – powiedziała lalka łamiącym się głosem, stanowiącym sumę najróżniejszych zgłosek, zapisanych na procesorze mowy – wszystkie wasze dzieci umrą.

WSZYSTKIE WASZE DZIECI UMRA.

Kiedy lalka powtórzyła tę groźbę, Molly popatrzyła na dzieci zebrane w głębi sali. Miały głowy zwrócone w stronę kontuaru. Gdyby mogła, oszczędziłaby im tej wojny psychologicznej – jeżeli taki był zamiar tego, kto stał za tym groteskowym przedstawieniem.

Jednooka lalka grzebała ręką w pustym oczodole niczym pływak próbujący wylać sobie wodę z ucha.

Molly nie byłaby zaskoczona, gdyby z dziury wyskoczyły szare, wijące się gorączkowo robaki.

–Wszystkie wasze dzieci umrą.

Ciężar tych czterech słów, najwyraźniej będących obietnicą unicestwienia ludzkości, przygniatał z taką samą siłą jak unoszący się nad Black Lake tajemniczy obiekt, którego rytmiczne dudnienie ścisnęło płuca i pozbawiało tchu.

Lalka przeniosła rękę do drugiego oczodołu i wyrwała sobie drugie oko. Od opuszczenia fabryki była niewidoma, więc ten gest tym bardziej przerażał.

–Wszystkie wasze dzieci, wasze dzieci, wasze dzieci umrą.

Norman Ling ze stłamszonym między zębami przekleństwem uniósł broń.

–Na Boga, nie strzelaj tutaj! – zawołał Russell Tewkes, właściciel lokalu.

Kiedy szklane oko wypadło z rączki lalki, ożywiające ją czary jakby straciły moc, może nawet całkiem zniknęły. Plastikowa kukielka przewróciła się na plecy i zamarła, jej bezokie spojrzenie skierowane było na sufit, noc i bogów burzy.

Blady ze strachu Tewkes, z twarzą znieruchomiałą ze złości, zgarnął z kontuaru wyrwany plastikowy język i dwoje szklanych oczu do kosza na śmieci.

Gdy sięgnął po lalkę, ktoś krzyknął ostrzegawczo:

–Russ, za tobą!

Tewkes musiał mieć nerwy napięte jak postronki, bo odwrócił się z prędkością, której trudno byłoby się spodziewać po jego brzuchatym cielsku, i uniósł pięści jak do klasycznej barowej walki, gotów na spotkanie z każdym przeciwnikiem.

Z początku Molly nie zorientowała się, co było powodem ostrzeżenia.

–Tak nie będzie ze mną. Mowy nie ma – warknął Tewkes.

Za barem było lustro i grubas miał przed sobą swoje własne odbicie – prawa połowa jego twarzy była w nim zmiażdżona.

Mimo buńczucznej deklaracji przestraszony Tewkes uniósł dłoń do twarzy, aby upewnić się, że nie przydarzyła mu się żadna katastrofa. W lustrze jego dłoń była poskręcana, połamana.

Na sali rozległy się westchnienia i ciche, jęklive okrzyki, gdyż lustro przepowiadało nieszczęście nie tylko Tewkesowi. Wielu z obecnych ujrzało w nim swoich przyjaciół, sąsiadów albo siebie samych jako martwe ofiary przerażającej przemocy.

W twarzy Tuckera Madisona brakowało dolnej szczęki. Górne zęby szeryfa wgryzały się w powietrze.

Godna rzymskiego imperatora głowa Vince'a Hoyta nie miała wierzchu czaszki, a odbicie Vince'a wskazywało na prawdziwego Vince'a ręką, kończącą się tuż pod łokciem poszarpaną nagą kością.

Obok stała poskręcana, spalona masa, która była kiedyś człowiekiem – dymiąca i uśmiechająca się, choć nie z wesołością ani z groźbą, ale dlatego, że widać było wszystkie zęby, bo wargi i policzki zostały spalone.

Molly zdawała sobie sprawę, że nie powinna szukać siebie na tym okrutnym fresku. Jeżeli naprawdę ukazywał on niemożliwe do uniknięcia przeznaczenie, zasieje w niej zniechęcenie, jeżeli kłamał, obraz zniszczonego przez śmierć własnego ciała zakoduje się jej w pamięci, osłabi wolę działania, zdusi instynkt samozachowawczy.

Być może chorobliwa ciekawość jest częścią ludzkiego genomu: wbrew rozsądkowi Molly popatrzyła w lustro.

Na ostrzegawczym obrazie „innej” restauracji, pełnej stojących trupów, Molly Sloan nie istniała. W miejscu, gdzie powinna się znajdować, ziała pustka. Za pustym miejscem widać było odbicie poszarpanego na kawałki mężczyzny, który po tej stronie lustra stał za jej plecami.

Kilka godzin temu, kiedy w domowym lustrze ukazał jej się obraz pokoju porośniętego winem, pleśnią i grzybem, nie była trupem ani nie była w żaden sposób zniekształcona, wyglądała dokładnie tak samo jak w rzeczywistości.

Zaczęła szukać odbicia Neila. Kiedy okazało się, że także dla niego nie ma miejsca w galerii żywych trupów, nie wiedziała, czy się z tego cieszyć, czy martwić, mogło to

bowiem oznaczać, że czeka ich los gorszy od amputacji, dekapitacji i okaleczeń, przewidzianych dla innych ludzi.

Popatrzyła na stojącego obok Neila. Ich spojrzenia spotkały się i zrozumiała, że on także zauważył brak ich odbić i również nie wie, co to oznacza.

Zgasło światło. Zapadła całkowita ciemność.

Tym razem – nie było co do tego wątpliwości – prąd nie zostanie ponownie włączony.

Przygotowani na taką ewentualność ludzie – najpierw może ośmiu, potem dziesięciu, po chwili ze dwudziestu – zapalili latarki.

Ciemność przecięły szable światła.

Wiele promieni trafiło w lustro – może powodem tego była obawa, że groteskowe postacie mogą w ciemności przejść do tego świata. Oślepiający blask sprawił, że odbicia w lustrze stały się niewidoczne.

Ktoś rzucił butelką, lustro popękało i kawałki szkła posypały się na podłogę ze złowieszczym brzękiem.

Choć lustro było własnością Tewkesa, a na jego stopy spadła kaskada ostrych kawałków, nie protestował.

W świetle poruszających się wokół, zderzających ze sobą promieni latarek i odbijającego się od kawałków lustra światła Molly zauważyła coś, co spowodowało, że jej napięte nerwy zagrały kolejne arpeggio przerażenia.

Bezoka, pozbawiona języka lalka, która przedtem leżała na kontuarze, w krótkiej chwili całkowitej ciemności zniknęła.

Ponieważ spodziewano się przerwy w dostawie prądu, na stołach i na kontuarze już wcześniej poustawiano świece. Teraz zapłonęły zapalki, knoty chwyciły ogień, a kiedy na twarze padło ciepłe złote światło, które rozjaśniło mahoniową boazerię i rzuciło drżące aureole na sufit, pogaszono latarki.

Wraz z powrotem światła rozbłysło wspomnienie i porażona nim Molly zamarła.

Neil coś do niej mówił, ona jednak tkwiła w niedawnej przeszłości, kuciała w pakamerze i patrzyła, jak samonaprawiający się grzyb „zaszywa” swoją ranę, słuchała Dereka Sawtelle'a...

Poszukała profesora w niespokojnym tłumie.

Neil położył dłoń na jej ramieniu i delikatnie nią potrząsnął, aby powróciła do rzeczywistości.

–O co w tym wszystkim chodzi? Co jest prawdą? A może nic tu nie jest prawdą? – spytała.

Siedzący po przeciwległej stronie pomieszczenia Derek patrzył na nią i uśmiechał się, jakby wiedział, o czym myśli. Potem odwrócił się do któregoś ze swoich towarzyszy i coś mu szepnął.

–Chodź – powiedziała Molly do Neila i ruszyła w tamtą stronę.

Niemal wszyscy obecni w restauracji ludzie byli na nogach – chodzili tam i z powrotem, rozmawiali, pocieszali się nawzajem, zbyt wstrząśnięci, aby siedzieć.

Powstawały także psy – i zaczęły kręcić się po sali z opuszczonymi nosami. Może w dalszym ciągu fascynowały je stare, wżarte w podłogę zapachy jedzenia i picia, ale Molly wcale by się nie dziwiła, gdyby szukały lalki, która zniknęła.

Kiedy podeszła do Dereka, właśnie nalewał ginu do szklanki, w połowie wypełnionej roztapiającym się lodem i plasterkami cytryny. Odwrócił się, jakby cały czas obserwował ją trzecim okiem, znajdującym się w potylicy.

–Molly, Neil, drodzy przyjaciele, zakładam, że ta odrobina teatru przekonała was, iż Bachus i Dionizos to jedyni warci czczenia bogowie. Miejmy nadzieję, że piwniczka Russella jest wypełniona dostateczną liczbą skrzynek i będziemy mogli przejść przez ostatnią scenę ostatniego aktu dobrze naoliwieni.

–Przestań chrzanić – burknęła Molly. – Wcale nie jesteś taki pijany. A nawet jeśli

jesteś, masz jeszcze dość ikry, aby odegrać swoją rolę.

–Moją rolę? – Derek rozejrzał się, udając zdziwienie. – Ktoś nas kręci?

–Wiesz, co mam na myśli.

–Obawiam się, że nie. Wątpię także, abyś sama wiedziała, co masz na myśli.

Trafił w dziesiątkę. Ale choć Molly nie wiedziała, co się właściwie dzieje, była przekonana, że jest to coś znacznie bardziej złożonego, niż początkowo sądziła, i wyczuła oszustwo.

–W pakamerze, kiedy patrzyliśmy, jak to cholerstwo naprawia swoją ranę... wtedy nie dotarło to do mnie, ale zacytowałeś Eliota.

Przez jego oczy przemknął cień – cień i migotanie, jak połyskujące łuski czegoś przepływającego tuż pod powierzchnią mętnej wody. Takiego błysku – niezależne od tego, czym był i co oznaczał – nie chciałoby się ujrzeć w oczach przyjaciela.

–Jakiego Eliota?

–Nie wygłupiaj się. T. S. Eliota.

–Nigdy mnie nie interesował. Jak wiesz, wolę powieściopisarzy, zwłaszcza tych w typie macho. T. S. Jest dla mnie zbyt wielkim dżentelmenem, w całej jego twórczości nie ma ani jednego wersu o bójce.

–Powiedziałeś do mnie: „Cała nasza wiedza zbliża nas do ignorancji” *[Wers z chorałów ze *Skafy*].

–Naprawdę? – Choć w głosie Dereka nie było drwiny, migotała w jego oczach.

–Nie bardzo pasowało to do kontekstu, ale niespójność składałam na karb ginu i nie od razu zauważyłam, że to cytat.

–Niekoniecznie musiał to być cytat, droga pani. Może od czasu do czasu sam też potrafię powiedzieć coś mądrego?

Nie zamierzała pozwolić mu się tak łatwo wymknąć.

–Następny wers brzmi: „Cała nasza ignorancja zbliża nas do śmierci”.

–No cóż, bez dwóch zdań pasuje to do sytuacji.

–Harry Corrigan, mój ojciec, ty... wszyscy cytują Eliota. Co cię z nimi łączy? O co tu chodzi?

Sardoniczny uśmieszek Dereka był taki sam jak uśmiech Renderr.

**–Neil, twoja śliczna żona najwyraźniej dołączyła do wariatów od teorii spiskowych...
ludzi wierzących w czarny helikopter.**

**–Powiedziałeś dokładnie to, co słyszała Molly – oświadczył Neil. – Ja też to
słyszałem.**

**–Uważaj, Neil, paranoja może być zaraźliwa. Lepiej weź sobie butelkę ginu i
zaszczep się.**

**–Jeżeli ktoś chce nas załatwić, to nie paranoja, ale rzeczywistość – stwierdziła
Molly.**

Derek wskazał na sufit, na lewiatana, którego czuli, nie widząc, ani nie słysząc.

**–To jest rzeczywistość, Molly -; powiedział. – Wisi nad
naszymi głowami. Wszyscy jesteście martwi, cały świat jest
martwy i nie ma przed tym ucieczki. Wkrótce nadejdzie
godzina, w której topór spadnie na głowę ostatniego z nas.**

**Nie było w nim strachu, rozpaczy czy nawet melancholii, którą tak zachwalał jako
idealną ucieczkę przed bólem i strachem. Zamiast tego w jego nagle
rozgorączkowanych oczach i w grymasie ust, przypominającym uśmiechającego się
Kota z Cheshire*[Postać z *Alicji w krainie czarów* Lewisa Carrella.], pojawił się triumf
– był absurdalny, ale bez najmniejszej wątpliwości był.**

**–Lepiej przestań się ciskać i dopatrywać wszędzie ukrytych znaczeń i korzystaj z
przyjemności, jakie nam jeszcze pozostały. Drinki są na koszt lokalu.**

**Molly była tak rozczarowana i zdezorientowana, że ledwo skrywana wrogość i
kłamstwa Dereka prawie jej nie ruszały. Odwróciła się do niego plecami, przeszła
kilka kroków przez tłum i uświadomiła sobie, że nie wie, gdzie ma iść ani co robić.**

**Wyglądało na to, że pozostało już tylko czekanie na śmierć i przyjęcie jej z ulgą,
kiedy nadejdzie.**

Neil ujął ją pod ramię i zaprowadził do pustego boksu pod ścianą. Molly nie chciała jednak usiąść.

–Zaczyna nam brakować czasu – oświadczyła.

–Wiem.

–Musimy coś zrobić, przygotować się.

–W porządku. Ale co? Jak?

–Może bank jest dobrym pomysłem. Zabezpieczyć go. Ukryć się w nim. W ostateczności stanąć do walki.

–W takim razie chodźmy tam z innymi.

–W tym problem. Z innymi? Wszyscy nie żyli... w lustrze. Mają zginąć w banku? Zostaną tam rozszarpani na kawałki?

Pokręciła głową i rozejrzała się. Wyraźnie widać było ledwie skrywaną panikę, ogarniającą nawet tych, którzy jeszcze kilkanaście minut temu obmyślali strategię, taktykę, rozważali możliwości przeżycia. Uwierzyli lustru i czekali na straszliwą śmierć, która wkrótce nadejdzie.

–Boję się – przyznała Molly. – Do tej pory jakoś sobie radziłam... ale teraz tracę wiarę.

Neil objął ją. Zawsze wiedział, kiedy nie należy nic mówić. Molly drżała. Wsłuchiwała się w rytm serca męża. Neil opoka.

Kiedy jej serce zaczęło się dostosowywać do wolniejszego rytmu jego serca, posadził ją w boksie i sam usiadł naprzeciwko.

Na stole nie było świec, nie miała jednak nic przeciwko temu, że pozostają w cieniu. Nie chciała, aby ktoś poza Neilem widział jej łzy. Była dumna ze swej twardości, wytrzymałości.

Może duma przestała już być tym, co się liczyło, ale z powodów, których Molly nie potrafiłaby określić słowami, uważała, że jest wręcz odwrotnie – jeszcze nigdy nie miała większego znaczenia.

–Zanim ustalimy, co robić, powinniśmy chyba zadać sobie pytanie, co wiemy – stwierdził Neil.

–Coraz mniej i mniej.

–Cała nasza wiedza zbliża nas do ignorancji – mruknął Neil. Jak na ironię, zacytował Eliota.

Pod obydwoma ławkami, na których siedzieli, była wolna przestrzeń. Molly wsunęła nogi pod siedzisko i nagle przypomniała jej się lalka, która zniknęła.

W chwili całkowitej ciemności między zgaśnięciem lamp i zapaleniem przez ludzi latarek i świec lalka mogła wpełznąć do tego boksu i schować się pod ławką. Bezoka, a jednak widząca. Usta bez języka, wypełnione milczeniem polującego drapieżcy.

Molly z trudem opanowała gwałtowną chęć wyjścia z boksu i przeszukania przestrzeni pod ławką. Byłoby to poddaniem się najbardziej pierwotnym, dziecięcym lękom, w efekcie czego znacznie trudniej byłoby jej zebrać odwagę na spotkanie z prawdziwymi i znacznie poważniejszymi zagrożeniami, które z pewnością nadejdą.

To była tylko lalka. Gdyby nagle poczuła na kostce maleńką plastikową dłoń, byłaby to tylko dłoń lalki, nieważne jakim szatańskim sposobem ożywionej, ale tylko lalki.

Otarła łzy z policzków.

–Naprawdę zabierają nam nasz świat?

–Wszystko na to wskazuje.

–A może po prostu źle to interpretujemy?

–Nie widzę innego sposobu interpretacji.

–Ja też nie. To coś w pakamerze... – Wzdrygnęła się. Cały czas czuła unoszącego się w powietrzu tytana, a kiedy

skierowała uwagę na sufit, mogła wyczuć ruch statku, płynącego przez burzę na południe. Wszystko wskazywało na to, że jej wrażliwość rośnie.

–Ale szybki terraforming to prywatna teoria Dereka, a ja mu nie ufam – stwierdziła.

–Co się z nim dzieje? Dlaczego tak dziwnie się zachowywał w rozmowie z tobą?

–Nie mam pojęcia.

–Mówiłaś, że Render mógł być „nie tylko” Renderem.

–Jeszcze nie bardzo wiem, co chciałam przez to powiedzieć.

–Może Derek jest Derekiem, ale też „nie tylko”?

–Na pewno nie wszystko z nim w porządku.

Neil podrapał się po karku.

–Wracamy do filmów o pasożytujących na ludziach Obcych.

–Dlaczego nie zagnieździli się w żadnym z nas? Czemu nie kontrolują wszystkich?

–Może wkrótce do tego dojdzie?

Pokręciła głową.

–Życie to nie science fiction.

–Okręty podwodne, broń jądrowa, telewizja, komputery, komunikacja satelitarna, przeszczepy narządów... zanim to wszystko stało się rzeczywistością, było już w książkach science fiction. A najważniejszym tematem jest kontakt z obcą cywilizacją.

–Jeśli potrafią zmieniać świat, po co im ta cała wojna psychologiczna? Mogliby zgnieść nas jak mrówki, co też zresztą robią, może jeszcze nie tutaj, ale w innych miastach na pewno.

–Masz na myśli lustro i lalkę?

–Także Harry'ego Corrigana i cytaty z Eliota. Jeżeli są w stanie zastąpić nasze środowisko naturalne swoim, w kilka dni albo tygodni

usunąć ludzką cywilizację, zetrzeć ją z powierzchni Ziemi skuteczniej od globalnej wojny nuklearnej, nie zajmowałoby się robieniem nam wody z mózgu.

Przypominając sobie, w jaki sposób lalka patrzyła w sufit tuż przez samookaleczenie, Molly podniosła wzrok ku górze i zadała sobie pytanie, czyjej zwiększona zdolność wyczuwania płynącego przez burzę lewiatana uczyni jej umysł podatnym na jego wpływ. Może – pozbawiona własnej woli – tak jak lalka wydłubie sobie oczy?

–Jeszcze żyjemy, bo chcą nas do czegoś wykorzystać – uświadomiła sobie nagle.

–Do czego?

–Mam kilka pomysłów.

–Ja też.

–Żaden nie jest miły.

–Pamiętasz film *Matrix*?

–Zapomnij o filmach. Chcą, byśmy myśleli w taki sposób, jesteśmy nakłaniani do takiego myślenia, ale to, co się dzieje, nie przypomina żadnego filmu.

Popatrzyła na Vince'a Hoyta, rozmawiającego z mężczyzną, którego nie знаła. Mimo woli oczami wyobraźni ujrzała obraz z lustra: trener bez wierzchołka czaszki.

–Może nie dotyczy to wszystkich z nas. My na przykład jesteśmy obiektami przeznaczonymi nie do zabicia, ale do manipulacji. To z lalką i lustrem za barem... każdy wszystko widział, ale być może miało to podziałać jedynie na ciebie i na mnie.

–Raczej tylko na ciebie – stwierdził Neil. – Derek przyszedł do ciebie. Render przyszedł do ciebie. Harry Corrigan przyszedł do ciebie. Żaden z nich nie przyszedł do mnie.

Molly nie chciała się pogodzić z myślą, że być może ich losy mogły się różnić, a ich ścieżki prędzej czy później będą musiały się rozejść.

–Nie wiem, o co tu chodzi, ale to, że byliśmy jedynymi osobami niewidocznymi w lustrze, musi coś oznaczać.

–Nie byliśmy jedyni – poprawił ją Neil. – Dzieci też nie było.

Szóstka dzieciaków stała niedaleko boksu. Jeszcze niedawno były pełne energii, teraz jednak zastąpił ją strach. Dzieci wyglądały, jakby były gotowe rzucić się do ucieczki przy najłżejszej prowokacji.

Kierowane instynktem psy znajdowały się tam, gdzie były najbardziej potrzebne. Sześć z nich krążyło po sali, trzy – golden retriever, owczarek niemiecki i czarnobrzązowy mieszaniec o sylwetce boksera i kudłatej mordzie szkockiego teriera – zebrały się wokół dzieci, aby w typowy psi sposób uspokoić strwożone serca i w razie potrzeby bronić młodych podopiecznych.

Obserwując psy i dzieci, Molly znów odniosła wrażenie, jakby z za otwartych pól świadomych myśli droczyło się z nią zrozumienie, bezkształtny kontur, sunący przez cienisty las podświadomości, równocześnie kuszący i niepokojący.

–Kogo poza dziećmi nie było w lustrze? – spytała Neila.

–Nie wiem. To się odbyło tak szybko, że nie zdążyłem sprawdzić. Może jeszcze kilku osób. A może my i szóstka dzieci to wszystko?

Bezgłośnie pulsowanie w kościach, we krwi i w limfie, wywołane impulsami silników magnetycznych, napędzających behemota nad ich głowami, zaczęło słabnąć.

Molly czuła, jak gigantyczny ciężar i złowrogi cień odpływa wraz z ruchem statku w kierunku południowym. Nie chcąc poddać się przygnębieniu, odpędziła od siebie myśli o hordach niehumanoidalnych stworzeń, które musiały wypełniać jego pokłady, oraz o ich okrutnej, niemożliwej do powstrzymania sile.

Płomienie palących się w restauracji świec pojaśniały – jakby ich światło było regulowane w podobny sposób, w jaki fazy Księżyca sterują przyływami i odpływami morskimi.

Także umysł Molly zdawał się szybciej i jaśniej pracować. Tam, gdzie jeszcze przed chwilą widziała jedynie kłęby dezorientacji, nagle dostrzegła sens.

–Kim jest Render, mój ojciec? – spytała Neila.

–Co masz na myśli?

–Jakie słowo najlepiej go określa?

–Psychopata.

–To odwrócenie uwagi od prawdy.

–Morderca?

–A dokładniej?

–Morderca... dzieci.

Do ich stolika podszedł pies – owczarek niemiecki, który jeszcze przed chwilą był przy dzieciach. Wpatrywał się uważnie w Molly.

Kiedy jej najbliższa przyszłość, jeszcze przed chwilą mroczna i tajemnicza, zaczęła się rozjaśniać, usiadła prosto.

–Tak... Render jest mordercą dzieci. A kim ja jestem?

–Dla mnie wszystkim. Dla świata pisarką.

–Kocham cię i to, co dzielimy. Nie mogło być lepiej, ale jeżeli dziś jest ostatni dzień tego świata, jeżeli nie zostało mi więcej życia, aby się określić, to najlepiej określ mi to, co zrobiłam najlepszego i najgorszego.

Neil zmarszczył czoło, próbując dotrzymać jej kroku.

–Najlepsze... uratowałaś życie dzieci w klasie.

–Render morduje dzieci. Ja... kiedyś kilkanaścioro uratowałam.

Owczarek zaskowyczał, jakby chciał zwrócić na siebie uwagę Molly.

Pomyślała, że zwierzę przyszło do nich tylko po to, aby obwąchać następny kawałek podłogi i wyłudzić kilka kęsów, jeśli mieli coś do jedzenia.

Ale spojrzenie owczarka było niezwykle intensywne.

Molly przypomniała sobie, jak psy – jako grupa – zareagowały na nią, kiedy weszła do restauracji. Od tej chwili zdawały się ją ukradkiem obserwować.

–Neil, myślimy tylko o tym, jak przeżyć. Mamy poszukać sobie jakiejś dziury, zagrzebać się w niej i czekać?

–Nigdy tak nie żyłaś... czekając biernie na to, co nastąpi.

–Ty też nie. Ale w tym chaosie są dzieci, które nie otrzymały ochrony, jakiej potrzebują. – Znalezienie celu ulżyło jej, nagle przepełniło ją poczucie konieczności zajęcia się czymś ważnym.

–A jeżeli nie będziemy potrafili ich uratować? – spytał Neil.

Pies postawił uszy, przekręcił łeb na bok i przyjrzał mu się uważnie.

–Może już nikt nie jest w stanie nikogo uratować – mruknął Neil. – Jeżeli ma zginąć cały świat...

Pies zaskowyczał tak samo jak przedtem, gdy wpatrywał się w Molly.

Zaintrygowana zachowaniem owczarka, zaczęła się zastanawiać, czy nie dzieje się właśnie coś ważnego, po chwili jednak pies odszedł, wszedł między ludzi i zniknął im z oczu.

–Jeżeli nie będziemy mogli ich uratować, to przynajmniej spróbujemy oszczędzić im bólu i przerażenia – powiedziała. – Staniemy między nimi a tym, co nadejdzie.

Neil popatrzył na dzieci.

–Nie mam na myśli tej szóstki – wyjaśniła Molly. – Są tu ich rodzice, a grupa dorosłych jest wystarczająco duża, aby je chronić. Ale ile dzieciaków jest jeszcze w mieście? Nie nastolatków, lecz małych i zupełnie bezbronnych dzieci. Sto? Dwieście?

–Może nawet więcej.

–Ile z nich ma rodziców, którzy zachowują się jak Derek i jego koleżkowie... upijają się, albo, co gorsza, pozostawiają je same sobie?

–Nie znamy większości mieszkańców miasta – odparł Neil. – Jest tu czterysta albo pięćset domów i nie wiemy, w których mieszkają dzieci. Gdybyśmy mieli we dwoje obejść wszystkie, zajmie to nam wiele godzin, może cały dzień. Nie zostało nam tyle czasu.

–No dobrze, może więc moglibyśmy namówić kogoś do pomocy?

Neil bez przekonania pokiwał głową.

–Ludzie mają własne plany.

Lawirując między stolikami i mieszkańcami Black Lake, owczarek wrócił do nich. Trzymał w pysku różę.

Nie wiadomo, skąd wziął ten kwiat. W restauracji nie było żadnych aranżacji kwiatowych.

Wydawało się, że pies chce, aby Molly wzięła od niego różę.

–Masz adoratora – stwierdził Neil.

Molly pomyślała o ojcu, mordującym chłopca w różanym ogrodzie. Jego głos wił się w jej głowie sinusoidą słów: „Zakopałem jego aparat pod różami. Był to gatunek *Kardynał Mindszenty*, nazwany tak z powodu wspaniałego purpurowego koloru”.

Podejrzewając, że między Renderem a psem może istnieć jakiś związek, z początku nie chciała wziąć róży do ręki.

Kiedy jednak popatrzyła owczarkowi w oczy, ujrzała w nich to, co widać w oczach każdego psa, który nie został złamany przez okrutnego pana: ufność, siłę pozbawioną arogancji, chęć dawania i otrzymywania uczucia – i szczerść tak czystą, że oszustwo, nawet jeśli rozważane, nie mogłoby zostać popełnione.

Owczarek pomachał ogonem.

Molly ujęła łodygę róży, a zwierzę rozwarło szczęki, by oddać jej pachnący kwiat.

Gdy Molly brała różę, dostrzegła plamkę krwi na języku psa, ukłucie kolca.

Natychmiast znów pomyślała o Renderze – choć nie o tym, który pojawił się tej nocy, ale tamtym sprzed dwudziestu lat, szalejącym w trzeciej klasie, a właściwie to też nie o nim samym, lecz o jednej z jego ofiar, dziewczynce o nazwisku Rebecca Rose, blondynce o błękitnych oczach, która owego strasznego dnia zmarła na jej

rękach.

Rebecca Rose*[Rose (ang.) – róża]. Nieśmiała dziewczynka, lekko sepleniąca. Jej ostatnie słowa, wyszeptane w malignie, zdawały się

nic nieznaczącym urojeniem: „Molly... tu jest pies. Jaki ładny... ale się świeci”.

Owczarek uważnie przyglądał się Molly. W jego oczach kryły się tajemnice, które dorównywały misteriom tej nocy zagadek, łamigłówek i zdumiewających zjawisk.

Krew od kolca na psim języku.

Róża Zapomnienia, przyniesiona przez psa, stała się Różą Pamięci, ściętą zbyt wcześnie.

Przekrzywiając łeb, owczarek zdawał się pytać, czy Molly Sloan – wrażliwa Molly, osoba o mocno nakręconej wewnętrznej sprężynie, zawsze żyjąca mniej w teraźniejszości, a bardziej w przyszłości, dążąca do realizacji starannie opracowanych planów, roztropna we wszystkim poza pisarstwem, unikająca dramatów w życiu, ale za to przelewająca je na papier – potrafi pojąć intencje przynoszącego kwiaty sfinksa, rozwiązać rebus na czterech łapach, który tak bardzo chciał zostać właściwie zrozumiany.

Róża drżała jej w dłoniach i po chwili, niczym krwawa kropla, na stół spadł pojedynczy płatek.

Pies czekał. Pies patrzył. Pies się uśmiechał.

Tej nocy mrocznych cudów i niezwykłych wydarzeń była to chwila nie mniej ważna, ale całkiem odmienna od tych, które miały miejsce przed nią.

Serce Molly galopowało. Jej myśli także przyspieszyły bieg – może zmierzając w kierunku najważniejszego odkrycia – na razie jednak plątały się w ślepych uliczkach nie przynoszących rozwiązania spekulacji.

Odłożyła różę. Wyciągnęła dłoń w kierunku psa. Owczarek polizał ją.

–Co jest? – spytał Neil, choć znał ją tak dobrze, że mógł czytać w jej myślach.

Molly szła przez przejrzystą wodę sadzawki i wyszła na brzeg z niemal jasnowidzącym odkryciem.

–Ten pies zaprowadzi nas do wszystkich dzieci, które potrzebują pomocy – powiedziała.

Owczarek skierował na Neila swoje przezroczyte oczy, jakby sądził, że każdy z

taką samą łatwością jak Molly powinien odczytywać jego intencje.

–Nie pytaj, skąd wiem, co mamy robić – dodała Molly. – Nie mam pojęcia, jak on znajdzie te dzieci, ale znajdzie je. Węchem, kierując się instynktem albo dzięki jakiemuś innemu darowi.

Neil popatrzył na psa, potem na Molly.

–Wiem, że to głupio brzmi – powiedziała.

Neil spojrział na wiszącą za kontuarem wielką, pustą ramę, z której wypadło lustro pełne żywych trupów.

–W porządku – mruknął. – W końcu co mamy do stracenia?

Owczarek, który według plakietki na obroży wabił się Virgil, był młody i szczupły, bystrooki, miły i chętny do współpracy.

Pod numerem rejestracyjnym wygrawerowano nazwisko i adres właściciela: James Week, Pine Street.

Kilka pytań pozwoliło im stwierdzić, że Wecka nie ma w restauracji. Najwyraźniej Virgil chodził w nocy samopas.

Russell Tewkes, który postanowił połączyć swój los z najlepszymi klientami, czyli pijącymi, pociągnął wielki łyk piwa z dużego kufła, po czym wrócił do podśmiewania się z tych, którzy szykowali się do przenoszenia zapasów ze sklepu i fortyfikowania banku. Kiedy zobaczył, że Neil i Molly również zamierzają wyjść, parsknął śmiechem.

–Nie potraficie spojrzeć rzeczywistości w twarz? Nie ma się gdzie przed tym schować.

–Nie będziemy się chować – zapewniła go Molly, ale wołała nie zdradzać, co zamierzają.

–Kiedy dostaną się w góry, ci Obcy, wypatroszą was jak ryby i zostawią trzepoczących się na ulicy – stwierdził Tewkes.

Molly i Neil nic na to nie odpowiedzieli, zbici z tropu zachowaniem właściciela restauracji.

Słowa Tewkesa nie były ostrzeżeniem, zostały wypowiedziane

paskudnym, szyderczym tonem. Niemal miał nadzieję, że przytrafi im się coś okropnego, a widok Neila i Molly, pozbawionych kończyn i wijących się w agonii najwyraźniej sprawiłby mu dużą przyjemność.

Jego twarz wesołego mnicha straciła całą wesołość i bardziej przypominała pysk rozzłoszczonej małpy, rysy nabrały wyrazu prymitywnej chytryści. Skóra policzków, opuchnięta i czerwona, dygotała od ledwie powstrzymywanych emocji. Resztką włosów, okalająca jego głowę „mnisim” wianuszkim, stała dęba, jakby w napadzie szału próbował je sobie powrywać i mu się to nie udało.

Kiedy Molly i Neil zaczęli się odwracać, przysunął się krok bliżej i upił łyk piwa.

–Jak wyjdziecie na zewnątrz, lepiej uważajcie. Padlinożercy o krwawych ślepiach pełzną zewsząd.

Choć akurat po nim trudno się było spodziewać cytowania poezji, znów był to Eliot: „Padlinożercy o krwawych ślepiach pełzną zewsząd”* [Z: *A Cooking Egg*].

–Znowu – powiedział Neil. Choć nie znał Eliota tak dobrze jak Molly, bez trudu zauważył niespójność wypowiedzi.

Gdy Molly odwróciła się do Tewkesa, ujrzała w jego wykrzywionej czerwonej twarzy i błyszczących rozgorączkowanych oczach – bardziej błyszczących, niż dałoby się to wyjaśnić światłem świec – drwinę, zadowolenie i nienawiść. Tętnice na jego skroniach napęczniały i pulsowały. Nozdrza rozdymały się. Zaciśnięte szczęki przesuwają się do przodu i do tyłu, jakby z wściekłości zamierzał pościerać sobie całe zęby.

Molly nie potrafiła zrozumieć, jak takie gorzkie emocje mogły rozkwitnąć w ciele dotychczas łagodnego knajpiarza – i to zaledwie w ciągu kilku godzin. Więcej – dlaczego jego wrogość skupiała się z taką intensywnością właśnie na niej? Ledwie знаła Russella Tewkesa i na pewno nigdy nie zrobiła niczego, co mogłoby go rozzłościć czy choćby poirytować.

Tewkes znów uniósł kufel, pociągnął potężny łyk piwa, potrzymał przez chwilę w ustach, po czym wypluł na podłogę, tuż pod nogi Molly.

Neil zrobił krok w jego stronę, ale Molly zatrzymała go. Virgil zawarczał, jego jednak również uspokoiła – wystarczyło, że szepnęła jego imię.

Być może Russell Tewkes przynajmniej w części pozostał tym, kim był kiedyś, ale z pewnością stał się czymś jeszcze. Do jego serca i umysłu znalazły drogę pasożyty, grzyby w żółte plamki albo jeszcze coś innego.

Atmosfera w restauracji się zmieniła. Molly nie czuła tej zmiany zapachem ani dotykiem, tak jak wyczułaby unoszącą się w powietrzu sadzę, nie widziała jej, ale wyczuwała ją przez skórę jako napierającą ze wszystkich stron szorstkość. Po sali zaczęła się rozchodzić ciemność – niemająca żadnego związku z przerwą w zasilaniu ani niewystarczającą liczbą świec – płynąca z ciemnej materii wszechświata, której fizycy nie umieją zobaczyć, chociaż dobrze wiedzą o jej istnieniu.

Molly chciała wyjść. Szybko.

Pięcioro dzieci było z grupą szeryfa Tuckera Madisona – wojownikami, którzy zamierzali zamienić bank w fortecę. Zbierali się do opuszczenia restauracji.

Szóste dziecko – dziewięcioletnia dziewczynka – dołączyło do siedzących razem z podpieraczami ścian rodziców. Mała nerwowo skręcała kciukiem i palcem wskazującym błyszczące blond włosy, a jej śliczne szafirowe oczy dręczyło wspomnienie zmasakrowanych duchów, które ujrzała w lustrze.

Miała na imię Cassie. Kiedy Molly powiedziała komplement o jej włosach, próbowała się uśmiechnąć, ale jej uśmiech szybko zamarł.

Matka Cassie ze złością zareagowała na sugestię Molly, że w restauracji nie jest zbyt bezpiecznie i powinni iść z grupą ludzi wychodzących do banku.

–Skąd pani to, do diabła, wie? – zapytała. – Nie wie pani więcej od nas. Zostaniemy w restauracji, dopóki nie dowiemy się czegoś więcej. Jest tu sucho, mamy świece. Będziemy tutaj bezpieczni. Dopóki sytuacja się nie wyklaruje, nie ma powodu nigdzie się ruszać, zresztą to szaleństwo.

–Niech się pani sama przekona – powiedziała Molly. – Proszę iść do męskiej toalety i wejść do pakamery. Zobaczyc, co tam rośnie.

–O czym pani mówi?! – Wbrew pytaniu, kobieta nie zamierzała słuchać odpowiedzi. Najwyraźniej bała się, że kiedy ją usłyszy, zmusi ją to do zmiany decyzji. – Nie będę chodzić do męskiej toalety. Co się z panią dzieje? Proszę stąd iść!

Molly miała ochotę złapać Cassie i zabrać ją siłą, byłaby to jednak przemoc, która mogła jeszcze bardziej przestraszyć dziewczynkę.

Zaczął się do nich zbliżać Tewkes, z wyraźnym zamiarem wszczęcia kłótni.

–Molly, chodźmy stąd – powiedział Neil.

Z ośmiu psów, poza Virgilem, pięć zbierało się do wyjścia razem z wojownikami. Pozostałe trzy otoczyły Cassie. Dwa mieszańce i golden retriever.

Molly po kolei spojrzała każdemu z psów w oczy i poczuła łączącą ją z nimi więź, niezwykle porozumienie, wykraczające poza wszystko, co można by wyrazić słowami. Wiedziała, że będą chronić dziewczynkę i jeśli zajdzie taka potrzeba, zginą w jej obronie.

Tak jak Render wydawał się Renderem i czymś jeszcze, tak jak Derek i Tewkes wyglądali jak dawniej, ale zachowywali się zupełnie inaczej, tak samo psy, choć na pierwszy rzut oka wydawały się jedynie psami, były też czymś jeszcze. W odróżnieniu od mordercy, profesora i właściciela restauracji nie były jednak rzecznikami rozpaczy – wręcz przeciwnie.

Z narastającym zdumieniem, które tłumilo przepelniający jej serce strach, Molly dotknęła każdego psa. Kiedy głaskała je po łbach, wszystkie w odpowiedzi trącały jej dłoń nosem.

–Macie łagodne serca – powiedziała im. – I odważne.

–Co tu się dzieje? – spytał Russell Tewkes, stając obok niej w oparach smrodku piwa i odoru potu.

–Wychodzimy – odparła Molly i odwróciła się.

Byli prawie przy frontowych drzwiach, gdy przestało padać – tak nagle, jakby zakręcono kran.

Kaskady wody spłynęły z ulic i zniknęły w studzienkach. Ale napływały już nowe, oślepiały, dręczyły oczy i ogłupiały umysł.

Miasto niemal zniknęło we mgle. Gęste, kłębiące się opary spływały z wyższych grani niczym miękka lawina, unosiły się też znad jeziora o bardzo podniesionym poziomie wody.

Przez chwilę Molly wstrzymywała oddech – z obawy, że chmury okażą się trujące. Zaraz jednak znowu zaczęła oddychać i nic się nie stało.

Domy mieszkalne i inne zabudowania można było nie tyle zobaczyć, co wyczuć. Kaligrafia drzew, liściastych i iglastych, pełna ozdobników i zawijasów, wciąż była zacierana przez leniwie toczące się kłęby mgły.

Dla Molly nagła cisza, jaka nastąpiła po wielogodzinnym ryku deszczu, miała w sobie coś z wstrząsającego domem grzmotu. Kiedy wychodzili z restauracji, Molly z Virgilem u boku, a Neil tuż za nimi, wydało jej się, że ogłuchła. Wrażenie to potęgowała gęsta mgła.

Ale bardziej niż koniec deszczu, bardziej niż nieprzenikniona cisza zaskoczył ją świt. Spojrzenie na zegarek, który poza chwilami, kiedy oddziaływał na niego tajemniczy lewiatan – chodził normalnie, uświadomiło Molly, że właśnie nadszedł na to czas.

Światło nowego dnia było ciemnopurpurowe, nie jak przy wschodzie słońca, ale jak podczas zachodu. Nadawało mgle ciemnorubinową barwę, przeplataną falującymi żyłkami złota.

W normalnych okolicznościach te królewskie kolory byłyby wspaniałym początkiem dnia, ale teraz przedziwne światło i okrywająca wszystko mgła zapowiadały chaos i przemoc.

Mgła nie pachniała. Deszcz też nie pozostawił po sobie żadnego zapachu.

Pierwsza faza przejścia Ziemi została zakończona.

Rozpoczął się nowy i z pewnością jeszcze bardziej przerażający etap.

Każdy koniec to nowy początek i może w tym początku nastąpi koniec wszystkiego co śmiertelne. Będzie to ostatecznie przekręcenie noża.

Widoczność wciąż się zmieniała. Nawet gdy stało się bez ruchu, w jednej chwili sięgała jedynie na półtora metra, po chwili na trzy. Nigdy jednak nie przekraczała

pięciu metrów, a czasami kończyła się na wyciągnięcie ramienia.

Z restauracji wysypywali się ludzie, ale wielu pozostało w środku z płynami do smarowania duszy i iluzjami. Na zewnątrz wystarczyło zrobić dwa kroki, by człowiek stawał się duchem o stłumionym głosie owiniętej bandażami mumii.

Wydawało się, że w tym powolnie wirującym, ciągle się zmieniającym purpurowym migotaniu przydałaby się latarka. Kiedy jednak Neil zapalił swoją, okazało się, że promień jest odbijany przez mgłę i niczego nie oświetla, tylko jeszcze bardziej mami wzrok.

Zgasił ją więc i schował do kieszeni.

–I tak powinienem mieć obie ręce wolne do strzelby – stwierdził.

Molly wyciągnęła pistolet jeszcze w drzwiach restauracji. Nie czuła się lepiej uzbrojona niż uzbrojony w dmuchawkę na strzałki pierwotny człowiek, który trafił na pole bitwy, prowadzonej przez nowoczesne armie z czołgami i naprowadzanymi laserowo raketami.

Grupka wojowników oddaliła się w kierunku banku – na piechotę, ciasno zbita. Odgłosy ich kroków i głosy szybko przestały być słyszalne.

Druga grupa – w dwóch samochodach – odjechała do położonej niżej części miasta, do sklepu spożywczego Normana Linga. Choć poruszali się bardzo powoli, mgła błyskawicznie ich połknęła. Po kolejnym ruchu jej szczęk światła reflektorów poblady, zmatowiały.

Odgłos pracy silników cichł i po chwili zamienił się w gardłowy pomruk, jakby w purpurowym półmroku krążyły po bagnach bestie z Parku Jurajskiego.

Molly obawiała się, że pies wybiegnie do przodu i zniknie w toczących się po ziemi kłębach, miała jednak nadzieję, że kiedy go zawoła, wróci. Mgła mogła skomplikować poszukiwania, ale nie bardziej niż deszcz.

–W porządku, Virgil. Do roboty.

Pies zdawał się doskonale wiedzieć, co Molly ma na myśli, i ruszył przodem, dostosowując swoje tempo do możliwości ludzi.

Szli środkiem ulicy, kaptury odrzucili na plecy, ale na wypadek gdyby deszcz miał powrócić, nie zdjęli płaszczy przeciwdeszczowych.

Kiedy przeszli kawałek, z mgły doleciało nagle rozpaczliwe wołanie:

–Pomocy! Niech ktoś mi pomoże!

Pies stanął i postawił uszy.

Molly wpatrywała się w mrok, szukając źródła dźwięku.

–Gdzie? – spytał Neil.

–Nie wiem.

Wołanie znów się rozległo, tym razem jednak w głosie słychać było nutę cierpienia.

–Proszę! Jest tam kto? Boże, pomóż mi, proszę...

Molly rozpoznała ten głos. Ken Halleck, urzędnik pocztowy z szerokimi bakami i o jeszcze szerszym uśmiechu.

Ken i jego siedemnastoletni syn Bobby, uzbrojeni w karabin i widły, trzymali straż przed drzwiami restauracji.

Wychodząc z niej, Molly nie zwróciła uwagi na to, że nie ma ich na posterunku. Koniec deszczu, nadejście świtu i purpurowa mgła odwróciły jej uwagę.

–Słyszę kogoś... – wyjęczał Halleck. – Proszę, nie zostawiajcie mnie tutaj. Strasznie cierpię. Boję się.

Virgil natychmiast zorientował się, gdzie jest Halleck. Zrobił kilka kroków w tę stronę, zatrzymał się jednak, opuścił łeb i nastroszył sierść. Warknął cicho – bardziej po to, aby ostrzec towarzyszących mu ludzi, niż rzucić wyzwanie groźbie, jaką wyczuł w mroku.

Molly wahała się, ale kiedy Halleck ponownie zawołał charkoczącym, przepełnionym straszliwym bólem głosem, nie potrafiła odwrócić się i odejść, nawet jeśli – co sugerowała postawa psa – była to pułapka.

–Ostrożnie – szepnął Neil i ruszyli ramię w ramię, pozostawiając psa za sobą.

Złowrogie opary zamknęły się wokół nich, tak lepkie i gęste, że zdawały się tłumić nawet odgłos pulsu w uszach. Z każdym krokiem przeredzały się jednak, jakby usuwano je warstwa po warstwie.

Przez unoszące się woale Molly dostrzegła ciemny kształt na tle czarnego asfaltu. Kiedy podeszli bliżej, rozpoznała odciętą głowę Kena Hallecka.

Oczy pozbawionej ciała głowy otwarły się. Błyszczało w nich życie i były pełne niewyobrażalnej rozpacz.

Usta poruszyły się i wydobyły się z nich słowa:

–Czy wiecie, gdzie jest Bobby, mój Bobby, mój syn?

Wyobraźnia ludzka to prawdopodobnie coś najbardziej elastycznego we wszechświecie, zdolnego objąć miliony planów i marzeń, przez wieki budujących współczesną cywilizację, żywić niekończące się wątpliwości, towarzyszące każdemu ludzkiemu przedsięwzięciu, oraz tworzyć zastępy upiorów, dręczących każde ludzkie serce.

Ale w ostatnich godzinach wydarzyły się rzeczy, których Molly nie byłaby sobie w stanie wyobrazić i z którymi jej rozsądek nie umiał sobie poradzić. Należała do nich ta odcięta, a mimo to żywa głowa, choć Molly była już świadkiem spaceru pozbawionego mózgu ciała Harry'ego Corriganana i samookaleczeń plastikowej lalki.

Wzrok Kena Hallecka sparaliżował ją. Był żaloszny. Szalony. Demoniczny.

Obcy sprowadzili na Ziemię jakąś złą energię, która nie rozróżniała roślin i zwierząt, materii organicznej i nieorganicznej oraz ożywionej i nieożywionej. Rozwijała się ona zarówno w tym, co żyje lub umarło, jak i w tym, co nigdy nie żyło.

W drżącym głosie Kena brzmiało przerażenie, może żal.

–Gdzie jest mój Bobby? Co z nim zrobili? Chcę zobaczyć mojego chłopca.

Molly kręciło się w głowie, jej umysł protestował – nie tylko protestował, ale przeczył, rozpaczliwie starając się zignorować to obrzydlistwo, niezależnie od tego, jak wyraźnie potwierdzały jego istnienie zmysły.

Można wyobrazić sobie życie w otoczeniu zamienionym w jakiś świat z drugiego krańca galaktyki, porośnięty przedziwnymi złowrogimi roślinami, zamieszkały przez sabatowy pomiot odrażających i niebezpiecznych zwierząt. Można mieć nadzieję na przeżycie w jakimś odległym zakątku Ziemi, gdzie dałoby się żyć w ukryciu, żywiąc się prostym jedzeniem i korzystając ze skromnych przyjemności.

Molly nie była jednak w stanie wyobrazić sobie życia w obłąkanym świecie, w którym martwi chodzą, odcięte głowy rozmawiają, a lalki wypowiadają groźby i gdzie natknąć się można na każdy rodzaj horroru, jaki potrafi stworzyć ludzka wyobraźnia – czy nawet gorsze. Takie miejsce nie dawałoby ani spokoju, ani żadnej szansy na szczęście.

Była bliska poddania się i porzucenia nadziei na przeżycie, ale pozostawiałoby to tylko dwie możliwości: czekanie, aż jakiś stwór z sennego koszmaru znajdzie ją i rozszarpie na strzępy, albo samobójstwo. Każda z tych możliwości była autodestrukcyjna, a samobójstwo nie mieściło się w jej filozofii ani przekonaniach.

Poza tym trzeba było znaleźć dzieci. Postanowiła nie zastanawiać się nad tym, co może się stać po tym, jak je już zbiorą i otoczą swą niedostateczną ochroną.

–Kocham mojego chłopca, mojego Bobby'ego – wychrypiła głowa Hallecka. –
Gdzie jest mój Bobby?

Neil uniósł strzelbę, ale Molly powstrzymała go.

–To nie jest Ken – powiedziała. – Nie musisz strzelać. Ken nie żyje, odszedł.

–Chcę tylko powstrzymać tego stwora. Uciszyć go.

–Nie uda ci się. Wtedy będzie jeszcze gorzej.

Poza tym uważała, że powinni oszczędzać amunicję. Choć kilka pocisków kalibru 12 nie powstrzymało tego, co przyszło po Harry'ego Corriganana, być może będą mieli w nadchodzących godzinach do

czynienia z przeciwnikami, których da się zranić dobrze wycelowanym ładunkiem śrutowym.

Wrócili do miejsca, w którym skręcili, nagle jednak stracili z oczu Virgila. Cicho zaszczekał, znalazł ich i doprowadził do właściwej drogi.

Nim przeszli kolejne kilkanaście kroków, przez tłumiącą wszystkie odgłosy mgłę przebił się metaliczny chrzęst. Zbliżali się ostrożnie do źródła dźwięku.

Tym razem mgła ukazała w krwawym świetle klęczącego tuż przy krawężniku mężczyznę. Był pochylony, odwrócony plecami do nich i próbował podnieść kratkę kanalizacji burzowej.

Choć deszcz już nie padał, kanały były wypełnione wodą, w której pływały śmieci i liście. Z dłoni mężczyzny ściekała brudna woda.

Cichy warkot Virgila nakazał Molly i Neilowi ostrożność.

Zatrzymali się i bez słowa czekali, aż klęczący człowiek wyczuje ich obecność.

Jego sylwetka, przypominająca księżyc w trzeciej kwadrze, jego skupienie i dziwna czynność, jaką wykonywał – wszystko to przywiodło Molly na myśl opowieści o przepelnionych nienawiścią, żarłocznych trollach.

Ze zgrzytem metalu drapiącego asfalt krata została uniesiona. Troll przesunął ją na bok.

Uniósł głowę, lecz nie miał głowy. Zrobił ruch, jakby patrzył przez ramię, ale nawet

jeśli wiedział, że Neil i Molly stoją za nim, nie mógł ich widzieć, była to bowiem nemezis Ichaboda Crane'a* – tyle że bez konia[Chodzi o jeźdźca bez głowy z opowiadania *Legenda Sleepy Hollow* Washingtona Irvinga].

Gwałtowne bicie serca Molly równie dobrze mogło być łomotem pięści szaleństwa, dobijającego się do jej umysłu.

W tym nieziemskim purpurowym poranku i skrywającej niebo

mgłę, gdy zdawało się, że zwykłe prawa natury – z nielicznymi wyjątkami – przestały obowiązywać, Molly niemal nie spodziewała się, że po świcie nadejdzie kolejny dzień. Zaraz po wschodzie słońca mógł nastąpić zachód, a następna noc mogła być nieskończona, bezksiężycowa, bezgwiezdna, wypełniona złowrogimi odgłosami skradającej się śmierci.

Neil i Molly z trudem pohamowali chęć strzelenia do bezgłowego okropieństwa, jeśli jednak ostrze, które je zdekapitowało, nie było w stanie przekonać tego stwora, że nie żyje, dziewięciomilimetrový pocisk w sercu też by go nie przekonał, że powinien paść na ziemię i wydać ostatnie tchnienie.

Pozbawione głowy ciało Kena Hallecka – sterowane przez pasożyty albo jakąś pozaziemską moc, która mogła być też czarnoksięstwem – spuściło nogi do kanału i z pluskiem w nim zniknęło.

Przez chwilę panowała cisza, którą przerywał jedynie bulgot w kanałach i kapanie wody z mokrych drzew.

Potem rozległy się głośny chlupot i głuche dudnienie stóp bezgłowego stwora, przebijającego się z determinacją przez burzowiec pod ulicami Black Lake. Może szukał jakiejś niszy, by zaleć nad gwałtownie spływającą wodą i zaoferować swe ciało jako lęgowisko kolonii grzybów albo innej, jeszcze bardziej ponurej formie życia.

Część piąta

Rodzimy się wraz z umarłymi:

Wracają, popatrz, i wiodą nas z sobą!

T. S. Eliot

Little Gidding

(przełożył Jerzy Niemojowski)

Całkowicie skoncentrowany na swoim zadaniu, poruszając się tak szybko, jak tylko pozwalała na to mgła, Virgil zaprowadził ich do rezydencji przy La Cresta Avenue, ulicy, która ani nie była aleją, ani nie znajdowała się w pobliżu grani, ale w połowie terenu między jeziorem a linią grani. Dwupasmowa ulica nie różniła się niczym szczególnym od innych ulic w mieście.

Choć gwałtowna ulewa odarła wszystkie liście z pnących się po kratkach winorośli i zmiażdżyła rabaty cyklamenów, zamieniając je w pokryte czerwonymi i purpurowymi płatkami pobojuwisko, parterowy bungalow wyglądał przytulnie i zapraszająco.

Kiedy zbliżali się do werandy, Neil nagle zszedł ze ścieżki na przesiąkniętą wodą trawę.

–Popatrz na to.

Obiektem jego zainteresowania była limba, a właściwie to, co czepiało się jej spękanej kory. Mrużąc oczy, aby cokolwiek dojrzeć w sinym świetle, Molly zobaczyła plamy czarniawych, nakrapianych zielenią, pierzastych jak paproć tworów, pokrywających pień niczym grube strupy.

Widowała podobne porosty, choć żaden z nich nie miał takich jak ten świecących elementów. Wszystkie szmaragdowozielone plamki

lekko promieniowały, a ich światełka pulsowały. Zdaniem Molly rytm tego pulsowania mógł współgrać z długimi, powolnymi drganiem silników, zasilających napowietrznego lewiatana, który tak niedawno nad nimi przeleciał.

Agresywny porost narastał wokół każdego pierzastego liścia z widoczną dla ludzkiego oka prędkością i rozprzestrzeniał się we wszystkich kierunkach. Było to jak oglądanie filmu przyrodniczego w przyspieszonym tempie. W ciągu minuty, przez którą obserwowali pień, strup powiększył się mniej więcej o centymetr.

Przy tej prędkości rozrostu pień i wszystkie gałęzie drzewa pokryją się tym łuskowatym parchem w kilka godzin.

Porosty są skomplikowanymi organizmami symbiotycznymi, składającymi się z grzybów i alg. Często żyją na drzewach, w najmniejszym stopniu im nie szkodząc.

W tym przypadku Molly podejrzewała jednak, że limba nie przeżyje obrośnięcia. Albo uschnie i przewróci się, wydrążona przez gatunek o tak samo nieznanym pochodzeniu jak kolonizujący jej korę organizm, albo zostanie zmieniona w roślinę z obcej planety.

Świecące szmaragdowe pulsowanie czarniawej „paproci” miało w sobie coś z blasku kamieni szlachetnych i drzewo wyglądało, jakby było inkrustowane szmaragdami.

Tej limby nie otaczała jednak aura bajkowego cudu. Wręcz odwrotnie: mimo blasku drzewo sprawiało wrażenie zrakowaciałego, pokrytego guzami.

Virgil nie podszedł do drzewa, zatrzymał się na ścieżce z kamiennych płyt, spięty i czujny.

Molly była nie mniej nieufna. Nie dotknęła limby z obawy, że porost mógłby przenieść się na jej palce i okazać zdolny do skolonizowania ludzkiej skóry z taką samą łatwością, z jaką opanowywał korę drzewa.

Po drugiej stronie ścieżki stała druga limba i choć światło nie ukazywało szczegółów, także na niej widać było świecące porosty.

Virgil ruszył w kierunku frontowych schodów.

W środku nie paliły się świece, lampy naftowe ani światła awaryjne. Okna były ciemne, od czasu do czasu rozjaśniały je tylko refleksy purpurowego światła, przenikającego leniwie kłębiącą się mgłę.

Jeżeli wejdą bez pukania, mogą zostać ostrzelani.

Gdyby jednak znajdujące się w środku dzieci były zagrożone – ze strony Michaela Render’a albo czegoś jeszcze bardziej okrutnego – zapowiedzeniem swego przybycia Molly i Neil mogli zwiększyć ryzyko.

Dylemat ten po części sam się rozwiązał, kiedy zamek frontowych drzwi kliknął i otworzył się.

Cofnęli się odruchowo i odsunęli na boki, aby przy ewentualnym ataku ze środka nie stać na linii strzału.

Virgil nawet nie drgnął.

Drzwi otworzyły się, gładkim ruchem obracając się do środka. Choć mały przedsionek był oświetlany jedynie przez zamglone purpurowe światło poranka, wystarczyło to, aby stwierdzić, że nikogo w nim nie ma – jakby do środka wpuszczał ich duch.

Korytarz za przedsionkiem był ciemny jak nora węża.

Trzymający strzelbę Neil musiał mieć wolne obie ręce, więc Molly wyjęła swoją

latarkę.

Virgil odważnie podążył za jej promieniem.

Stojąc na werandzie, Molly świeciła do korytarza za przedsionkiem. Wąski stolik, na nim dwa wazon. Drzwi w głębi. Nie widać było żadnego bezpośredniego zagrożenia.

Choć wszystkie psy zachowywały się tej nocy w niezwykle sposób, a Virgil zadziwił ich szczególnie, podając Molly różę i najwyraźniej rozumiejąc cel misji, wejście bez zapowiedzi do czyjś domu wymagało mocnych nerwów i pełnego zaufania do instynktu psa. Przez chwilę Molly zabrakło jednego i drugiego, Neil także się wahał.

Zdziwiony ich ociąganiem, Virgil odwrócił łeb i spojrział na nich złotymi oczami. Nie był to zwykły błysk psich oczu w ciemności,

ale coś wyjątkowego, możliwego tylko tej nocy – nie odbicie światła, nie bioluminescencja, lecz coś noszącego znamiona cudu: w głębi oczodołów błyszcząły aureole, oznaka świętości.

Niemal jak pod wpływem zaklęcia, ukrytego w złotym psim spojrzeniu, z Molly opadły wszelkie wątpliwości. Wyszły jej usta, ale zebrała ślinę i splunęła. Potem przeszła przez próg i weszła do domu.

Neil podążył za nią, a kiedy oboje znaleźli się w środku, drzwi się zamknęły – z delikatnością bardziej denerwującą od trzaśnięcia. To nie powiew powietrza je zamknął.

Molly ogarnął strach, który natychmiast zaczął rosnać, nie odwróciła się jednak, by spróbować otworzyć drzwi. Domyślała się, że nieznaney sile właśnie o to chodzi. Jeżeli postanowi się wycofać, sama wybierze właściwy moment, nie pozwoli, aby wybierano go za nią.

Virgil obwąchał zamknięte drzwi i łukowate przejścia, prowadzące na prawo i lewo.

Szafa w przedpokoju nie wzbudziła w nim podejrzeń, ale Molly ją otworzyła, a Neil sprawdził płaszcze, dźgając je lufą strzelby.

Choć Virgil nie zainteresował się gabinetem, w którym zaciągnięto zasłony i panowała całkowita ciemność, Molly przeszukała całe pomieszczenie promieniem latarki. Cienie wyciągały się i napinały, lecz wszystkie pochodziły od mebli i tylko ruch latarki nadał im pozory życia.

Przechodząc do salonu, pies zaskowyczał cicho.

Na okna parło od zewnątrz ametystowe światło mętnego poranka, niczego nie

ukazując, ale Molly natychmiast zorientowała się, co niepokoi owczarka, bo też to usłyszała: szepczący głos, szelest, cichy pomruk.

Światło latarki odbiło się od szkła oprawionych obrazów. Od ceramicznych lamp. Od wazonu, rżniętej kryształowej misy, lustra nad kominkiem. Od martwego ekranu telewizora.

Neil podążał za promieniem z wysuniętą do przodu lufą strzelby,

nie dostrzegł jednak niczego, do czego należałoby strzelać.

Szelest zrobił się głośniejszy, zdawał się dochodzić zewsząd.

Pies krążył po pokoju z opuszczonym ogonem, nadstawiając uszu.

–Ściany – powiedział Neil. Molly skierowała na niego promień latarki i ujrzała, że przyciska ucho do tynku.

Stanęła po drugiej stronie przejścia i również przysunęła się do ściany. Zbliżyła do niej ucho.

Kiedy dokładniej się wsłuchała, doszła do wniosku, że to nie szelest, ale trzepot, furkotanie, jakby o wewnętrzną stronę tynku wściekle uderzało skrzydłami stado ptaków albo chmara owadów.

W ścianach korytarzy oraz – co wykazało dalsze badanie – ścianach jadalni i być może także w sufitach tych pomieszczeń niezliczone skrzydła, nie wiadomo, czy pokryte pierzem, czy utworzone z cienkiej błony, uderzały o siebie nawzajem i o boki zamknięcia.

Molly skierowała światło latarki na znajdujące się pod sufitem, zamknięte kratkami wyloty kanałów grzewczych, ale nie było w nich widać trzepotu czegokolwiek, co chciałoby stamtąd wylecieć. Tajemnicza skrzydlata chmara nie przeniosła się jeszcze ze ścian do przewodów układu ogrzewania tego domu.

Nie był to już zresztą dom, lecz inkubator, gniazdo rozrodcze czegoś znacznie bardziej obrzydliwego i niebezpiecznego od pajaków i karaluchów. Molly nie chciała znajdować się w tym budynku, gdy pobudzone do działania legiony wyrwą się z więzienia w drewnie i tynku.

Wierny Virgil, zaniepokojony mieszkańcami ścian, ale wcale nieskłonny do odwrotu, zaprowadził Molly i Neila do końca korytarza. Tak samo jak poprzednio, pod wpływem niewidzialnej siły zamknięte drzwi się otworzyły.

Prowadziły do kuchni, słabo rozświetlanej purpurowym porankiem. Trzymając latarkę i pistolet, Molly weszła za psem do środka

jeszcze ostrożniej, niż wchodziła do budynku, kiedy jednak usłyszała przestraszone krzyki dzieci, ruszyła szybkim krokiem. Neil podążył tuż za nią.

Przy stole stał ośmio-, może dziewięcioletni chłopiec. Virgil przestraszył go i mały podniósł szczotkę, jakby stał na bazie baseballowego boiska i szykował się do uderzenia kijem. Miał tylko tę żalostną broń do walki z tym, co mogło zaraz wypaść ze ścian – żukami albo nietoperzami, a może istotami z drugiego krańca galaktyki.

Na stole siedziała mniej więcej sześciolatnia dziewczynka, nogi podciągnęła pod siebie, jakby obawiała się, że z pęknięć między deskami mogą nagle wylecieć rozedrgane chmary, które zaleją podłogę. Niecały metr wysokości był jedyną ochroną, jaką udało jej się znaleźć.

–Kim jesteście? – spytał chłopiec, próbując nie okazywać strachu, nie potrafił jednak zapanować nad łamiącym się głosem.

–Jestem Molly. A to Neil. Przyszliśmy...

–CZYM jesteście? – zapytał tym razem chłopiec. Też znał wszystkie filmy o Obcych i spodziewał się pożeraczy ciał albo pasożytów.

–Jesteśmy tym, na co wyglądamy – odparł Neil. – Mieszkamy na północ od miasta, za drogą.

–Wiemy, że mieliście problem – powiedziała Molly. – Przyszliśmy wam pomóc.

–Jak? – podejrzliwie spytał chłopiec. – Skąd się o nas dowiedzieliście?

–Pies nas przyprowadził – odparła Molly.

–Wiedzieliśmy, że w mieście są samotne dzieci i mają kłopoty. Virgil je dla nas znajduje. Nie wiemy dlaczego ani jak – dodał Neil.

Być może prostota tych wyjaśnień przekonała chłopca. Może przekonało go także zachowanie Virgila: przyjacielskie przekrzywienie kosmatego łba, wywieszony jęzor, machanie ogonem.

Chłopiec opuścił szczotkę i przyjął mniej defensywną postawę.

–Jak masz na imię? – spytała Molly.

–Johnny. To jest Abby, moja siostra. Nie pozwolę, aby stało jej się coś złego.

–Nic złego nie stanie się żadnemu z was – zapewniła go Molly, nie mając jednak żadnej pewności, że uda jej się z Neilem spełnić tę obietnicę.

Oczy Abby były tak samo jasnobłękitne jak Johnny'ego i tak samo przepelnione strachem.

Aby nie zdradzić dręczących ją obaw, Molly próbowała zmusić się do uśmiechu, uświadomiła sobie jednak, że musi to w tej chwili wyglądać upiornie, więc przestała.

–Gdzie są wasi rodzice? – dopytywał się Neil.

–Stary był nawalony – odpowiedział Johnny z grymasem obrzydzenia. – Tequila i prochy, jak zawsze. Zanim telewizja przestała działać, zszczał się, oglądając wiadomości, i nawet o tym nie wiedział. Gadał jakieś głupoty o budowaniu fortecy, a potem poszedł do garażu po narzędzia, gwoździe czy coś takiego.

–Wiemy, co się z nim stało – odezwała się cicho Abby. – Słyszeliśmy, jak krzyczy. – Lękliwie rozejrzała się po pomieszczeniu i popatrzyła na sufit. – Dorwały go stwory ze ścian.

Rojące się pod tynkiem istoty jakby zrozumiały słowa dziewczynki, bo zaczęły trzepotać się ze zdwojoną siłą. Entomologicznie. Polimorficznie. Pandemonicznie.

–Nie – zaprzeczył Johnny. – Musiało go capnąć coś większego, znacznie większego

od tego w ścianach.

–Krzyczał i krzyczał. – Na to wspomnienie oczy Abby wyraźnie się powiększyły i skrzyżowała ramiona na piersi, jakby jej kruche kończyny mogły służyć jako pancerz.

–Cokolwiek go złapało, warczało i skrzeczało jak puma – dodał Johnny. – Ale to nie była puma. Słyszeliśmy dość dobrze. Drzwi do garażu były otwarte.

Teraz były zamknięte.

–Potem zapiszczało, jak jeszcze nigdy nie słyszałem – mówił Johnny. – Brzmiało to jak... jak śmiech, a potem... słychać było odgłos mlaskania.

Chłopiec wzdrygnął się na to wspomnienie.

–Zjedzą nas żywcem – stwierdziła jego siostra.

Molly odłożyła latarkę, podeszła do Abby, przyciągnęła ją do skraju stołu i objęła.

–Zabierzemy cię stąd, skarbie.

–Gdzie wasza mama? – spytał Neil.

–Odeszła dwa lata temu – wyjaśnił chłopiec.

Głos załamał mu się bardziej niż poprzednio, jakby odejście matki poruszało go głębiej dwa lata po fakcie niż pozaziemskie okropności, z jakimi miał do czynienia przed niewieloma godzinami.

Próbując pohamować emocje, mocno zagryzł dolną wargę.

–Chcieliśmy kilka razy wyjść – powiedział do Molly – ale nie mogliśmy otworzyć drzwi.

–Dla nas się otworzyły – zdziwił się Neil.

–Może wpuszczają, ale nie wypuszczają – odparł chłopiec, kręcąc głową.

Złapał stojący na kuchence garnuszek i rzucił nim z całej siły w okno. Metal mocno uderzył w szkło, rozległ się jednak tylko wibrujący odgłos i garnek odbił się, a szyba pozostała nienaruszona.

–Coś dziwnego dzieje się z domem – zauważył chłopiec. – Zmienia się. Jest... prawie żywy.

Kiedy wyszli z kuchni i ruszyli korytarzem do przedsiionka, cały czas towarzyszył im chór wściekłego trzepotania, chrobot, furkot, gwałtownie przyspieszający rytm, jakby chmara wyczuwała, że ofiary uciekają.

–Mówią – powiedziała Abby, kiedy prowadzeni przez Virgila, szybko wychodzili z kuchni.

–Kto, skarbie?

–Ściany. Prawda, Johnny? Prawda, że mówią?

–Czasami słycać głosy – potwierdził chłopiec, kiedy dotarli do szafy w przedpokoju.

Na wypadek, gdyby ulewa miała powrócić, poszukali dla dzieci czegoś, co mogłoby chronić je od deszczu. Zdecydowali się na nylonowe kurtki na ciepłej podpince.

–Ale chyba nie po angielsku? – spytała Molly.

–Czasami po angielsku – odparł Johnny. – Czasami w innym języku. Nie znam go.

W całym domu zaczęły trzeszczeć deski podłogi, słupki w ścianach, belki stropowe. Budynek zachowywał się jak statek na morzu, uciekający skrajem burzy po stromych falach.

Virgil, który do tej pory zachowywał się cicho, teraz zaszczekał. Raz, krótko, jakby chciał powiedzieć: Idziemy!

Trzeszczenie gwałtownie się nasiliło, zwielokrotniło się też trzepotanie i chroboty – dolatywały teraz z podłóg, sufitów, ościeżnic,

ram okien, ścian. Rury grzechotały jak potrząsane kości. Z kanałów grzewczych dolatywały świsty i gwizdy. Nagle cały budynek zajęczał jak stary olbrzym, budzący się z wielowiekowego snu.

Kiedy Neil spróbował otworzyć frontowe drzwi, nawet nie drgnęły.

–Wiedziałem... – jęknął chłopiec, a dziewczynka rozpaczliwie złapała Molly za rękę.

Neil przekręcił blokadę i zaczął z całej siły ciągnąć, lecz drzwi skutecznie się opierały.

Otoczające ich stękania, skrzypienia, trzaski i szczęknięcia sprawiały, że mogło się

wydawać, iż dom zaraz zamknie się wokół nich jak szczęki, zmiażdży ich ciała między ostrymi zębami popękanych belek, przycisnie językiem podłogi do podniebienia sufitu i na koniec wessie ich przeżute szczątki do piwnicy, gdzie rzuca się na nich szeleszczące legiony, zamieniając ciała w płyn, a kości w proch.

Neil odsunął się od drzwi.

–Cofnijcie się! – polecił, po czym uniósł strzelbę, aby zniszczyć zamek.

W tym momencie Virgil wysunął się do przodu i pacnął drzwi łapą – bez oporu otworzyły się do wewnątrz.

Molly nie traciła czasu na zastanawianie się, czy to Neil, zawsze spokojny jak statek na kotwicy, stracił na chwilę panowanie nad sobą i przekręcił gałkę w niewłaściwym kierunku, czy też pies posiadał jakieś niezwykle umiejętności. Trzymając Abby, wyszła za Virgilem i Johnnym z domu na werandę, po czym ruszyła schodkami w dół, na ścieżkę z kamiennych płyt.

Kiedy się odwróciła, z ulgą ujrzała, że Neil nie został uwięziony przez ożywioną architekturę i jest tuż za nimi.

Dom wyglądał dokładnie tak samo jak w chwili, gdy się przed nim zjawili. Normalny bungalow, nic z Cthulhu*[Aluzja do zbioru opowiadań grozy *Zew Cthulhu* H. P. Lovecrafta].

W ciszy purpurowej mgły Molly spodziewała się słyszeć trzeszczenie i jęki nie mniej wyraźnie niż te, które opisał Poe, przedstawiając samozjadający się Dom Usherów, jej oczekiwania nie zostały jednak spełnione – nie po raz pierwszy tej przedziwnej nocy – bo rezydencja była tak cicha, tak myląco pogodna jak szacowny dwór z opowieści o duchach Henry'ego Jamesa*[Aluzja do książki Henry'ego Jamesa *The Turn of the Screw*].

Frontowe drzwi powoli się zamknęły, jakby były wyposażone w doskonałe naoliwiony mechanizm zamykający. Molly podejrzewała jednak, że w tym przypadku działała nie siła mechaniczna, lecz jakaś okrutna potęga, zdolna do realizacji świadomych zamiarów.

Strupowaty porost na limbach, pocętkowany szmaragdowozielonym promieniowaniem, choć z wyglądu rakowaty i pnący się w górę pnia szybko jak przerzuty, w porównaniu z piekielnymi stworami, rodzącymi się albo rosnącymi w ścianach domu, wydawał się miłym i przyjaznym ludziom okazem pozaziemskiej roślinności.

Zakładając, że wschodzące słońce nie przestało unosić się coraz wyżej nad horyzont, to choć na poziomie ulicy mgła nieco się rozproszyła, wyżej nad głowami

musiała zgęstnieć. Świadczył o tym fakt, że purpurowe światło zamieniło się w śliwkowe. Obietnica poranka ustąpiła już miejsca groźnej krainie cieni, bardziej pasującej do bałkańskiego mroku niż kalifornijskiego świtu.

–Dokąd idziemy? – spytał Johnny.

Molly popatrzyła na Virgila, który odwzajemnił się jej pełnym oczekiwania spojrzeniem.

–Tam, gdzie pies nas zaprowadzi.

Owczarek odwrócił się i ruszył ścieżką w kierunku ulicy.

Poszli za nim we mgłę, która przerzedziła się i uniosła, aż nawet w tym fałszywym świecie widoczność przekroczyła dwie przecznice.

Kiedy się rozejrzeli, stwierdzili, że górne warstwy mgły rzeczywiście się zageściły. Granica między zamgleniem przy ziemi a grochówką powyżej była tak wyraźna, iż mogło się wydawać, że na wysokości pięciu metrów zbudowano nad Black Lake sufit. Wszystko powyżej tej linii – część pierwszych pięter i dachy jednopiętrowych domów, wyższe gałęzie drzew – zniknęło w sinym mroku.

Molly czuła się przytłoczona gęstością oparu i jego bliskością. Lepka, zbijająca się mgła przepuszczała jedynie światło o pewnej długości fali, co sprawiało, że wokół panował śliwkowy mrok, dodając do nieprzyjemnej atmosfery ciężar klaustrofobii.

W nisko wiszącym niebie było jeszcze coś niepokojącego, Molly nie potrafiła jednak określić co to takiego.

Gdy przeszli pół bloku za Virgilem, przyczyna się wyjaśniła: w posępnej aurze wszystkie poruszające się obiekty były niewidzialne lub ledwie widzialne.

Na zachodzie we mgle pojawiło się jaśniejsze światło. Opar rozpraszał je, zasłaniał jego źródło przed wzrokiem, ale nad miastem najwyraźniej leciało coś świetlistego.

Im bardziej się zbliżało, tym lepiej widoczny stawał się jego kontur: był to talerz albo kula. Pośrodku otaczającej obiekt aury płonęło intensywniejsze światło samego obiektu, które mniej więcej określało jego kształt. Wielkością był zbliżony do samochodu terenowego, choć bez znajomości wysokości, na jakiej się poruszał, trudno było to ostatecznie ocenić.

Z pewnością był to pojazd. Filmy od dziesięcioleci przygotowywały ich na takie spotkanie – podobnie jak wiadomości o pojawieniu się UFO.

Obiekt poruszał się bezgłośnie. Nie buczały silniki. Nie świstało rozcinane

powietrze. Nie płynęły od niego wibrujące w ludzkiej krwi i kościach pulsacje, jakie wysyłał przelatujący wcześniej nad miastem wielki statek.

Jeżeli kierujący się na południe lewiatan był statkiem matką – albo jednym z wielu statków matek – to zbliżające się teraz UFO

musiało przylecieć z jego pokładu. Mógł to być statek obserwacyjny, bombowiec lub transportowiec.

Mogło to być też jeszcze coś innego. Ta wojna nie przypominała żadnego z konfliktów w ludzkiej historii, a zwykły leksykon bitewny nie miał do rozgrywających się wydarzeń żadnego zastosowania.

Kiedy UFO nadleciało bliżej, zwolniło, zdawało się szybować z przeczącą siłą grawitacji łatwością napełnionego gorącym powietrzem balonu.

Pojazd zawisł dokładnie nad ich grupą i bezgłośnie zamarł.

Serce Molly przepęłniło przerażenie.

„Ucz nas, jak troszczyć się i jak nie troszczyć. Ucz nas cichości”*[T. S. Eliot, *Popielec*, przełożył Władysław Dulęba]. Zacytowanie Eliota w myśli było poszukiwaniem pociechy w kadencji wiersza, odnajdywaniem pewności siebie w jego rytmie.

Przestraszona Abby skuliła się, więc Molly przyklękła na jednym kolanie, aby znaleźć się na tym samym poziomie co dziewczynka, mocno ją przytulić i pomóc jej znaleźć odwagę na spotkanie z tym, co ich czeka.

Stojąca pod wiszącą w powietrzu tajemnicą, skąpana w złotym, choć złowrogim świetle, wydana na pastwę wrogiej siły, cała czwórka patrzyła w górę, przerażona, niezdolna jednak odwrócić wzroku.

Po pojawieniu się światła Molly miała ochotę uciec z dziećmi, schować się, ale uznała, że jeżeli pilot pojazdu zechce ich odnaleźć, to ich odnajdzie. Te pozaziemskie istoty bez wątplenia mogły śledzić cele naziemne za pomocą podczerwieni, profili ciepłoty ciała, rozpoznawania śladów dźwiękowych oraz innych metod, wykraczających poza możliwości ludzkiej nauki i techniki.

Czuła się obserwowana, a nawet bardziej niż obserwowana: była prześwietlana, dokładnie analizowana fizycznie i umysłowo w nieznaną sposób. Im wyraźniej wyczuwała głębokość tej analizy, tym bardziej jej strach narastał, ale także – ku własnemu zaskoczeniu – coraz bardziej się wstydziła, jakby stała nago przed obcymi ludźmi. Jej twarz płonęła.

Kiedy uświadomiła sobie, że mamrocze pod nosem *Akt skruchy*, dotarło do niej, że podświadomie spodziewa się śmierci, w tej albo następnej minucie.

Ani silne światło wiszącego w powietrzu pojazdu, ani jego bezgłośny napęd w najmniejszym stopniu nie rozwiewały mgły pod nim.

Wydawało się nawet, że gęstniała, ukrywając kontur i wszelkie szczegóły maszyny.

Molly spodziewała się, że za chwilę zostanie zamieniona w płonący łój, rozlewający się kipiącą kałużą po asfalcie, albo zostanie rozbita na atomy.

Ewentualność, że statek opadnie na ulicę, a ona zostanie zabrana na pokład, aby stanąć twarzą w twarz z nieludzkimi nowymi panami ludzkości i stać się przedmiotem nie wiadomo jakich eksperymentów i poniżeń, sprawiała jednak, że rozbicie na atomy wydawało się zachęcające.

Ale świecący obiekt zaczął się szybko oddalać. W ciągu kilku sekund złote światło zniknęło w chmurach.

Gęsta mgła znów była purpurowa, a ulica zanurzyła się w fałszywym półmroku.

Molly, która gorączkowo obejmowała Abby, wstała. Neil trzymał dłoń na ramieniu Johnny'ego. Jego spojrzenie spotkało się ze spojrzeniem Molly.

Ich ulga była niemal fizycznie wyczuwalna, nie powiedzieli jednak ani słowa o tym, co się przed chwilą wydarzyło, jakby mówienie o napowietrznym statku było

zapraszaniem Obcych do natychmiastowego powrotu.

W czasie tego incydentu Molly przestała zwracać uwagę na psa. Jeżeli się przestraszył, to w chwili, gdy statek kosmiczny zniknął we mgle, był już spokojny jak wcześniej. Stał teraz, czujny i gotów prowadzić poszukiwania kolejnych dzieci.

Molly również była gotowa – i wdzięczna, że ma cel na tyle ważny i trudny do realizacji, że nie musi zbyt intensywnie zastanawiać się nad wrogim nowym światem, z którym będą musieli się zmierzyć w nadchodzących dniach.

Kiedy Virgil poprowadził ich dalej na północ, zauważyła, że świecący porost pokrył już wiele innych drzew: limby, sosny cukrowe i sykomory, odziane w żółte jesienne listowie. Transformacja Ziemi trwała.

Na kolejnych sykomorach i topolach amerykańskich widać było brody szarego mchu nieprzypominającego niczego, co do tej pory

rosło w okolicy Black Lake. Niektóre zwisały w płachtach cienkich jak delikatny opar, inne były bardzo gęste, sprawiały wrażenie choroby.

Dwa potężne drzewa się przewróciły, nie było to jednak spowodowane ekspansją flory z kosmosu. Stały po prostu w miejscach, które tak nasiąkły wodą, że ziemia nie wytrzymała ciężaru. Jedno drzewo upadło na ulicę, całkowicie ją blokując, drugie na dom, poważnie go uszkadzając.

Nie zbaczając nawet na chwilę, nie zatrzymując się, aby powąchać ziemię lub powietrze, Virgil przeszedł przecznicę dalej na północ, po czym skręcił na wschód i ruszył w górę, ku Chestnut Lane.

Molly spodziewała się, że zaprowadzi ich do kolejnego domu z zarażonymi ścianami. Może trzepoczące skrzydłami chmary wylecą tym razem z gniazda w poszukiwaniu pożywienia?

Owczarek prowadził ich jednak w kierunku Świętej Perpetui, kościoła na rogu Chestnut Lane i Hill Street, którego wieża i dach ginęły w wiszącej nisko mgle.

Po bokach kościoła były witraże. Za dwoma z nich, najbliższymi ołtarza, widać było drgające lekko światło – nie na tyle mocne, aby przemienić mozaiki kolorowego szkła w jasne sceny miłosierdzia i cudów, ale wystarczające, aby zdradzić, że ktoś znajduje się w środku.

Kiedy kilka godzin temu Molly i Neil szybko objechali miasto w poszukiwaniu ludzi z grupy mającej zamiar walczyć, przejeżdżali obok kościoła, wtedy jednak wydał im się pusty.

Virgil nie podszedł do frontowych drzwi, ale do furtki w kutym ogrodzeniu, otaczającym znajdujący się obok kościoła cmentarz.

Dotarłszy do niej, pies okazał pierwszą oznakę niepokoju: położył uszy, wstrzymał oddech i podkulił ogon. Jego tylne nogi drżały.

Ale po króciutkiej chwili wahania owczarek przeszedł przez otwartą furtkę i ruszył między nagrobki. Molly, Neil i dzieci ostrożnie poszli za nim.

Bardziej oddaloną część cmentarza ocieniały dwa prastare dęby wirginijskie, które nie były widywane wyżej w górach. Ich rozłożyste korony niemal całkowicie spowijała mgła, a płyty znajdujących się pod ich konarami nagrobków przecinały filigrany czarnych cieni, rzucanych na pole purpurowego światła.

Bliżej furtki utrzymywał się półmrok, na tyle jednak rozświetlał cmentarz, że można było zauważyć, iż niektóre nagrobki stały się celem ataku pracowitych wandalii. Przewrócono i połamano prostokąty granitu, rzeźbione anioły, zniszczono dwa krzyże łacińskie, krzyż kalwaryjski i celtycki oraz liczne krzyże kotwicowe, trójlistne i kardynalskie.

Pootwierano również groby. Nie większość. Ze stu może dziesięć, piętnaście.

Abby poszukała dłoni Molly i mocno ją ścisnęła.

Duże fragmenty trawy pokrywał muł i wykopana ziemia. Na mule leżały porozrzucane zniszczone wieka trumien: połamane drewniane, poskręcane metalowe.

Pootwierane groby niemal pod wierzch wypełniała woda. Unosiły się w niej strzępy satynowej wyściółki trumien. Poplamiona, obszyta koronką poduszka, na której kiedyś leżała głowa nieboszczyka. Czarny but. Skrawki gnijącej tkaniny. Kilka drobnych kości, czystych i białych, głównie paliczków i kości śródstopia.

Pies przyprowadził ich tu, aby to zobaczyli.

Molly nie miała pojęcia dlaczego.

Może coś przeczuwała, ale nie miała dość odwagi, aby się zastanowić, co to może oznaczać...

W przedsionku kościoła było jedno samotne okno: na witrażu nad frontowymi drzwiami pięła się wielokwiatowa róża. Przefiltrowane przez czerwone i złote szybki śliwkowe światło prawie nie rozświetlało ciemności.

Pomieszczenie było wyłożone mahoniową boazerią. Powietrze pachniało słodko od kadzidła, brzydko od pleśni.

Pies dwa razy pociągnął nosem, po czym prychnął, by go oczyścić.

Światło latarki Molly wydobyło z ciemności kolonię grzybów. Nie były czarno-żółte, lecz idealnie białe.

Pojedyncze egzemplarze składały się z dwóch form, narastających na siebie. Okrągłe pęcherzowate struktury o najróżniejszej wielkości, zbite w grona, były wypełnione płynem i pokryte mlecznym śluzem. To, co wydawało się workami z miękkiej błony, nie do końca nadmuchanymi, powoli pęczniało, po czym wiotczało i znów pęczniało, jakby pełniło funkcję czegoś w rodzaju płuc.

Kolonia miała mniej więcej metr dwadzieścia szerokości, metr głębokości i niecałe dwa metry wysokości. Była potężna. Groźna. Świadoma.

Molly nie umiałaby powiedzieć, skąd wiedziała, że kolonia posiada świadomość – być może podpowiedziała jej to wyobraźnia.

Mimo to była przekonana, że wnętrza białych pęcherzy – jeżeli nie były to płuca – kipiały złowrogim i zdolnym do odczuwania życiem.

Żałowała, że Abby i Johnny nie mogli pozostać na zewnątrz. Nie można było ich jednak zostawić samych, a ani ona, ani Neil nie zamierzali zmieniać decyzji, że wszędzie będą chodzić razem.

Virgil tak natarczywie uderzał łapą w drzwi między przedsionkiem a nawą główną, jakby chciał im powiedzieć, że mają bardzo niewiele czasu na zrobienie tego, po co tu przyszli.

Kiedy Molly pchnęła drzwi, zaraz na prawo ujrzała chrzcielnicę z białego marmuru, jej uwagę przyciągnął jednak widok dużych grup świec, poustawianych kawałek dalej, przy prawej stronie balustrady prezbiterium.

Odruchowo włożyła dwa palce do zbiornika ze święconą wodą, ale zamiast dotyku chłodnej wody i uspokojenia poczuła coś gąbczastego, gnijącego.

Szybko cofnęła dłoń, skierowała do wnętrza zbiornika światło latarki i stwierdziła, że w wodzie leży odcięta ludzka dłoń. Wnętrzem ku górze. Palce były skurczone jak nogi martwego kraba.

Krzyk uwiązł jej w gardle, z ust wydobył się tylko stłumiony jęk.

Coś tak znajomego jak dłoń wydawało się w tym tak niesamowitym i agresywnym otoczeniu czymś skrajnie obcym, nie tyle ponurym, co szokującym.

Aby oszczędzić dzieciom makabrycznego widoku, Molly odwróciła latarkę od wody i skierowała jej światło ku głównemu przejściu mrocznej nawy. Nerwowe ruchy wijącego się po podłodze światła zdradzały stan jej ducha.

–Nie podchodźcie do chrzcielnicy, nawet się do niej nie zbliżajcie – ostrzegła dzieci, mając nadzieję, że słabe światło sprawi, iż oszczędzony zostanie im widok, który głęboko wżarł się w jej pamięć.

Choć widziała tę dłoń zaledwie przez chwilę, nie pamiętała jej

zbyt dokładnie. Podejrzewała, że w tym odciętym kawałku ludzkiego ciała kryje się jakieś ostrzeżenie, ale nie potrafiła się domyślić, o co mogło chodzić.

Nie zamierzała zaglądać do zbiornika po raz drugi. Jej uwagę przyciągnęło już zresztą coś innego: w świetle licznych świec w południowo-zachodnim rogu głównej nawy, tuż obok ołtarza, widać było troje dzieci i dwóch mężczyzn.

Z daleka ich postawa wydawała się defensywna, pełna strachu. Wszystko wskazywało na to, że nie mają broni i nie spodziewali się przybycia innych ludzi, ale raczej komandosów z innego świata.

Molly nagle uświadomiła sobie, że z perspektywy mężczyzn z dziećmi, stojących wśród świec, ich grupka była prawie niewidoczna w mroku i ukrywający się w kościele ludzie nie mogli wiedzieć, z kim mają do czynienia. Podeszła więc trochę bliżej i przywitała się przyjaźnie, przedstawiając siebie i męża.

Nikt z piątki nieznanomych nie poruszył się, nie odezwał. Może doświadczenia minionej nocy nauczyły ich spodziewać się wszędzie zasadzki i zareagują nie na słowa, lecz na to, co zobaczą.

Choć świec było naprawdę dużo, nie rozświetlały całej nawy głównej. Także wpadające z zewnątrz przez witraże przygaszone purpurowe światło nie docierało do pełnych gęsto splatających się cieni zakątków.

Po kilku krokach Molly usłyszała ciche mruczenie. Wyglądało to tak, jakby ktoś powtarzał *Ojciec Nasz*, po chwili dołączył do niego drugi, jeszcze cichszy głos,

mamroczący coś w rytmie przypominającym odmawianie różańca.

Okazało się, że w kościele schronili się także inni ludzie, szukając pociechy u Boga, choć można byłoby sądzić, że będzie ich znacznie więcej. Wierni siedzieli tu i ówdzie pojedynczo i w parach, pokorne kontury w głębokim cieniu.

Molly nie chciała im przeszkadzać, świecąc latarką, starała się uszanować ich modlitewne skupienie.

Kiedy doszła do otwartej przestrzeni między pierwszą ławką a

barierką prezbiterium, poczuła pod stopami drżenie, któremu towarzyszył dochodzący ze szpar w deskach podłogi trzask i odgłos, jakby ktoś strzelił językiem.

Powiodła światłem latarki po wypastowanej podłodze. Kilka wygiętych ku górze desek, unoszących się lekko nad wylewką, sugerowało nacisk od spodu.

Ale Virgil tylko niecierpliwie powąchał zdeformowane deski i okrążył je szeroko.

Kościół miał piwnice i tam, między różnymi zapasami, dekoracjami świątecznymi, między piecem i kotłem do ogrzewania wody, zamieszkał być może jakiś stwór o zgoła niechrześcijańskich zamiarach.

W szklanych podstawkach, umieszczonych na stole wotywnym, paliły się świece. Kolejne świece, wzięte z pudełka z zapasem, postawiono na balustradzie prezbiterium oraz wokół naturalnej wielkości figury Matki Boskiej, stojącej tuż za barierką.

W rubinowożłotym, ciągle zmieniającym się świetle Molly dostrzegła, że trójka dzieci ma piegi, zielone oczy i podobne rysy, co wskazywało na to, że są rodzeństwem.

Twarz najmłodszego dziecka – kasztanowłosej sześciolatki – błyszczała od płynących po niej bez przerwy łez. Abby natychmiast ujęła małą za rękę i stanęła obok – albo się znały, albo po prostu chciała dodać jej odwagi.

Dwaj bracia dziewczynki byli identycznymi bliźniakami w wieku ośmiu, może dziewięciu lat. Nie mieli kasztanowych włosów jak siostra, ale bardzo ciemne, niemal czarne. Wyglądali na przestraszonych, ale także czujnych i pełnych zdrowej, buntowniczej energii. Chcieli coś zrobić, działać – chociaż musieli zdawać sobie sprawę z tego, że rozwiązanie problemów, z jakimi mają do czynienia, przekracza ich możliwości.

Żaden z mężczyzn nie wyglądał na ojca bliźniaków i dziewczynki.

Pierwszy z nich, wysoki i chudy, miał wystające jabłko Adama i orli nos. Żuł dolną

wargę tak energicznie, że powinna krwawić, a jego małe oczka skakały między Molly, Neilem, dziećmi, ludźmi siedzącymi w ławkach i ciemnym ołtarzem.

Drugi był niższy i masywny. Nerwowo ścisnął pulchne dłonie i bardzo przeproszał.

–Przepraszam bardzo. Bardzo mi przykro, ale nie było innego sposobu.

–Za co pan przeprosza? – spytał Neil.

–Nie mamy broni. Mieliśmy nadzieję, że... no i tak się stało. Zastanawiam się jedynie, co by pomogła broń?

–Nie jestem zbyt mocny w szaradach – mruknął Neil.

–Mogliśmy was ostrzec, ale co by się wtedy stało z nami? Wciągnęliśmy więc was w pułapkę. Tak mi przykro.

Przez podłogę przeszło kolejne drżenie. Świecznik z rubinowego szkła trącił o metalowy stół wotywny i zadźwięczał. Płomienie świec strzeliły wyżej, liżąc powietrze, jasne języki w bezgłośnym krzyku.

Bez względu na to, jaka niespokojna istota dygotała w kościelnej piwnicy, masywny mężczyzna i jego wysoki towarzysz zdawali się nie tyle zainteresowani zagrożeniem pod stopami, co tym kryjącym się w ciemnym prezbiterium za ich plecami oraz ludźmi w ławkach. Ich nerwowe spojrzenia skakały z jednego kłębowiska cieni do następnego.

–Możecie nas stąd zabrać? – spytał wysoki, jakby zapomniawszy, gdzie są drzwi.

Molly słyszała za plecami odgłosy – dochodziły z różnych miejsc, jakby wierni wstali z ławek i ruszyli przyjąć komunię.

Przypomniała sobie dłoń w chrzcielnicy. Z powodu wstrząsu, jakiego doznała na jej widok, wyparła ze świadomości najważniejszą rzecz, która teraz właśnie do niej dotarła. Odcięta dłoń nie należała do osoby pozbawionej życia w ciągu ostatnich godzin, była bowiem spuchnięta, przebarwiona i poplamiona zepsuciem.

Musiano ją odciąć komuś, kto został pochowany już jakiś czas temu. Dzięki zabiegom balsamującego zwłoki specjalisty rozłożyła się jedynie częściowo, nie przetrwała jednak nienaruszona.

Molly światłem latarki po kolei wydobywała z cienia stojące między ławkami postacie: fałszywych wiernych, pozbawione dusz,

zarobaczywiałe truchła w pleśniejących garniturach i sukniach, w których włożono ich do trumien. Ślepe za zaszytymi oczami, głuche na prawdę, niezdolne do odczuwania nadziei. Ożywione tylko w sensie fizycznym – i być może tylko dla drwiny. Szyderstwo. Farsa. Zbezczeszczenie, profanacja.

Znowu działała pozaziemska siła, nierozróżniająca tego, co żywe i martwe, a nawet tego, co organiczne i nieorganiczne. Wyglądało na to, że Ziemia jest przejmowana i przekształcana nie przez Obcych z innego spiralnego ramienia Drogi Mlecznej czy innej galaktyki, ale przez istoty z innego wszechświata, gdzie wszystkie prawa natury różnią się radykalnie od praw naszego.

Rzeczywistość ludzka, oparta na prawach odkrytych przez Einsteina, oraz całkowicie inna rzeczywistość najeźdźców zderzyły się i splątały. Na tym einsteinowskim skrzyżowaniu, w tym najgorszym ze wszystkich możliwych nowych światów, wszystko wydawało się możliwe.

Ruch spowodował, że z trupów zaczął wydobywać się gaz rozkładu. To, co wydawało się smrodem białego grzyba, nasiliło się i dało rozpoznać.

Mając węch co najmniej dziesięć tysięcy razy wrażliwszy od ludzkiego, Virgil musiał wyczuć siedzące w ławkach żywe trupy, nie ostrzegł ich jednak. Stał teraz między piątką dzieci, gotów do ich obrony. Jego determinacja była niezwykła, Molly nigdy jeszcze czegoś podobnego nie widziała i choć tego nie pojmowała, coś znów jej mówiło, że Virgil najwyraźniej jest czymś więcej niż zwykłym psem.

Szwy przedsiębiorcy pogrzebowego nie wytrzymały u niektórych żywych trupów – jeden z koszmarnych wiernych miał otwarte oczy. Światło latarki nie ukazało jednak gnijących oczu, ale wypychany od środka znajomy czarny grzyb z żółtymi plamkami.

Jak ssąca krew pijawka, w nadzieję Molly wessał się strach, jej serce skoczyło. Ale i tak wszyscy ci emigranci z grobów przerażali ją mniej niż Render.

Innemu truchłu, chudemu i kościstemu, czarno-żółty grzyb wyrastał spomiędzy żeber. Druga kolonia niczym wąż owijała jego rękę – od barku po nadgarstek.

Podłoga znów zadygotała, a belki trzasnęły, jakby stwór na dole poczuł głód i szykował się do posiłku.

Trzy świece spadły z balustrady prezbiterium. Jedna zgasła sama, pozostałe dwie zdeptał Neil.

Martwi ruszyli. Nie szurali nogami, nie szczyrzyli zębów ani nie syczeli, nie machali wściekle rękami, nie robili niczego, co można zobaczyć na filmach grozy. Ze stateczną godnością szli w kierunku przejść – północnego, środkowego i południowego – blokując wszystkie drogi ucieczki.

Aby wrócić do przedsionka i frontowych drzwi, Molly musiałaby stoczyć bój z przynajmniej trzema fałszywymi Łazarzami, czego nie mogła zrobić, mając pod opieką dzieci. Może nie zrobiłaby tego nawet wtedy, gdyby była sama i miała miotacz ognia.

– Jest jeszcze jedno wyjście – powiedział Neil, jakby czytał jej w myślach. – Przez zakrystię, na plebanię.

– To niedobry pomysł – odparł wysoki mężczyzna z posępnym przekonaniem.

Jakby dla potwierdzenia jego słów z zakrystii, z ciemności za kręgiem światła świec, doleciał klekot.

Choć Molly niechętnie odwracała latarkę od sunących przejściami trupów, skierowała światło w kierunku dźwięku. Przy ołtarzu stał ksiądz.

Nie, nie ksiądz. Trup księdza.

Ojciec Dan Sullivan, który służył w parafii prawie trzy dziesięciolecia, zmarł w sierpniu minionego roku. Teraz powrócił przed ołtarz, jakby codzienne rytuały życia, które prowadził, były zakodowane w komórkach jego zabalsamowanego ciała i zmuszały go do pracy.

Molly widziała jedynie profil księdza, bez trudu go jednak rozpoznała. Miał na sobie czarną sutannę i koloratkę, w których pochowano go rok i miesiąc temu. Siwe włosy – kiedyś rude – były brudne, sutanna poplamiona błotem.

Kiedy martwy ksiądz został oświetlony, złapał obiema dłońmi za

antepedium, wyszywaną zasłonę zakrywającą podstawę ołtarza, i gwałtownie pociągnął. Tabernakulum spadło z hukiem na podłogę i otworzyło się, ze środka wysypały się cyborium, patena i kielich mszalny.

Aby dostać się do zakrystii, musieliby minąć to widmo. Jeden przeciwnik był jednak lepszy niż dziesięciu.

Kolejny dygot podłogi, jeszcze gwałtowniejszy, wstrząsnął kolumnami, wspiał się do sufitu i mocno zabujał zgaszonymi kandelabrami, sprawiając, że łańcuszki, na których wisiały, zaczęły głośno pobrzękiwać.

Z balustrady prezbiterium spadły pozostałe świece i potoczyły się pod ławki, rozpalając się mocniej od kontaktu płomieni z pastą do podłogi.

Neil włączył latarkę i podał ją masywniejszemu z mężczyzn.

–Poprowadzę, a pan niech idzie tuż za mną z prawej i kieruje światło przede mnie.

Virgil przeskoczył przez niską barierkę, piątka dzieci przelazła przez nią tuż za nim.

Makabryczni wierni w nawach zbliżali się bez pośpiechu, jakby znali przyszłość i wiedzieli, że ich złe zamiary zostaną zrealizowane niezależnie od tego, czy będą się spieszyć, czy nie.

Molly minęła stół wotywny, pełen świec w rubinowych podstawkach, przeskoczyła barierkę prezbiterium i obeszła ołtarz, cały czas podążając za wysokim mężczyzną, który siedł tuż za psem i dziećmi, ci zaś za tłuściochem z latarką i Neilem.

Pierwsze światło przesuwalo się z lewej na prawą, potem z prawej na lewą, nieustannie badając teren w przodzie – dokładnie tak, jak kazał Neil.

Molly swoją latarką rozjaśniała uparte cienie, kryjące się w podejrzanym kącie, spodziewając się prędzej czy później zobaczyć jakąś obrzydliwość.

Między nimi a ołtarzem znajdowało się obramowanie miejsca, gdzie siedział chór. Schodkowo ustawione szeregi krzesel zostały porzucane przez drżenie, które kilka razy wstrząsnęło budynkiem.

Weszli po wznoszącym się fragmencie podłogi powyżej milczących organów i miejsca dla chóru. Drzwi do zakrystii znajdowały się z południowej strony ołtarza, trzy metry od szczytu skosu, gdzie podłoga znów robiła się pozioma.

Kiedy wspinali się – ze sporym trudem, ale dużym pośpiechem – ohydztwo, które kiedyś było ojcem Danem, ruszyło na spotkanie z nimi.

Światło latarki Molly ukazało jego twarz. Opuchniętą. Za-czerwienioną. Skóra w kąciakach ust była popękana jak na przejrzałej śliwce. Lewe oko było zaszyte, prawe otwarte, z górnej powieki zwisały poszarpane nici. Nieruchome mleczne oko odbijało światło ze srebrzystym poblaskiem.

Ponieważ także ten stwór był rzecznikiem rozpaczy, miał wysysać nadzieję i pozbawiać odwagi, Molly najchętniej by się odwróciła, nie mogła jednak sobie na to pozwolić. Powstrzymywały ją przerażenie i chorobliwa fascynacja oraz poczucie, że zbliża się do ważnego odkrycia, podobne do tego, jakie ogarnęło ją tuż po spotkaniu z Renderem w restauracji. Miała przed sobą żywą śmierć i martwe życie. Chory nowy porządek świata, narzucony przez władców z dalekiej planety, mroczne cuda, które obrażały, fascynowały, mdliły i rzucały urok.

Nagle twarz księdza się rozpadła, jakby jego rysy i kości twarzy były tylko delikatną fasadą – nawet nie fasadą, a jedynie iluzją. To, co pod nią tkwiło, wystrzeliło na zewnątrz i pod szopą siwych włosów pojawiła się splątana masa ciemnoczerwonych macek, najeżona czymś, co wyglądało jak piętnasto-i dwudziestocentymetrowe kolce albo żądła, a wszystko to wiło się i straszło, tworząc coś, co powinno mieszkać w dziesiątym kręgu piekła, gdyby Dante stworzył więcej niż dziewięć poziomów.

Po krzyżowych sklepieniach popędziły za sobą gwałtowne echa wystrzału, zatrzęsły

świętymi i aniołami na witrażach.

Trafiony w pierś zakażony trup został gwałtownie rzucony do tyłu i huknął o podłogę. Jego stopa kopnęła kielich mszalny, który potoczył się i zatrzymał na skłębionym antepedium.

Coś, co zamieszkiwało ciało ojca Dana, nie zamierzało jednak dać się pokonać za pomocą śrutu. Ręce trupa zamachały, odrzuciły zasłonę ołtarza i martwy ksiądz wstał.

Chwył dłoni Molly na rękojeści pistoletu z każdą chwilą słabł. Nawet pełen magazynek dziewięciomilimetrowych pocisków dum-dum, wystrzelonych prosto w cel z niewielkiej odległości, mógł nie

powstrzymać tego opanowanego przez duchy trupa, jeżeli duchem była odporna na wszystko forma życia, bardziej roślinna niż zwierzęca.

Cały czas poruszali się w świetle latarek i szusach cieni. Ale zanim zdążyli zrobić więcej niż dwa kroki, podłoga zadygotała gwałtownie, wyrzuciła się, pękła i otworzyła się.

Molly potknęła się i o mało nie upadła.

Poszarpane deski między prowadzącym grupę Neilem a dryblasem za nim wystrzeliły w bukiecie drzazg.

Z piwnicy buchnął odór i wraz z nim w dygoczących promieniach latarek pojawił się stwór.

Robał, pomyślała Molly.

W tak słabym świetle nie wszystko było widać. Owadopodobny. Ogromny. Polerowany pancerz. Rogi jak u żuka. Groźnie poszarpane żuchwy. Opancerzony brzuch. Pierwsza para nóg nie do chodzenia, a do chwytania. Składające się z wielu elementów oczy, niesamowite i jarzące się. Paszcza, która mogła stanąć w zawody z rekiną.

Masywny mężczyzna krzyknął, został porwany z podłogi i wciągnięty do piwnicy.

Stwór zniknął tak szybko, jak się pojawił.

Wyłamanie podłogi i gwałtowne kopnięcia porwanego przez stwora mężczyzny sprawiły, że ogarnęła ich panika i piątka dzieci przewróciła się – tak nieszczęśliwie, że dziewczynka o kasztanowych włosach wpadła do dziury. Złapała się jednak obydwiema rękami za deskę i zawisała z nogami w piwnicy.

Z ciemności pod nią dochodziły jęki tortuowanego mężczyzny, błagającego o łaskę śmierci, nie został bowiem zabity i wyssany od razu, lecz cierpiał męki, o których lepiej było nie myśleć.

Tajemnica zła tkwi zbyt głęboko, aby mogło ją rozświetlić światło rozsądku, ale podobnie jak podpiwniczenie kościoła, niewiele głębsze niż cztery metry, była dla Molly tak doskonałą czernią jak bezgwiezdna otchłań za najdalszym krańcem wszechświata.

Zanim mężczyzna został wciągnięty do podziemnej krypty, wypuścił z rąk latarkę Neila. Potoczyła się pod ścianę i świeciła teraz w kierunku zakrystii, odrobinę rozpraszając mrok.

Molly nie miała odwagi poświecić bezpośrednio w dziurę, aby nie pobudzić stwora, który stamtąd wyskoczył – ani innych. Rzuciła latarkę wysokiemu chudzielcowi i kazała mu oświetlać okolicę, by Neil mógł widzieć wszelkie zagrożenia, które – choćby tylko na chwilę – dałoby się zatrzymać strzałem ze strzelby.

Potem uklękła obok otworu o poszarpanych brzegach i złapała wiszącą dziewczynkę za rękę.

Ale nawet dolatujące z dołu przerażające krzyki nie zmusiły małej do oddania się w ręce próbującej ją uratować kobiety. Nie zamierzała puścić strzaskanej deski.

–Puść, wyciągnę cię, wyjmę cię z tej dziury – przekonywała ją Molly.

Oczy dziewczynki, w źrenicach których były trzy paski zieleni -jabłkowa, jadeitowa i seledynowa – patrzyły błagalnie. Chciała być uratowana, ale nie ufała Molly.

Molly szukała czegoś, co przełamie tę nieufność.

–Skarbie, jak masz na imię?

Z dołu dolatywały dygoczące, powoli słabnące jęki wciągniętego do krypty człowieka, potem nastąpiła szybka kadencja uderzeń i mokry ssący odgłos – a towarzyszył temu lodowaty szept tysiąca głodnych głosów.

Dziewczynka zaczęła chlipać z przerażenia.

Jej bracia pochylili się nad nią. Molly kazała im odejść, ale jeden z chłopców próbował nakłonić siostrę do puszczenia deski.

–Bethany, ona chce ci pomóc. Daj sobie pomóc.

Najwyraźniej stwór, noszący cielesną powłokę martwego księdza, wstał, bo rozległ się kolejny wystrzał ze strzelby.

Przekrzykując echa odbijające się od sklepień i witraży, Neil zawołał do żony:

–Pospiesz się!

–Bethany, puść deskę – powtórzyła Molly.

Kolejny wystrzał świadczył o tym, że truchło księdza nie jest jedynym zagrożeniem.

Molly udało się przechwycić spojrzenie dziewczynki i nie mogła się odwrócić, aby sprawdzić, co im zagraża.

–Bethany, zaufaj mi. Jestem gotowa umrzeć dla ciebie. Jeśli spadniesz, wskoczę za tobą. Zaufaj mi – powiedziała z całą żarliwością, jaką była w stanie zawrzeć w swoim głosie.

Za plecami Molly pojawiła się żółtawa łuna – były to wgrzyzające się w drewno płomienie. Toczące się po podłodze świece musiały znaleźć coś łatwo palnego.

–Zaufaj mi!

Spojrzenie dziewczynki przesunęło się na coś po prawej stronie Molly i przestała pochlipywać.

Pies. Virgil podszedł odważnie do skraju dziury.

W dole ostatni krzyk korpulentnego mężczyzny przeszedł w jęk i zapadła cisza.

Trzymając mocno Bethany, Molly patrzyła w dół, nie widziała jednak nic poza poruszającymi się w nieskończonej czerni cieniami o różnej intensywności. Liczne szepty mogły być zarówno wściekłą, natarczywą przemową, jak i bezcielesnym dźwiękiem.

Dziewczynka patrzyła na psa i wyglądało to tak, jakby z nim rozmawiała.

–Pomóż mi – powiedziała po chwili do Molly, a z jej oczu odpłynęła mgła przerażenia.

Trzymając małą za ramiona, Molly starała się ją szybko wyciągnąć. Dziewczynka puściła deskę i kopiąc, jakby coś łapało ją za stopy, wydostała się z dziury i opadła na podłogę.

Na ścianach pojawiły się odbicia płomieni, które rzucały szerokie jasne ogony na witraże, dodawały blasku drewnianym powierzchniom. Molly poczuła dym i ujrzała jego tłuste zwoje wokół swoich stóp.

Poganiając Bethany i jej braci, by przechodzili za dziurę na bezpieczniejszy teren,

spojrzała za siebie i ujrzała w nawie nie odbicia płomieni, ale prawdziwe płomienie, rozwijające się i buchające jak flagi jakiegoś szalonego, wojowniczego narodu.

Bramkę w balustradzie prezbiterium otworzył trup w płonącym ubraniu – jego włosy również płonęły, szedł jednak dalej.

Molly odwróciła się plecami do tej pochodni i podążyła za wysokim mężczyzną, który szedł za Bethany i jej braćmi. Omijali połamane deski, chcąc jak najszybciej dotrzeć do Neila, Abby i Johnny'ego, do drzwi zakrystii.

Tym razem dygot miał siłę sejsmicznego wstrząsu. Podłoga cała się uniosła, zadrżała, opadła.

Wysoki mężczyzna potknął się, o mało nie wpadł w dziurę w podłodze, zamachał ramionami, odzyskał równowagę, ale...

...w tym momencie z piwnicy wychynał nagle z dudnieniem kuzyn skorków, brat parecznikow, siostra os, bestia, która mogła być bogiem wszystkich owadów. Potwór przebił brzuch mężczyzny żądłem o długości rycerskiej lancy i wciągnął go do otchłani.

Molly poczuła na plecach falę gorąca. Oczami wyobraźni ujrzała sięgającego do jej włosów płonącego trupa i biegiem rzuciła się przed siebie.

Wrzask mężczyzny w krypcie, trzask płonącego drewna, syk nieznanego pochodzenia, podniecone krzyki przerażonych dzieci i Neil wykrzykujący niezrozumiałe słowa, zniekształcane i zagłuszane przez łomot serca Molly...

Podszedł i wycelował w nią. Skuliła się i odturlała na bok w dym, on zaś strzelił nad nią.

Choć wstrzymała oddech, poczuła w ustach tłusty odór. Plując i kaszląc, pozbierała się na nogi.

Z szeregów ławek niczym spomiędzy rzędów kukurydzy, z pola, na którym hodowano jedynie dusze, wychodzili martwi parafianie w poszarpanych trumiennych ubraniach i maszerowali przez kościół jak ożywione czarami strachy na wróble. Niektórzy płonęli i idąc, rozprzestrzeniaли ogień.

Podłoga jęczała, ściany drgały, witraże pękały wzdłuż ołowianych spawów.

Virgil szczerknął, jakby chciał powiedzieć: „Czas iść!”.

Molly była tego samego zdania.

Strzelba znów huknęła.

Johnny podniósł latarkę, wypuszczoną z ręki przez mężczyznę, który zginął pierwszy. Dał ją Molly.

Mobilizując całą swoją energię, z latarką w lewej i pistoletem w prawej dłoni, przekręciła gałkę drzwi zakrystii i otworzyła je kopniakiem.

Choć tuż za jej plecami łopotały jasne skrzydła płomieni, światło przebiło się przez ciemność jedynie kawałeczek za próg.

Uderzyła ramieniem w powracające drzwi i wpadła do zakrystii, rozpędzając cienie światłem latarki, gotowa strzelać do wszystkiego, czego światło nie przegnało.

Kiedy kościół ponownie zadrżał, pootwierały się szafy i Molly strzeliła dwa razy w sutanny i ornaty, aby mieć pewność, że to jedynie ubrania.

Virgil minął ją, całkowicie obojętny na strzały, i podbiegł do zewnętrznych drzwi.

Z trzewi budynku, jak z kilkusetmetrowej głębiny, dolatywały głucho upiorne jęki i niemal elektroniczne wycia, przypominające głosy waleni. Podłoga dygotała i zaczynała się zapadać.

Gdy Molly odwróciła się, by zawołać dzieci, okazało się, że są już w zakrystii.

Neil stał za nimi, w otwartych drzwiach, i patrzył w kierunku wnętrza kościoła, by w razie potrzeby osłaniać ich odwrót.

Podłoga zrobiła się gąbczasta i przy każdym kroku, jaki się na niej stawiało, dygotała jak membrana. Molly otworzyła prowadzące na zewnątrz drzwi i pies wyprysnął z kościoła.

Sprawdzając, czy gdzieś nie czają się wrogie siły – znane, nieznanne, niewyobrażalne – Molly wyprowadziła dzieci na podwórze, gdzie purpurowe światło wcale nie pojaśniało. Spód warstwy mgły w dalszym ciągu nisko wisiał, mgły tak gęstej, że nie można było określić pozycji słońca.

Poza ich grupką nie było widać śladów życia. Black Lake spowijała tłumiąca wszystko mgła i miasto było gotowe na spotkanie z wiecznością niczym zabalsamowany faraon.

Kiedy Neil wyszedł z zakrystii na podwórze, w kościele jakby wybuchł sztorm. Kłaśnięcia grzmotów wstrząsały całą konstrukcją, gwałtowne jak każdy grzmot, który wstrząsał niebem.

Z kamiennych ścian z trzaskiem wystrzeliwały kawałki tynku. Z otwartych drzwi zakrystii buchnął pióropusz kurzu i skrawków papieru.

Podłoga na pewno już się zapadła. Kłębiące się płomienie na chwilę przygasły, zaraz jednak buchnęły wysoko, jaśniejsze niż poprzednio, zuchwale oświetlając geometryczne sacrum witraży.

Nie wyciągnęło to nikogo na ulicę. Ludzie kulili się po domach z kijami baseballowymi i pistoletami w dłoniach, gdzieś się poukrywali albo już nie żyli. Może było nawet jeszcze gorzej – może zamienili się w żywe hodowle pozaziemskich grzybów, żywe skorupy jajek, z których wyklują się entomologiczne cuda innego świata.

Płonący kościół był wyraźnie widoczny na tle półmroku, ale Molly miała już dość spektakli. Mając nadzieję, że zawalenie się podłogi i burza ognia unicestwią stwory kryjące się w piwnicy oraz zamienią ożywione trupy w popiół i grudki zwęglonych kości, odwróciła się i kazała iść dzieciom dalej, do ulicy.

Dołączył do nich wyraźnie wstrząśnięty, ale pełen ponurej determinacji Neil.

–Dokąd teraz?

–Jeżeli Virgil ma jeszcze jakieś miejsca, w które chce nas zaprowadzić, pójdziemy za nim, lecz dopiero po tym, gdy zajrzemy do restauracji – odparła Molly.

–Dlaczego?

Przypomniała mu, że została tam Cassie, dziewięciolatka o szafirowych oczach, córka podpieraczy ścian.

Pamiętała, jak dziewięć psów krążyło po całej restauracji, wytrwale wachając zniszczoną podłogę. Sądziła wtedy, że tropią ślady po jedzeniu, które spadło ze stolików, i wylanych drinkach.

Teraz zmieniła zdanie.

–Jeżeli restauracja ma piwnicę, na pewno coś w niej jest.

Musimy wyciągnąć stamtąd ludzi, póki nie jest za późno.

Kiedy brakowało im kilku metrów do ulicy, w purpurowym półświecie poruszyło się coś rodem z narkotycznej halucynacji i zaczęło zbliżać do nich od prawej strony przez trawnik. Zatrzymali się, ale nie od razu cofnęli.

Kolonia białych grzybów, nieco niniejszych, lecz poza tym identycznych jak te, które widzieli w przedsionku kościoła Świętej Perpetui, postanowiła wyruszyć na wędrówkę: okrągłe pęczkowate twory różnej wielkości, błyszczące od mlecznego śluzu, oraz miękkie pożyłkowane worki, które wciąż się nadymały, wiotczały i znów nadymały – wyglądało to, jakby wywrócono „na lewą stronę” jakąś żywą istotę, ukazując jej wewnętrzne narządy. Stwór poruszał się na ośmiu krótkich nogach, przypominających nogi świerszcza jerozolimskiego – były „owadzie”, ale należały do dużego i silnego stwora.

Dzieci przytuliły się do Molly. Poczuli, że ich zaufanie dodaje jej odwagi – otrzymywała ją w zamian za siłę, jaką im dawała jej obecność.

Neil wyciągnął z kieszeni cztery naboje, wsunął jeden w lufę i załadował trzy pozostałe do magazynka.

Asymetryczny, dwa razy większy od Virgila grzybopodobny stwór, przycupnięty tuż nad ziemią, posuwał się miarowym tempem. Choć nie sprawiał wrażenia zdolnego do osiągnięcia większych prędkości i najwyraźniej nie miał żadnego aparatu wzrokowego, który pomagałby mu iść w obranym kierunku, Molly przypuszczała, że kiedy to konieczne, potrafi poruszać się bardzo szybko, prowadzony przez zmysł inny niż wzrok, ale nie mniej przydatny.

Najedzone i rozleniwione krokodyle też sprawiają wrażenie powolnych i nieruchawych, ale jeśli są głodne lub złe, mogą dogonić niemal każdego psa i człowieka.

Jeżeli ten masywny stwór był grzybem albo jakąś bardziej skomplikowaną rośliną, było mało prawdopodobne, aby mógł okazać się groźnym drapieżnikiem w rodzaju hodowanego w terrarium mięsożercy z *Małego sklepu z horrorami*. Z drugiej strony niewinne roślinki nie wytwarzają sobie nóg, aby wypuścić się na wędrówkę.

W tym momencie eksplodowały okna kościoła i na trawnik spadł deszcz jasnego szkła, zamieniając go w ciemne mozaiki.

Nicznym drżący blask księżyca z psychotycznego snu, na mokrej trawie zatańczyły pomarańczowe karbowane blaski i padły na ohydny bulwiasty grzyb, który w swym oślizgłym obrzmieniu wydał się nagle Molly obsceniczny.

Przypomniała sobie, o czym pomyślała na widok pierwszego egzemplarza grzyba – tego w kościelnym przedsionku – o jego złośliwości, a nawet wrogości i okrucieństwie. I o tym, że posiada świadomość.

Pijany albo i nie, Derek Sawtelle trafił w sedno, twierdząc, że w świecie, skąd przybyła ta kosmiczna armia, różnice między światem roślinnym i zwierzęcym nie są tak wyraźne jak w naszym. Dlatego nie zawsze można od razu rozpoznać drapieżnika.

Stwór nie zmieniał kierunku marszu, nie zaatakował ich, ale przeciął drogę i podążył na południe.

Kiedy zaczął się oddalać, wydał z siebie tak nieoczekiwany i niepokojący odgłos, że Molly poczuła, iż jej rozum zachowuje się jak wirująca moneta, która właśnie traci rozpęd i zaraz się przewróci. Blade ohydztwo zajęczało przejmująco jak kobieta, którą spotkało największe nieszczęście, cicho, ale ze straszliwą rozpaczą.

Przez chwilę umysł Molly nie chciał przyjąć tego do wiadomości, rozejrzała się więc, szukając pasującej do tego odgłosu ludzkiej istoty. Nikogo takiego nie zobaczyła.

Ośmionogie paskudztwo płakało i choć jego zachowanie wskazywało, że nie jest to naśladownictwo, ale naturalny dla niego sposób wydawania dźwięków, podobieństwo do żalosego płaczu człowieka było uderzające.

Uznanie tego „płaczu” za objaw żałoby lub nieszczęścia byłoby na pewno błędem. Rozbrzmiewający w ciszy nad nocnym letnim jeziorem krzyk nura dla ludzkiego ucha brzmi jak płacz samotności, choć z pewnością nie jest to uczucie, które nur zamierza wyrazić.

Słuchanie tego pełnego rozpaczki zawodzenia w wykonaniu tak obcego człowiekowi i pod każdym względem odrażającego stworza było nie do zniesienia.

Stwór zamilkł, ale po chwili spomiędzy domów po drugiej stronie ulicy doleciały identyczne ciche jęki.

We mgle krążył drugi stwór tego samego gatunku i pierwszy płaczek znieruchomiał, jakby wsłuchiwał się w odpowiedź.

Z innego kierunku doleciała kolejna odpowiedź. Też była cicha, ale brzmiała bardziej basowo i przypominała głos płaczącego mężczyzny, a nie kobiety.

Kiedy zawodzenia pozamierały, blade szkaradzieństwo ruszyło dalej w obranym na początku kierunku.

Surrealne. Nierealne. Nazbyt realne.

–Spójrz – powiedział Neil do Molly i wskazał na północ.

W gęstej mgle pojawiło się kolejne światło, podobne do tego, jakie unosiło się nad nimi na La Cresta Avenue. Płynęło bezgłośnie nad miastem z północnego wschodu na południowy zachód.

–I tam...

Na zachodzie zajaśniał kolejny pojazd i poleciał wężowatą linią na wschód.

Ukryci w gęstej mgle, panowie porannego nieba realizowali dalsze etapy podboju.

Część szósta

Ale słyszają za sobą, tam, skąd wicher dmucha,

Grzechot kości i chichot od ucha do ucha

T. S. Eliot

Ziemia Jałowa

(przełożył Czesław Miłosz)

W drodze ze Świętej Perpetui do restauracji Johnny i Abby trzymali się blisko Neila, a Virgil dreptał za nimi, pilnując tyłów. Pies zdawał się rozumieć, że teraz jego głównym zadaniem nie jest prowadzenie, lecz ochrona.

Idąca na początku małej kolumny Molly dowiedziała się od trójki rodzeństwa, że chłopcy nazywają się Eric i Elric Crudup, urodzili się w Nowy Rok i w nadchodzącym styczniu skończą dziesięć lat. Choć żadne z rodziców nie miało skandynawskich przodków, nadali synom imiona herosów wikingów.

–Mama i tata lubią aquavit i piwo Elefant – powiedział Eric. – Poganiają jedno drugim.

–Aquavit i elefant są produkowane w Skandynawii – dodał Elric.

Do ich siostry – z jaśniejszymi od braci włosami wyglądała nieco bardziej po skandynawsku – zwracano się drugim imieniem, bo na pierwsze miała Grendel.

Matka i ojciec dali jej tak na imię, wiedzieli bowiem, że to imię skandynawskie, i dopiero kiedy skończyła cztery lata, odkryli, że Grendel był potworem, zabitym przez Beowulfa. Ich wiedza na temat skandynawskich mitów i literatury angielskiej nie była tak głęboka jak znajomość skandynawskich napojów alkoholowych.

Żaden z mężczyzn, których dzieci spotkały w kościele, nie był z nimi spokrewniony. Masywniejszy pan Fosburke, którego trochę znali, uczył w szóstej klasie ich szkoły podstawowej. Wysoki mężczyzna był im obcy.

Eric, Elric i Bethany sądzili, że ich rodzice żyją, choć w nocy – wraz z babcią, która z nimi mieszkała – „przelecieli przez sufit”, zostawiając je same.

Później, kiedy zabrakło prądu, za bardzo się bali, aby zostać w domu. Uciekli dwie przecznice dalej, pod osłonę kościoła. Ale zło ich tam znalazło.

„...przelecieli przez sufit...”.

Pod oceanem purpurowej mgły, w słabym świetle utopionego w nim słońca, które bardziej pasowałoby do kostnicy, wśród krążących wokół niewidzialnych zmór z innego świata, Molly musiała uważać na każdy cień, który mógł okazać się śmiertelnym zagrożeniem. Chcąc jak najszybciej dotrzeć do restauracji, nie umiała na tyle skoncentrować się na rozmowie, aby wydobyć od Erica, Elrica i Bethany wyjaśnienie, co dokładnie mają na myśli, mówiąc, że ich rodzice i babcia „przelecieli przez sufit”.

Dzieci szły tuż za nią, bez oporów opowiadając o tym, co widziały.

–Po prostu polecieli do góry i wypłynęli z salonu – oświadczyła sześćioletnia Bethany, która najwyraźniej otrząsnęła się już z szoku, jakiego doznała, wisząc jak nietoperz nad kryjówką przerażających owadzich stworów.

–Unosili się jak astronauta w stanie nieważkości – dodał Elric.

–Pobiegliśmy za nimi na piętro – powiedział Eric.

–Byli w swoich sypialniach, ale unosili się coraz wyżej – dorzucił Elric.

–Bałam się – wyznała Bethany.

–Wszyscy się baliśmy – stwierdzili równocześnie bliźniacy.

–Babcia nie. Babcia się nie bała.

–Oszalała – oświadczył Eric.

–Nieprawda! – zaprzeczyła z oburzeniem Bethany.

–Całkiem, totalnie zwariowała – upierał się Eric. – Śmiała się. Słyszałem, jak się śmieje.

Z pobliskiego podwórka doleciał płacz kobiety, może zrozpaczonej matki, może zostawionej samej sobie wdowy, choć Molly wolałaby nie stawiać na te ewentualności.

W normalnych okolicznościach poszłaby sprawdzić powód lamentu, aby zaoferować pomoc, teraz jednak całą uwagę poświęcała dzieciom. Żałosny płacz był zwodniczy, a za współczucie odwdzięczono by się jej ciosem hakiem, wbiciem żądła lub rozpruciem kiszek.

Przyspieszyła kroku, myśląc cały czas o Cassie, pozostającej pod opieką opojów i ludzi o zmaconych umysłach, i mali Crudupowie również przyspieszyli.

–W każdym razie to, czy babcia zwariowała, czy nie, było później – mówił Elric. – Najpierw pobiegliśmy na górę za rodzicami i zobaczyliśmy, jak wysuwają się z podłogi nad salonem.

–Potem przelecieli też przez sufit sypialni – dodał Eric.

–Próbowali nas złapać – powiedziała Bethany. – Może moglibyśmy ich ściągnąć na dół, ale baliśmy się, poza tym nie daliby rady się nas przytrzymać.

–Nigdy się nas nie trzymali ani niczego innego – burknął ze złością Eric, najwyraźniej mając na myśli niesprawiedliwości popełnione na długo przed atakiem na Ziemię.

–Kiedy potem znów się to zaczęło, próbowałem trzymać babcię za nogę – powiedział Eric.

–A ja trzymałam Erica, bo bałam się, że odleci razem z nią – dorzuciła Bethany.

Opowieść ta każdej innej nocy brzmiałaby jak streszczenie koszmarnego snu albo halucynacji.

–Co macie na myśli, mówiąc „przez sufit?” – spytała Molly.

–Po prostu przez – odparł Eric. – Jakby sufit nie był sufitem, a tylko snem o suficie.

–Tak, jakby magik wsadził asystentkę do skrzyni i przepiłował ją na pół, ostrze przeszłoby przez jej nogi, ale nogom nic by się nie stało, a ostrze by się nie wygięło – wyjaśnił Elric.

–Myśleliśmy, że też wylecimy, tak jak i oni, ale nie wylecieliśmy – powiedziała Bethany.

–Wspięliśmy się po drabinie na strych, a oni krzyczeli tam w górze – kontynuował Eric.

–Babci nie było – przypomniała mu siostra.

–Nie, bo szykowała się, żeby później zwariować.

–Nieprawda.

–Prawda.

–W każdym razie krzyczeli i próbowali się łapać różnych rzeczy, na przykład krokwi – podsumował Elric.

–I wrzeszczeli na mnie i Elrica: „Wy dranie, zróbcie coś!” – dodał jego brat.

–Mówili wiele różnych słów, dużo gorszych od „drań” – poskarżyła się Bethany. – Obiecaliśmy już wiele miesięcy temu, że nigdy nie będziemy się tak do siebie odzywać.

–Zrobilibyśmy coś, ale nie potrafiliśmy niczego zrobić, a oni nie mogli się trzymać, więc przelecieli przez dach – podsumował Eric.

Skręcili za róg i weszli w ulicę, na której połowa drzew była ozdobiona szarym mchem, co przypominało scenerię z bagien Luizjany albo wizje Edgara Allana Poe po opium. Poskręcane pnie oblepiały świecące porosty, jakich Molly jeszcze nie widziała – podobne do zwiniętych dżdżownic kształty o wielkości pokrywy wiadra, puchnące pod korą.

–Nie mogliśmy wyjść na dach – powiedział Eric. – Nie widzieliśmy, co było potem.

–Ale słyszeliśmy – dodała poważnym głosem Bethany.

–Wrzeszczeli – przyznał Eric. – W deszczu nad domem.

–Baliśmy się.

–Naprawdę się baliśmy.

–Ich głosy tak szybko zginęły w deszczu.

–Wybimowali ich – oświadczyła Bethany.

–Na statek matkę – powiedzieli jednocześnie bliźniacy, wychowani na filmach techno-fantasy w rodzaju *Star Treka*, pozostawionych im w spadku przez rodziców i dziadków.

–Statek matka. Właśnie tak myślimy – potwierdziła ich siostra. – Dlatego wróć. Ludzie, których wybimowano na górę, prędzej czy później są wybimowywani na dół, choć czasami w inne miejsca.

Nawet idąc samym środkiem ulicy, musieli przechodzić pod gałęziami zarażonych drzew. Molly miała wielką ochotę zawrócić, ale do restauracji został im już tylko kawałek.

W bezwietrznej ciszy Molly zdawało się, że słyszy nad głową podejrzanе odgłosy. Wpatrywała się w plątaninę gałęzi, które na wysokości pięciu metrów znikwały w purpurowej mgłę, ale widziała tylko liście i zwieszające się z gałęzi festony mchu.

Dzieci, nie mniej przestraszone od niej, postanowiły przejście przez tę upiorną ulicę ułatwić sobie bardziej ożywioną rozmową.

–Kiedy weszliśmy na strych za babcią, to coś było w środku, choć z początku go nie widzieliśmy – oświadczył Elric.

–Ale od razu poczuliśmy jego zapach – powiedział Eric.

–Pachniał zgniłymi jajkami i spalonymi zapałkami – dodała Bethany.

–Śmierdział jak gówno – mruknął Elric.

–Jak kupa – poprawiła go siostra, wyraźnie zniesmaczona jego językiem. – Zgniłymi jajkami, spalonymi zapawkami i kupą.

W wolnych przestrzeniach między gałęziami, na tle purpurowego blasku Molly dostrzegła szybki i płynny ruch. Za mało było jednak widać, aby dało się określić wielkość oraz kształt istot, które ich śledziły, przemieszczając się z gałęzi na gałąź.

–Nie zauważyliśmy tego, dopóki babcia nie przeleciała przez sufit – powiedział Elric.

–Potem też dokładnie nie widzieliśmy – zaprotestowała Bethany.

–Jeszcze był prąd, więc na strychu było światło – przypomniał Eric.

–Kiedy patrzyło się na to wprost, nie było widać szczegółów, tylko kontur – wyjaśnił Elric.

–I ciągle się zmieniał.

–Najlepiej było widać kątem oka – dodał Eric. – Stał między nami a klapą na strychu i nagle ruszył w naszym kierunku.

–Wtedy się przestraszyliśmy – powiedziała Bethany.

–Jak cholera – potwierdził Elric, natychmiast jednak przeprosił, choć może nie do końca szczerze: – Przepraszam, Grendel.

–Cham.

–Wariatka.

–Burczący bąk.

Z każdym krokiem Molly dostrzegała w parasolu liści nad ich głowami więcej ruchu. Choć tajemnicze istoty pozostawały praktycznie niewidoczne, podejrzewała, że jest ich sporo.

Kiedy spojrzała za siebie, na Neila, Abby, Johnny'ego i Virgila, stwierdziła, że oni także uświadamiają sobie obecność towarzystwa nad głowami.

Neil trzymał strzelbę oburącz, pozornie rozluźnionym chwytem, ale wylot lufy skierował ku górze, gotów przesunąć go w lewo lub w prawo i wypalić przy pierwszej prowokacji. Miał trzydzieści dwa lata i zawsze robił łagodne rzeczy – był uczonym, owczarzem i stolarzem – ale tej nocy udowodnił, że w razie konieczności umie być także odważnym obrońcą.

–Ten stwór na strychu by nas złapał, gdyby nie zmusiła go do cofnięcia się – powiedział Elric.

–Na pewno by nas capnął – potwierdziła Bethany.

–Pojawiła się znikąd i zaczęła migotać. Była jak ten gość z takiego starego filmu, z *Gwiezdnych wojen* - wyjaśnił Eric. – Tyle że nie była facetem i nie miała świetlnego miecza. – Nie miała żadnego miecza.

Tuż nad głową Molly, choć nie było wiatru, liście zaczęły rozmawiać z innymi liśćmi, a mech zadygotał. Z zielonej gęstwiny wysunęła się kończyzna jednej ze śledzących ich istot i złapała za gałąź, aby utrzymać równowagę.

–Obi-Wan Kenobi – dodał Elric.

–Właśnie – zgodziła się z nim Bethany. – Taki stary pan.

Łapa, która się pokazała, była mniej więcej wielkości dłoni Molly, może miała jeden palec więcej, i wyglądała na bardzo silną. Ciemnoczerwona, pokryta łuskami, gadzia łapa.

–Ale ona nie była stara – powiedział Elric.

–Dość stara – zaprotestowała Bethany.

–Nie tak stara jak ten gość z *Gwiezdnych wojen*.

–Nie, nie tak stara.

Kiedy stwór ruszył dalej, kończyzna, której palce miały po cztery człony, a każdy był zakończony czarnym szponem, ostrym jak kolec róży, puściła gałąź i zniknęła w listowiu.

–Nie wiem, w jaki sposób zrobiła, że to coś trzymało się od nas z daleka – powiedział Elric, cały czas mówiąc o sytuacji na strychu.

–Zaczarowała to – stwierdziła Bethany.

Molly nie mogła się nadziwić, jak coś tej wielkości mogło tak lekko skakać z drzewa na drzewo, bezgłośnie, niemal nie poruszając liści ani mchu. Ciekawe, ile podobnych stworów biegło po drzewach zarówno pod, jak i nad granicą mgły.

–Nie zaczarowała – zniecierpliwził się Eric.

–Mówiła magiczne słowa – upierała się Bethany. – „Niech moc będzie z tobą”.

Molly starała się nie zatrzymywać ani na moment. Intuicja mówiła jej, że każde wahanie zostanie uznane za słabość, a każda oznaka słabości sprowokuje atak.

–To głupie – burknął Eric. – Nie powiedziała: „Niech moc będzie z tobą” ani nic podobnego.

–A co powiedziała?

Zostało im jakieś piętnaście metrów do skrzyżowania. Przed nimi była Main Street z trzema szerokimi pasami asfaltu. W odróżnieniu od ulicy, którą szli teraz, nie zakrywały jej na całej szerokości gałęzie drzew.

–Nie pamiętam, co powiedziała – przyznał Eric.

–Ja też nie – dodał jego brat.

–Ale coś powiedziała – upierała się Bethany.

Szkarłatna dłoń – albo następna taka sama – pojawiła się trzy kroki przed nimi, na kolejnej gałęzi.

Molly zastanawiała się, czy nie strzelić, ale nawet gdyby trafiła stwora, mogłoby się to okazać lekkomyślne. Instynkt – jedyne, czym mogła się kierować poza intuicją – mówił, że strzał wywołałby natychmiastowy atak innych stworów, przemieszczających się po napowietrznych autostradach.

Równocześnie z pojawieniem się dłoni spomiędzy liści ześlizgnął się czerwony wyrostek z zielonymi plamkami. Miał mniej więcej metr dwadzieścia długości i około trzech centymetrów średnicy u nasady, a kończył się frędzlowato-wąsatym szpicem. Po chwili wyrostek – a może ogon – opadł leniwym łukiem tuż przed nimi, szarpnięciem zerwał nieco mchu i zniknął.

Bethany i bracia ujrzeni to również. Mieli to ujrzeć. Ogon, który im się ukazał, miał przestraszyć dzieci, sprawić, by wpadły w panikę.

Dzieci zatrzymały się i złapały za ręce, aby dodać sobie otuchy.

–Idziemy – szepnęła Molly. – Ale nie biegniemy. Idziemy. Tak jak dotychczas.

Strach sprawił, że dzieci zwolniły, ale wolny krok był lepszy od biegu, który – jak w przypadku tygrysa – mógłby sprowokować atak. Nie mieliby szans uciec przed pościgiem.

Brakowało im jeszcze dziesięciu metrów do końca baldachimu z liści.

Jakby otaczający ich terror był precyzyjnie wyreżyserowany, podzielony na metry,

gdzieś z mętnego poranka znowu doleciał płacz kobiety, któremu odpowiedział dalszy, ale nie mniej rozpaczliwy płacz mężczyzny. Przed Molly, z prawej strony, załomotała pokrywa studzienki kanalizacyjnej, uderzona od spodu przez jakąś wściekłą siłę – może przez bezgłowe ciało Kena Hallecka.

Ludzki płacz nieludzkiego pochodzenia, czerwone gady wielkości pumy w gałęziach drzew, bezgłowe zwłoki albo coś gorszego, walącego od spodu w pokrywą kanalizacji, aby ją otworzono: czysta anarchia została sprowadzona na świat,* przyciemniony krwią przyływ grożący splukaniem rozsądku, poplątaniem normalnego myślenia, jak fale płaczą zielsko, i wymyć go. [Odniesienie do wiersza W. B. Yeatsa *Drugie przyjście*; w przekładzie Stanisława Barańczaka ten wers brzmi: „Czysta anarchia szaleje nad światem”]

Molly szła dalej, choć zaczynała wątpić, czy uda im się uciec spod baldachimu liści. Ku jej zaskoczeniu dotarli jednak do skrzyżowania, gdzie jedynym odbiegającym od normy zjawiskiem były nieustannie zmieniające się, pokryte purpurowymi freskami sklepienia na sklepieniach.

Zanim zdążyła poczuć choćby cień nadziei, w oparach pojawił się kolejny latający obiekt, który pędził z zachodu. Mignął im przed oczami i po sześciu szybkich uderzeniach serca zawisł nad ich głowami. Cień bez kształtu. Światło, które nie ujawniało swego źródła. Jedynie całkowity bezruch zdradzał jego zdumiewającą moc.

Tak samo jak poprzednio Molly czuła się prześwietlana aż do poziomu komórkowego, gdzie mapowano każde włókno jej ciała, w

ułamku chwili zbadano i z najdrobniejszymi szczegółami zrozumiano każdy zakątek jej umysłu, od najjaśniejszych miejsc po najmroczniejsze. Została prześwietlona za pomocą promieni analitycznych, diagnostycznych prądów i telepatycznych skanów, przez wiedzę i technologię wykraczającą poza ludzkie pojmowanie.

Podczas poprzednich „ogłędzin” czuła się naga, przerażona i zawstydzona. Teraz czuła to samo – z nie mniejszym natężeniem.

Dzieci sprawiały wrażenie oszołomionych i przestraszonych, czego należało się spodziewać, ale Molly nie sądziła, aby którekolwiek z nich czuło się tak mocno zaatakowane.

Popatrzyła na Neila, z którego twarzy i gestów zawsze mogła czytać, i zobaczyła coś więcej niż strach. Ujrzała nie tylko przerażenie we wszystkich jego fazach – od zdenerwowania przez niepokój po pierwsze stadia paniki – ale także coś, co można by nazwać przenikliwym zmartwieniem. Ze zmartwieniem tym walczyła złość z powodu tego agresywnego badania, do którego najlepiej pasowałoby określenie „psychologiczny gwałt”.

Serce Molly również przepelniała złość, burząc przepływającą przez nie krew, uważała bowiem, że jeżeli ich świat ma zostać przejęty, a wszyscy prędzej czy

później zaszlachtowani, należy im się przynajmniej łaska szybkiej i łatwej śmierci. Tymczasem jednak miała wrażenie, że jest żywą zabawką na smyczy okrutnego pana, okrutnie wykpiwaną, dręczoną i torturowaną.

Nie mogła zrozumieć, jak pozaziemski gatunek, tysiąc lat bardziej rozwinięty od ludzkości, posiadający wiedzę, pozwalającą pokonać ograniczenia nakładane przez prędkość światła i w sekundy pokonywać galaktyczne odległości, może być tak barbarzyński, tak bezlitosny. Cywilizacja na tyle rozwinięta, że potrafiła budować statki kosmiczne większe od góry oraz maszyny zdolne przekształcać w ciągu godzin całe światy, powinna być cywilizacją niezwykle wrażliwą na cierpienie i niesprawiedliwość.

Gatunek zdolny do tak bezlitosnych działań jak te, które miały miejsce minionej nocy, musi być pozbawiony sumienia, i wyższych uczuć, nieuleczalnie socjopatyczny.

Przepełniony złem.

Cywilizacja stworzona przez jednostki motywowane wyłącznie indywidualnym interesem, niezdolne do empatii, bezlitosne dla innych, nie może osiągnąć wyżyn. Zło w którymś momencie skierowałoby się przeciwko sobie – jak zawsze bywało – i gatunek taki, zanim zdążyłby sięgnąć gwiazd, zniszczyłby sam siebie.

Chyba że...

Chyba że był to rój, społeczność podobna do tych, które tworzą pszczoły, gdzie nie istnieje coś takiego jak litość i nikt nie posiada indywidualnej tożsamości, odróżniającej ją od miliardów pobratymców. Wtedy każdy mógłby zaspokajać swe złe instynkty poza rojem, wykorzystywać swój intelekt do tworzenia mrocznych technologii. Potrzeba niszczenia i wściekłość byłaby kierowana na wszystko spoza roju albo wszystko, co nie przynosi rojowi korzyści. Każdy by szalał, rujnował, likwidował wszystko, co stanęłoby mu na drodze.

Jeżeli na dziesięciolecie albo stulecie skolonizują Ziemię, a potem przeniosą się do innego świata, pozostawią po sobie martwą planetę, nagą jak Mars, gdzie jest jedynie piasek, skała, lód i wiatr.

Bezlitośni niszczyciele światów rozkoszowali się wywołanym przez siebie chaosem, przerażeniem i rozlewem krwi. Napędzającą ich siłą była chęć niszczenia wszystkiego, co się od nich różniło, a jedyną radością cierpienie, jakie sprawiali. Potwierdzało to wszystko, co działo się wokół Black Lake.

Tego rodzaju myśli nurtowały Molly, kiedy szli Main Street pod wiszącym nad ich głowami statkiem. Świecące błyski, płynące od otulonego mgłą pojazdu, igrały po asfalcie i podążały za nimi krok w krok w kierunku restauracji.

Przy wejściu nie było straży.

Tak jak poprzednio za każdym logo producenta piwa w oknach, całkowicie teraz ciemnych, widać było opuszczoną zasłonę, która nie pozwalała zajrzeć do środka.

Umowa, jaką Molly zawarła z Neilem – że wszędzie będą chodzić razem i jeżeli śmierć ich dopadnie, umrą przy sobie i żadne nie opuści drugiego, nie pozwoli mu umierać samemu – musiała teraz zostać zweryfikowana.

Jeżeli sami weszliby do środka, aby przekonać obecnych, że w piwnicy pod ich stopami czai się niebezpieczeństwo, piątka dzieci na zewnątrz stanowiłaby łatwy cel.

Jeżeli wzięliby dzieci ze sobą, być może naraziliby je na to samo, przed czym uratowali je z kościoła – albo na coś jeszcze gorszego, biorąc pod uwagę, że specjalnością wroga było wymyślanie z godziny na godzinę czegoś gorszego.

W tym szczególnym przypadku – i innych szczególnych przypadkach, jakie ich czekały-rozdzielenie się było konieczne. Gdyby zabrakło im odwagi do dalszego działania, mogli iść do banku, razem z piątką dzieci, którymi się zaopiekowali, i zapomnieć o innych dzieciach, które mogły potrzebować ich pomocy.

Jak Cassie. W restauracji.

Neil chciał wejść do środka, zgodzili się jednak, że strzelbę powinien mieć ten, kto zostanie z dziećmi.

–Strzelba nie zabije żadnego z tych stworów, ale rozrzut śrutu na pewno zatrzyma ich więcej niż wszystkie pociski w magazynku mojego pistoletu – powiedziała Molly, wskazując na unoszący się nad nimi statek.

Neil chciał dać jej strzelbę, ale odmówiła. Nigdy w życiu nie strzelała ze strzelby i obawiała się, że silny odrzut zmniejszy skuteczność jej działania.

Jedynie głupiec albo samobójca mógłby chcieć uczyć się używania nieznanego mu broni w trakcie walki.

Neil zostanie na ulicy z dziećmi.

Molly – uzbrojona w pistolet – wejdzie do środka, namówi obecnych do ewakuacji i niezależnie od tego, czy się na nią zdecydują, czy nie, wyprowadzi ze środka Cassie.

W smętnym półświecie po Main Street nic się nie poruszało poza groźną mgłą, która leniwie falowała w bezwietrznym poranku.

Black Lake spowijała cisza, jakby miasto było zamkniętą w bursztynie muchą,

skamieliną, ukrywającą się w sercu kamienia.

Nagle gdzieś w oddali zapłakał nieszczęśliwy mężczyzna. Odpowiedziała mu płacząca kobieta. Potem druga.

Wszystkie trzy głosy brzmiały, jakby wydawali je z siebie targani emocjami ludzie – dopóki nie zauważyło się, że kadencje żalu całej trójki są takie same.

Zrobiło się nieco cieplej. Molly zdjęła płaszcz przeciwdeszczowy.

Być może nadal obserwowały ich kryjące się w konarach drzew czerwone smoki. Może polowały tylko tam, może schodziły na ulice, ale nie miało to większego znaczenia, bo jeśli one ich nie zabiją, to zglądzi ich coś innego.

Wisząca pięć metrów nad ich głowami, gęsta jak aksamit mgła była niczym zaciągnięta kurtyna, oddzielająca umierającą ludzkość – grającą tragiczną główną rolę i jednocześnie będącą publicznością – a ostatnim aktem Armagedonu. Robotnicy ustawiali właśnie na scenie ostatnie dekoracje.

Świeący statek wciąż unosił się nad nimi. Molly nie potrafiła przyzwyczać się do penetrującego badania jej wnętrza. Czuła się upokorzona, była zawstydzona, przestraszona i zła.

Nie próbowała jednak tłumić złości. Podobnie jak nadzieja, złość odpiera rozpacz.

Virgil trącił jej lewą dłoń nosem, po czym powrócił do patrolowania okolicy.

Molly nie musiała mówić Neilowi, że go kocha. Wiedział o tym. Ona też wiedziała, co dla niego znaczy. Skrzyżowanie spojrzeń i dotyk dłoni wyrażał to lepiej niż słowa.

Z pistoletem w jednej i latarką w drugiej ręce weszła do restauracji.

Tak samo jak poprzednio w licznych kulach z bursztynowego szkła płonęły knoty świec. Ściany i sufit restauracji Russella Tewkesa zdawały się dygotać w pełgającym świetle, a powietrze jarzyło się jak w śnie o aniołach.

Przez chwilę Molly z ulgą myślała, że ci, którzy tu jeszcze zostali, kiedy wychodziła z Neilem, zdecydowali się opuścić restaurację. W boksach i przy stolikach nikogo nie było. Nikt nie stał przy barze, nie było za nim Tewkesa.

Derek i jego pijani kompani również zniknęli. Tak samo miłośnicy pokoju i podpieracze ścian. Razem z Cassie.

Gdyby Molly przyglądała się pustej sali sekundę krócej, a potem odwróciła się i wyszła, mogłaby pomyśleć, że wszyscy udali się do banku, aby pomagać w przygotowaniach do obrony. Niestety musiało się tu wydarzyć coś całkiem innego.

Po pierwsze, broń. Karabiny, strzelby, pistolety – wszystko pozostawiono.

Pijacy ani pacyfiści nie byli uzbrojeni, ale wielu spośród podpieraczy ścian wzięło ze sobą broń na wypadek, gdyby uznali, że konieczna jest obrona. Nie wszyscy z nich wyszliby na zmieniony i wciąż zmieniający się świat z pustymi rękami.

Po drugie, ubrania. Na oparciach krzesel wisiały płaszcze i kurtki. Po dokładniejszym rozejrzeniu się Molly zauważyła bluzy i koszule,

przerzucone przez kilka płaszczy, a także parę dżinsów.

Głębiej w sali leżały na podłodze kolejne porzucone sztuki odzieży. Wyjściowe i wojskowe spodnie, następne dżinsy, koszule, bluzki, skarpety, męska i damska bielizna. Buty, zwykłe i z cholewami, paski i kapelusze przeciwdeszczowe.

Podłogę pokrywały różnego rodzaju guziki. Ubrania ściągano z siebie z taką wściekłością, że obrywano guziki. Wiele sztuk odzieży było rozerwanych w szwach.

Najwyraźniej nie padł jednak żaden strzał.

Wokół panowała głęboka cisza. Molly wstrzymała oddech i słuchała, ale równie dobrze mogłaby próbować usłyszeć coś w otchłaniach oceanu.

Kopnęła lekko jeden i drugi guzik. Odskoczyły od buta i potoczyły się z terkotem po podłodze, dowodząc, że nie ogłuchła.

Porzucono także zegarki i biżuterię. Na stołach i podłodze ciepło migotało złoto, chłodno srebro: naszyjniki, medaliony, bransoletki, pierścionki.

Wszystko wskazywało na to, że trzydzieści czy czterdzieści obecnych w restauracji osób zostało zmuszonych do rozebrania się siłą. Ponieważ Molly знаła wielu z tych ludzi i wiedziała, że są raczej nieśmiali, nie potrafiła wyobrazić sobie, że z własnej woli mogliby zrobić publiczny striptiz.

A jednak nie padł ani jeden strzał.

Może w takim razie... ogarnęło ich zbiorowe szaleństwo, będące efektem nieświadomego spożycia jakiejś halucynogennej substancji?

Pewne gatunki pleśni, w tym także te atakujące zboże, mogą wywołać omamy wzrokowe i słuchowe i cała społeczność może wtedy popaść w histerię. Niektórzy uważają, że właśnie to – a nie fanatyzm religijny – było przyczyną procesów czarownic w Salem, ponieważ odbywały się one tylko wtedy, gdy pojawiała się pleśń.

Pleśń to potoczna nazwa wielu saprophytycznych grzybów z różnych grup systematycznych, a grzyby zdawały się pełnić w atakującym Ziemię ekosystemie znacznie ważniejszą rolę niż w ziemskim porządku natury.

Wytwarzane przez nieznaną na ziemi grzyby toksyny mogły wywoływać omamy, zbiorowe halucynacje i zbiorową histerię o nasileniu nieznanym dotychczas ludzkości. Okresowe psychozy. Trwałe szaleństwo. Może nawet skłaniały do samobójstwa.

Na stołach i podłodze leżały potłuczone butelki. Corona. Heineken. Dos Equis.

Niektóre wyglądały na rozbite nie przez przypadek, ale po to, by mogły służyć jako broń. Długa szyjka butelki corony dawała pewny uchwyt, potłuczona reszta była zakończona kilkoma długimi szpikulcami.

Na jednym z tych groźnych ostrzy była krew. Po chwili Molly znalazła także krew na kolejnym ostrzu. Potem na trzecim. Świeżą.

Jasna tętnicza krew plamiła również kilka sztuk odzieży, choć niewielka jej ilość nie wskazywała ani na rzeź, ani na poważniejszą bitwę.

Zniknęło przynajmniej czterdzieści osób. Najwyraźniej były nagie, ale czy... żywe? Martwe? Gdzie się podziały?

Molly znów wstrzymała oddech, próbując usłyszeć coś poza mocnym biciem własnego serca, ale wokół panowała cisza.

W głębi dużej restauracyjnej sali, za stolikami, był korytarz prowadzący do toalet. Na prawo od niego, w tylnej ścianie głównej sali, znajdowały się drzwi z napisem TYLKO DLA PERSONELU.

Światło świec w przedniej części sali, gdzie siedzieli przedtem mieszkańcy miasta, nie rozjaśniało cieni w głębi pomieszczenia. Migotało jednak i dzięki temu Molly mogła dostrzec, że drzwi z tyłu – poprzednio zamknięte – są teraz uchylone.

Nie zamierzała prowadzić dalszych badań sama, jedynie w towarzystwie okropnych przeczuć.

Biorąc pod uwagę, że resztę życia miała spędzić w plątaninie tajemnic i niedopowiedzeń, uznała, że nic się nie stanie, jeśli nie pozna

rozwiązania także tej zagadki. Choć z natury była ciekawa, wiedziała, że w tym przypadku cena wścibstwa może okazać się zbyt wysoka – mogło ją spotkać to samo, co miało stać się udziałem kota Schrödingera *[Chodzi tu o przeprowadzony przez Erwina Schrödingera w ramach dyskusji nad mechaniką kwantową eksperyment myślowy, z którego (w uproszczeniu) wynika, że w pewnych okolicznościach kot może być równocześnie żywy i martwy].

Tylko jedno powstrzymało ją przed wyjściem: Cassie.

Jeżeli dziewczynka żyła, znajdowała się nie tylko w niebezpieczeństwie, ale i w wielkim stresie. Nie wolno jej zostawić samej sobie.

Może to przypadek, że Cassie miała włosy blond jak Rebecca Rose i oczy też tak samo błękitne, ale Molly przez całe życie uważała, że przypadki nie istnieją. Nie zamierzała zacząć wierzyć w nie teraz.

We wszystkim dostrzegała jakąś logikę i porządek, choć często trudno było je odkryć. Czasami wydawało się to niemal niemożliwe. Tak jak teraz i tutaj.

Kiedy pisząc powieść, tworzyła postacie swoich bohaterów, zaczynali żyć własnym życiem, robić rzeczy, które ją zachwycaly, intrygowały, a czasem przerażały. Dając im wolną wolę, cieszyła się ich mądrymi wyborami i triumfami, zasmucała ją ich głupota i małostkowość, rozpaczała, kiedy cierpieli lub umierali. Nie tworzyła wydarzeń z ich życia, tylko je spisywała, rzadko pociągała za sznurki i zazwyczaj jedynie delikatnie prowadziła ich między znakami i zapowiedziami wydarzeń, które albo sami rozumieli i którymi kierowali się w swym działaniu, albo których – ze szkodą dla siebie – nie dostrzegali.

Teraz miała nadzieję, że sama zostanie delikatnie poprowadzona, a jeżeli tego nie zauważy albo błędnie zinterpretuje, coś mocno pociągnie za sznurki.

Nie chodziło o wybór między wycofaniem się a pójściem dalej. O wycofaniu się nie było mowy. Znała swoją powinność. Musiała ratować dzieci, nie wolno jej było zostawić ich samym sobie.

Nie zostawiłaby Cassie także wtedy, gdyby dziewczynka była brunetką, zupełnie niepodobną do Rebecki Rose. Ale jak ją znaleźć i stąd wyprowadzić?

Drzwi z napisem TYLKO DLA PERSONELU były uchylone. Migoczące za nimi światelko zdawało się zapraszać Molly do środka.

Może była to wskazówka, a może pułapka.

Obserwując przez cały czas drzwi, Molly podeszła do końca kontuaru. Otworzyła bramkę i zajrzała w wąską przestrzeń, gdzie Russell Tewkes nalewał piwo i robił koktajle.

Poświeciła tam latarką. Nikt nie ukrywał się wśród migoczących resztek barowego lustra.

Korytarz, którym szło się do toalet, wypełniał mętł ciemności. Światło latarki splukało go, nie ukazując nikogo.

Pomyślała, że pewnie powinna sprawdzić toalety, ale perspektywa ta niezbyt ją podniecała.

Zastanawiała się, jaką wielkość osiągnął czarny grzyb. Jakie mogły kryć się w nim możliwości?

Po ucieczce Renderś nie zamknęła okna w damskiej toalecie. Wszystko mogło tamtędy wpełznąć z mroków tej nocy goblinów. Troje drzwi w ciasnej toalecie mogło kryć w sobie nie mniej gróźb od pudełek z pokrywami na sprężynach, wypełnionych niespodziankami wyprodukowanymi w samym piekle.

Poza tym nawet obie toalety nie mogłyby pomieścić czterdziściora ludzi. Nie sądziła, by ich rozdzielono, spodziewała się znaleźć wszystkich – martwych albo żywych – w jednej grupie.

Znowu poczuła się, jakby była nieruchomą osią obracającego się świata, gdzie przeszłość i przyszłość spotykają się ze sobą.

Choć przez całe życie nie przyjmowała tego do wiadomości, żyła zdecydowanie w przyszłości, ale wreszcie dotarło do niej, że taniec życia nie odbywał się wczoraj ani nie będzie się odbywał jutro, lecz właśnie tutaj, w nieruchomym punkcie terażniejszości. To prosta i oczywista prawda, ale trudna do przyjęcia, bo sentymentalizujemy przeszłość i pławimy się w niej, z trudem znosimy terażniejszość i w każdej chwili, gdy nie śpimy, marzymy o przyszłości.

To, czego Molly dokonała dotychczas w życiu, było historią jej duszy, niezmienną i nie do wymazania. To, co miała nadzieję zrobić w przyszłości, nie będzie miało znaczenia, jeżeli nie uda jej się dokonać czegoś mądrego i dobrego właśnie tutaj, w nieruchomym punkcie, tu, w tańcu życia.

Cassie. Znaleźć Cassie. Chwila za chwilą, odnalezienie Cassie dopełni przeszłość i równocześnie stworzy przyszłość.

Z pistoletem i latarką, rozdygotana, ostrożnie zbliżała się do drzwi.

Przez szparę widać było sześć, może osiem świec, palących się w stojących na podłodze w szklanych kulach. Po ścianach wspinały się salamandry brzoskwiowego światła.

Kiedy pchnęła drzwi stopą, otwarły się na dobrze naoliwionych zawiasach.

Światło świec nie ukazało nikogo w środku. Nic nie ukazało też światło latarki, którym omiotła mroczne wnętrza, stojąc w progu.

Pomieszczenie miało mniej więcej cztery na pięć metrów i wyglądało na miejsce przyjmowania towaru. Wykafelkowane na szaro, z odpływem w środku. Nagie betonowe ściany.

Szerokie stalowe drzwi naprzeciwko tych, w których stała Molly, musiały wychodzić na zaułek za restauracją. Dostarczano nimi skrzynki piwa, wódki, wina i inne produkty.

W ścianie po prawej refleksy światła świec kotłowały się na polerowanej nierdzewnej blasze drzwi windy.

Restauracja nie miała piętra. Winda transportowała zapasy do piwnicy.

W lewej ścianie były kolejne drzwi, też uchylone. Logika wskazywała, że za nimi znajdują się drzwi do piwnicy.

Na szarej betonowej podłodze między drzwiami, w których stała Molly, a drzwiami do piwnicy, światło latarki ukazywało krwawą ścieżkę – ale były to jedynie pojedyncze krople, zarówno całe, jak i rozmazane.

Bez prądu na pewno nie mogli zjechać windą do szaleństwa, które czekało na dole. Pod presją czy z własnej woli – ale w obu przypadkach na pewno w uścisku strasznego przerażenia – zeszli gęsiego, nadzy i krwawiący, wąskim przejściem w dół.

Gdy Molly wyobraziła sobie tę przedziwną procesję i zastanowiła się nad tym, jaka mroczna ceremonia albo inna okropność spotkała ich w piwnicy, po schodkach jej kręgosłupa przemaszerował dreszcz.

Popatrzyła na pustą salę restauracji. Nic się nie zmieniło.

Próbując nie następować na krew, poszła za promieniem latarki jej śladem, tak niedawno pozostawionym przez nieszczęsnych mieszkańców Black Lake.

Mosiężna gałka, kiedyś błyszcząca, zmatowiała od krwi niezliczonych drżących dłoni. Czubkiem buta Molly pociągnęła drzwi ku sobie.

Za progiem znajdował się niewielki podest – blade drewno poplamione krwią. Nie chciała stawiać tam stopy, wsadziła jedynie głowę przez uchylone drzwi.

Owiał ją zimny podmuch przesycony zapachem, z jakim jeszcze nigdy w życiu się nie spotkała i trudno byłoby jej go opisać. Nie był to smród, nawet nie był nieprzyjemny, a jednak niepokoił.

Krótki ciąg drewnianych schodków schodził ku następnemu podestowi, z którego kolejny ciąg schodów skręcał w lewo, do piwnicy.

Najwyraźniej nikt nie wziął ze sobą na dół świecy. Schody rozświetlało jedynie światło latarki.

Myśl o tym, że wszyscy ci biedacy musieli schodzić na ślepo, trafiła Molly z taką siłą, że ugięły się pod nią kolana.

„O ciemno, ciemno, ciemno. Wszyscy odchodzą w ciemność”.

Ostatnich stopni dolnego podestu nie było widać. Piwnica znajdowała się całkowicie poza zasięgiem światła, nie dało się tak wykręcić latarki, aby można było tam poświecić.

„Chociażbym chodził ciemną doliną, zła się nie ulękne” *[Księga Psalmów, psalm 23, 5. *Biblia Tysiąclecia*].

Łatwiej powiedzieć, niż zrobić. Lęk dusił Molly, a jeszcze nie weszła do znajdującej się przed nią ciemnej doliny.

Aby poznać los ludzi, którzy naznaczyli tę drogę własną krwią, i sprawdzić, czy Cassie żyje – oraz gdzie są trzy chroniące ją psy – Molly musiałyby zejść przynajmniej do dolnego podestu. Stamtąd mogłyby przeszukać ciemność w piwnicy za pomocą latarki.

Nie umiałyby powiedzieć, czy jest to sprawdzian jej odwagi, czy mądrości. W tych okolicznościach rozwaga mogła być uzasadniona, ale bardzo trudno było rozróżnić, co jest rozwagą, a co tchórzostwem.

Za przedziwnie pachnącym podmuchem nie podązał żaden dźwięk. Nawet najcichsze westchnienie. Jęk. Słowa szeptanej modlitwy.

Przy czterdziestu osobach, ściśniętych w zimnym magazynie, należało się spodziewać przynajmniej kilku pomruków niezadowolenia czy jakichś

podenerwowanych ruchów spowodowanych niewygodą albo stresem.

Być może łomot czterdziestu przestraszonych serc mógł się gubić w czterdziestu piersiach, ale z pewnością przepelnione lękiem oddechy tylu ludzi dałyby się usłyszeć. Nie wszyscy wstrzymywaliby oddech, czekając, aż Molly przestanie wstrzymywać swój.

Ogarnięta spokojem głębszym od zwykłej ciszy, piwnica czekała w napięciu.

Usta Molly zdawały się zbyt suche, aby mogła cokolwiek powiedzieć, ale proste pytanie udało jej się zadać:

–Cassie?

Piwnica wchłonęła słowo i nie dała niczego w zamian.

Zimny jak woda z lodem pot ściekał po prawej skroni Molly i spływał za ucho.

Za pierwszym razem właściwie szepnęła, więc teraz podniosła głos:

–Cassie?

Odpowiedź nie nadeszła z dołu, ale z pomieszczenia za plecami Molly:

–Umiem gryźć, ale nie umiem ciąć.

Przykucnąć, odwrócić się, wycelować, strzelić – wszystko jednym płynnym ruchem. Molly wykonała trzy pierwsze czynności, pociągnęła spust do pierwszego oporu, ale nie zastrzeliła kobiety.

W pomieszczeniu do przyjmowania towaru stała Angie Boteen, dwudziestoparoletnia, ciemnowłosa i szarooka klarncystka, miłośniczka swingującej muzyki i kelnerka z Benson's Good Eats. Była naga i trzymała za szyjkę stłuczoną butelkę po coronie.

–Zawsze byłam przeczulona, zwłaszcza jeśli chodzi o noże, brzytwy... potłuczone szkło – powiedziała.

Jej głos brzmiał jak zawsze, a jednak inaczej. Wyglądała jak zawsze, ale była inna. W jej głosie słyhać było niepokój, równocześnie jednak zdawała się śnić na jawie, nieobecna duchem.

–Muszę zostać pocięta, chcę być pocięta, chcę być posłuszna, naprawdę, ale zawsze bałam się ostrych przedmiotów bardziej niż czegokolwiek innego.

Ufając światłu świec, Molly wsunęła latarkę za pasek na plecach i uwolniła drugą rękę, by móc pewniej trzymać broń.

–Angie, co tu się działo?

Ale dziewczyna zignorowała to pytanie, Zachowywała się, jakby przerwała taniec życia, opuściła nieruchomy punkt i przeniosła się do przeszłości.

–Kiedy miałam sześć lat, wuj Carl pociął ciotkę Vede, ponieważ go zdradziła. Podciął jej gardło. Byłam tam i wszystko widziałam.

–Angie...

–Przeżyła, mówiąc charczała, potem miała na szyi bliznę. Wuj poszedł do więzienia, a kiedy wyszedł, przyjęła go z powrotem.

Stojąc w otwartych drzwiach, plecami do piwnicy, Molly czuła się niemal tak samo naga jak Angie, wyeksponowana.

–Po więzieniu ludzie traktowali wuja Carla inaczej. Nie gorzej. Ostrożniej, z większym szacunkiem.

Choć Molly nie bardzo chciała odwracać wzrok od Angie Boteen, musiała spojrzeć w lewo i za siebie. Na schodach nie było nikogo.

Koncentrując się ponownie na dziewczynie i potłuczonej butelce, stwierdziła, że Angie przez moment jej nieuwagi zrobiła krok do przodu.

–Nie podchodź – ostrzegła ją, wyciągając trzymany oburącz pistolet przed siebie.

W stojących na podłodze kulach chwiejne płomienie świec podskakiwały, opadały, znów podskakiwały, grubiały i robiły się cieńsze, przez twarz Angie przepływało światło i przemykały cienie, rozmywając jej rysy i utrudniając Molly odczytywanie wyrazu jej twarzy.

–Potem zaczęłam chodzić z Billym Marekiem – powiedziała dziewczyna. – Też miał problemy z nożem, pociął kilka osób i poszedł siedzieć.

W transie, w jakim się znajdowała, szarpały nią długo skrywane emocje, co było słyhać w jej głosie. Ból. Niepokój. Dzikie przerażenie. Co jeszcze ukazywały zmieniające się ciągle światła świec? Psychotyczne pragnienia? Złość? Mordercze szaleństwo? Trudno powiedzieć.

–Wiem, że mnie nigdy nie pociął, bo nigdy go nie zdradziłam, ale ludzie go szanowali, więc szanowali także mnie.

Choć Molly przed chwilą sprawdziła schody, znów wyobrażała sobie, że ktoś się nimi skrada. Może to była jedynie gra wyobraźni, a może tak było naprawdę.

–Kiedyś pociął kogoś dla mnie. Chciałam, aby to zrobił, i Billy to zrobił. Źle się potem czułam. Żałowałam. Ale zrobił to. Gdybym poprosiła, zrobiłby to ponownie. Sprawiał, że czułam się bezpiecznie.

Molly zaczęła się odsuwać od drzwi w lewo, plecami do ściany, zwiększając odległość między sobą a nagą dziewczyną oraz sobą i schodami.

–Gdyby Billy tu był – ciągnęła Angie – poprosiłabym go i pociąłby mnie jak należy, nie za głęboko, i nie musiałabym robić tego sama.

Molly niemal czuła unoszące się w powietrzu szaleństwo: zaraźliwe, niesione drobinami kurzu, łatwe do wciągnięcia z powietrzem, przenoszące chorobę prosto z płuc do serca i mózgu.

Musiała pamiętać, po co tu przyszła, musiała zapanować nad sytuacją.

–Posłuchaj, Angie, była tu dziewczynka. Cassie.

–Chcę być posłuszna, naprawdę, być posłuszna i zadowalać jak pozostali. Potniesz mnie?

–Komu posłuszna? Angie, chcę ci pomóc, ale nie rozumiem, co tu się dzieje.

–Cięcia to zaproszenie. Oni zbierają się przy ranach. Wnikają do krwi zaproszeni.

Grzyby, pomyślała Molly. Zarodniki.

–Tysiącami – mówiła Angie. – Wnikają do krwi tysiącami. Chcą być w moim żywym ciele, przez jakiś czas, zanim umrę.

Nawet gdyby aureola cieni i światła świec nie wykrzywiała rysów dziewczyny, jej obłąd powstrzymałby Molly od odczytywania jej emocji i zastanawiania się nad jej zamiarami.

–Angie, skarbie, musisz odłożyć butelkę i dać się stąd wyprowadzić. – Molly nie musiała udawać, mimo strachu przepelniało ją współczucie dla zrozpaczonej i zdezorientowanej dziewczyny. – Zabiorę cię stąd.

Angie zareagowała na to z wyraźną złością.

–Nie pieprz mi tu, dziwko! To niemożliwe i dobrze o tym wiesz! Nigdzie nie ma dla mnie miejsca, kryjówki, nigdy! Dla

**ciebie też nie. Mówi ci się, co masz robić, i albo to robisz, albo
cierpisz.**

Zimna betonowa ściana za plecami Molly wciskała chłód przez ubranie do ciała i kości, ziębiła duszę. Molly nie mogła powstrzymać drżenia.

–Muszę być posłuszna – powiedziała Angie charkotliwym głosem, po czym uderzyła się pięścią w piersi. – Być posłuszna albo cierpieć.

Czując, że ogarniają desperacja, Molly spróbowała ponownie.

–Cassie. Dziewięć lat. Jasne włosy. Błękitne oczy. Gdzie ona jest?

Angie popatrzyła na schody do piwnicy. Jej głos był ostry, natarczywy.

–Wszyscy są na dole. Złożyli zaproszenie, cięli, cięli, otworzyli swoją krew.

–Co dzieje się tam na dole? Jeżeli zejść na dół, gdzie znajdę Cassie?

Angie podniosła lewą dłoń, wnętrzem do góry.

–Gryzłam. Gryzłam z całych sił i jest krew.

Ugryzienia na mięsistych częściach dłoni były widoczne nawet w świetle świec. Zakrzepła krew też.

–Umiem gryźć, ale nie umiem ciąć. Umiem gryźć i jest krew, ale tak nie może być, bo kazano mi ciąć.

Dziewczyna weszła między szklane kule ze świecami i ruszyła w kierunku Molly, która zaczęła się wycofywać.

–Weź to i potnij mnie – mówiła natarczywie Angie, wyciągając do Molly butelkę ostrymi szpikulcami do przodu.

–Nie. Odłóż butelkę.

W szalonych oczach dziewczyny kipiała złość. Po chwili jednak zebrał się w nich ciepły słoń przyływ i kiedy wytrysnął, złość zamieniła się w rozpacz i żal nad sobą.

–Kończy mi się czas – powiedziała Angie. – Zaraz przyjdzie po mnie.

–Kto?

–On rządzi.

–Kto?

Oczy dziewczyny płonęły czerwono w łuskach łez.

–On. TO. Ta rzecz.

–Jaka rzecz?

Gorące łzy zmyły z twarzy Angie Boteen lata życia i zamieniły ją w przerażone dziecko.

–Rzecz. Coś z twarzami w dłoniach.

Szpital Świętej Marii z Betlejem, który otworzono w XV wieku, ażył dla chorych psychicznie znany pod nazwą Bedlam, choć zamknął swe podwoje w bardzo dawnych czasach, znów istniał i obejmował cały świat, od bieguna po biegun.

Być może w piwnicy restauracji krążył jakiś stwór z twarzami w rękach, coś, co mógłby wymyślić i namalować Goya w swych najmroczniejszych godzinach, a może to zagrożenie istniało jedynie w umyśle Angie Boteen. Realne czy nie, dla niej było prawdziwe.

–Boję się ostrych rzeczy. Jestem słaba – powiedziała dziewczyna. – Zawsze byłam słaba. Chcę być posłuszna, oni oczekują posłuszeństwa, ale nie mogę się pociąć. Umiem gryźć, ale nie umiem się pociąć.

Molly dalej się cofała, zataczając koło. Weszła ostrożnie między świece, jak mag, który chce pozostać wewnątrz chroniącego go pentagramu.

Angie również zataczała krąg, wyciągając potłuczoną butelkę.

–Weź to. Zrób mi to, ciachnij mnie. Zanim on wróci. – Rzuciła spojrzenie ku schodom, a potem na Molly. – Tnij mnie, zanim wróci rozzłoszczony.

Molly pokręciła głową.

–Nie. Odlóż butelkę.

Angie napierała, równocześnie błagając i złościąc się.

–Czegokolwiek nienawidzisz, zobacz to we mnie. Czemukolwiek zazdrościsz, czegokolwiek się boisz, zobacz to wszystko we mnie i tnij, tnij mnie, potnij mnie!

Mimo całej twardości charakteru, całej swojej twardości, Molly poczuła, że coś w niej pęka. Jeżeli ma znaleźć Cassie, jeżeli jej przeznaczeniem jest uratowanie tylu dzieci, ile chce być przez nią uratowanych, nie wolno jej ulec Angie.

W jej oczach zaczęły się zbierać łzy. Zamrugowała, aby je zatrzymać, aby nie zamgłyły jej wzroku. Widząc niewyraźnie, byłaby mniej sprawna w razie ataku dziewczyny albo tego, co ściągnęło czterdzieści osób do piwnicy, stwora z twarzami w dłoniach – jeżeli naprawdę istniał.

–Angie... – Głos Molly załamał się. Przemawiała do zranionego dziecka w sercu tej kobiety. – Co oni ci zrobili?

Nawet w swoim szaleństwie Angie Boteen dosłyszała czułość, wyciskającą łzy z

oczu Molly. Rozumiejąc, że nic nie wskóra, odrzuciła butelkę, która rozprysnęła się o drzwi windy.

–Chciałabym już nie żyć. – Zaczęła drżeć, jakby dopiero

teraz zdała sobie sprawę z panującego w pomieszczeniu zim

na. – Chciałabym...

Molly opuściła pistolet.

–Wyprowadzę cię stąd.

Angie ze strachem spojrzała na schody do piwnicy.

–Nadchodzi...

Molly przysunęła się bliżej drzwi, kątem oka patrzyła na drzwi do piwnicy, podnosząc pistolet.

Choć Angie interesował jedynie jej własny los, Molly spróbowała jeszcze raz:

–Dziewięciolatka. Musiałś ją widzieć. Była jedynym dzieckiem, które z wami zostało.

Ale Angie Boteen zaczęła zapadać się w podłogę, jakby stała na ruchomych piaskach.

„Pozaziemski gatunek, o setki tysięcy lat bardziej rozwinięty niż my, może dysponować technologiami, które wydawać się nam będą działaniem sił nadnaturalnych, czystą magią”.

Tak powiedział Neil po ich wizycie w domu Corriganów, cytując jakiegoś pisarza science fiction.

Wydarzenia, które miały miejsce później, dowiodły prawdziwości tego stwierdzenia - jak choćby przeniknięcie Angie Boteen przez podłogę.

Beton jest dokładnie taki, jak brzmi jego nazwa*[Ang. słowo *concrete* oznacza zarówno „beton”, jak i „konkretny”]. Konkretny. Realny. Prawdziwy. Twardy – zgodnie z potoczną definicją, która brzmi: „beton to sztuczny kamień, uzyskiwany z połączenia cementu z różnymi dodatkami”.

Ale ta płyta wzmocniana stalowymi prętami betonu, materiału, z którego buduje się bunkry i magazyny amunicji, najwyraźniej dostosowała rozmieszczenie miliardów swoich atomów do szczelin między atomami, znajdującymi się w ciele Angie. Podłoga nie zmiękła. Nie rozwarła się jak szczęki rekina, który chce pożreć zdobycz. Nie pojawiły się na niej kręgi, jakie pojawiają się na wodzie po wrzuceniu do niej kamienia. Beton wchłonął Angie Boteen, jakby

była duchem – ektoplazmatycznym oparem, zjawą – i przepuścił ją łagodnie z magazynu do piwnicy.

Angie nie była duchem. Jej ciało tworzyły zwarte tkanki i było podatne na zranienie tak samo jak ciało Molly. Rzuciła butelką po coronie, która roztrzaskała się o drzwi windy. Jej białe stopy odcisnęły się na przebiegającej po podłodze krwawej ścieżce. Kapiące z brody łzy pozostawiły na betonie małe ciemne plamki, wyraźniejsze niż ślady stóp dziewczyny.

Nie zniknęła w jednej chwili jak pojemnik z korespondencją, wessany w przewód poczty pneumatycznej, nie stawiała oporu ani nie natrafiła na opór. Przejście przez podłogę między parterem a piwnicą zajęło jej może sześć sekund – licząc od zanurzenia się stóp do zniknięcia ostatniego kosmyka włosów.

Biorąc pod uwagę to, jak bardzo była przerażona stworem z twarzami w dłoniach, i to, że stwór ten musiał przeciągnąć ją przez cement i dodatki, Angie zachowała zadziwiający spokój. Nie krzyczała. Nie błagała o pomoc Boga ani nie wzywała Billy'ego Mareka z nożami.

Powiedziała jedynie: „Och”, nie z zaskoczeniem, ale jakby godząc się – Molly mogła

się jedynie domyślać na co – i popatrzyła na swoje znikające w betonie nogi. Jej oczy rozszerzyły się, lecz wyglądała na mniej przestraszoną niż przedtem.

Molly wyciągnęła do niej rękę.

–*Sauvez-moi, sauvez-moi* - odpowiedziała Angie i również wyciągnęła dłoń. Dokładnie takich samych słów użyła astronautka Emily Lapeer na pokładzie międzynarodowej stacji kosmicznej, gdy stanęła twarzą w twarz z nieproszonymi gośćmi. „Uratuj mnie, uratuj mnie”, powtarzała Angie po francusku, takim samym głosem jak Emily Lapeer, a wyraz jej oczu zmienił się, stał się wrogi i szyderczy.

Nie bała się, bo nie była już sobą. Była bezwolnym więźniem, sterowanym przez coś, co wniknęło w nią i korzystało z jej ciała.

Molly odtrąciła wyciągniętą dłoń i patrzyła, jak nagie ciało Angie zapada się po brodę, po nos, po czoło, jakby tonęło w dopiero twardniejącym betonie. Po chwili dziewczyna zniknęła.

Gdyby Molly ujęła jej dłoń, może także zostałaby pociągnięta w dół, prześlizgnęła się przez beton i pręty zbrojeniowe z taką łatwością, jak mgła przemyka przez światło księżyca.

Myśl o takiej możliwości niemal ją sparaliżowała. Bała się przesunąć stopę z obawy, że podłoga rozstąpi się pod nią jak powierzchnia letniego stawu.

W tym momencie przypomniała sobie fragment przekazu radiowego ze stacji kosmicznej. W komorze próżniowej, tuż przedtem, zanim Arturo zaczął krzyczeć, Lapeer powiedziała, że coś wchodzi przez zamknięty właz: „...przenikają przez niego... materializują się na powierzchni stali...”.

Możliwość wciągnięcia do piwnicy przez podłogę nie była jedynym zagrożeniem – mogło też wyjść stamtąd coś groźnego, co zechciałoby pojawić się na parterze restauracji.

Podłogi, ściany i drzwi sejfu bankowego nie dawały żadnej ochrony. Temu wrogowi nie mogła się oprzeć żadna forteca. Żadne miejsce na Ziemi nie mogło zapewnić bezpieczeństwa, spokoju czy choćby tylko prywatności.

„Rzeczywistość nie jest już tym, czym była kiedyś”.

Był to ulubiony aforyzm amatorów narkotyków za studenckich czasów Molly w Berkeley, ludzi grawitujących w stronę sztuk wyzwolonych i kursów literatury. Odrzucali oni tradycyjne wartości literackie na rzecz „wolności intelektualnej, uzyskiwanej dzięki anarchii emocjonalnej i lingwistycznej” – cokolwiek to znaczyło.

Rzeczywistość nie była tym co kiedyś. Dziś po południu może się okazać czymś całkiem innym, niż była rano.

Lewis Carroll spotkał H. P. Lovecrafta.

Możliwe, że pacjenci szpitala Bedlam, nierozumiani i niezdolni do radzenia sobie z rzeczywistością swoich czasów, potrafiliby w

tych okolicznościach całkiem dobrze sobie radzić, a ich sposób myślenia doskonale pasowałby do nowej rzeczywistości.

Molly miała wrażenie, że jej zdrowie psychiczne zachowuje się jak pociąg bez maszynisty, toczący się bez hamulców w dół zbocza.

Jeżeli pozaziemska istota z twarzami w dłoniach dysponowała technologią, pozwalającą przenikać sufity z taką łatwością, z jaką Angie została wessana w podłogę, jeżeli można było przemieszczać się w ten sposób bez żadnych ograniczeń, to zejście schodami w poszukiwaniu Cassie nie było bardziej niebezpieczne od stania na parterze albo chodzenia z Neilem po ulicach. Ostrożność straciła jakiegokolwiek znaczenie, roztropność nie obiecywała nagrody. Fortuna będzie teraz preferować odwagę, a nawet lekkomyślność.

Molly ponownie podążyła krwawym śladem do drzwi piwnicy. Kiedy już niemal stała na ich progu, jakiś dostrzeżony kątem oka ruch kazał jej się zatrzymać i odwrócić.

Pies. W drzwiach wejściowych restauracji stał golden retriever-jeden z trzech psów, które pozostały z Cassie. Czujna postawa. Poważne spojrzenie. Machnięcie ogonem.

Przyjazny ruch psiego ogona przekonał Molly, że powinna pójść za retrieverem do damskiej toalety. Gdyby pies stracił oddane mu pod opiekę dziecko, nie machałby ogonem – zwłaszcza żaden z tych szczególnych psów, które wydawała się cechować niezwykła inteligencja oraz lojalność znacznie większa od tej, jaka zwykle cechuje te czworonogi.

Cassie stała w toalecie, wciśnięta plecami w kąt, osłaniana przez dwa mieszańce. Psy pokazały Molly kły, lecz z pewnością nie dlatego, że uznały ją za zagrożenie, prawdopodobnie chciały w ten sposób pokazać, że są czujne – i dodać sobie otuchy.

Ktoś zaniknął okno, przez które uciekł Render. Podłoga pod nim w dalszym ciągu była zalana wodą, nic w niej jednak nie rośło.

Cassie padła Molly w ramiona i przytuliła twarz do jej szyi, drżąc na całym ciele.

Molly zaczęła pocieszać dziewczynkę, gładziła jej włosy i sprawdzała, czy nic się jej nie stało.

W dawnej rzeczywistości priorytetem byłoby wyjście z restauracji. Najpierw ucieczka, potem zajęcie się małą.

W nowej rzeczywistości świat na zewnątrz był tak samo niebezpieczny jak każde pomieszczenie restauracji, z piwnicą włącznie.

Tak naprawdę każde miejsce na zewnątrz było groźniejsze od restauracji. Choć pakamerę zajął nowy lokator, a w ciałach ludzi, którzy dokonali samookaleczeń w piwnicy, dojrzały nie wiadomo jakie zarodniki, więcej groteskowych, wrogich form życia z innej planety krążyło po otwartych przestrzeniach.

Panowie tej przypominającej magię pozaziemskiej technologii potrafili wywabić swoje ofiary z każdej kryjówki, wyciągać je przez ściany, podłogi i sufity i bez wątpienia sami również mogli przenikać przez ciała stałe. Niższe formy życia – odpowiedniki ziemskich ssaków, gadów i owadów – nie miały tej zdolności, ściany były dla nich skutecznymi barierami.

Wściekle trzepocząca chmara w domu Johnny'ego i Abby szukała wyjścia z gniazda ukrytego pod drewnem i tynkiem. Owadopodobne behemoty z kościelnej piwnicy nie wrywałyby podłogi, gdyby umiały przez nią przeniknąć.

Tak więc nawet jeśli restauracja nie była bezpiecznym portem, chroniącym przed potężnymi panami z kosmosu, dawała pewną ochronę przed wieloma stworzeniami z ich ekosystemu.

–Wszyscy nie żyją, prawda? – spytała Cassie.

Ponieważ wśród zaginionych byli jej rodzice, Molly wolała nie dawać jednoznacznej odpowiedzi.

–Może tak, może nie...

–Nie żyją. – Dziewczynka nie chciała być zwodzona. – Lepiej nie żyć... niż mieć którąś z tych rzeczy w sobie.

Zdawało się to odnosić do czegoś innego niż zarodniki, wnikające do ciała przez rany. Najprawdopodobniej Cassie nie widziała tego, co rosło w pakamerze, ani białych kolonii pełzających po ulicach w półświecie purpurowego ranka.

–O jakich rzeczach mówisz?

–Tych z twarzami w dłoniach.

Angie także o czymś takim mówiła. Ale Cassie użyła liczby mnogiej.

Wszystkie trzy psy wzdrygnęły się i niespokojnie zapiszczały, jakby też pamiętały stwory, o których była mowa.

–Cassie, co to znaczy: twarze w dłoniach?

Głos dziewczynki zniżył się do szeptu:

–Mogą zabrać ci twarz i trzymać ją w rękach, i pokazać ci ją, inne twarze też, gnieść je w palcach, żeby krzyczały.

Wyjaśnienie to nic Molly nie mówiło. Odpowiedzi na kolejne pytania dały jej jaką taką orientację, co się stało z rodzicami dziewczynki i resztą ludzi w restauracji, pozostawiły jednak niejasność w zakresie „stworów z twarzami w dłoniach”.

Z podłogi restauracji wyszły trzy takie stwory, prosto między, zebranych ludzi. Miały humanoidalne kształty – od metra osiemdziesiąt do dwóch dziesięć wzrostu, dwie nogi, dwoje ramion – ale wyglądem nie przypominały ludzi.

Ich „pozaziemski” wygląd przeraził nawet pacyfistów. Niektórzy próbowali uciekać, ale Obcy zatrzymywali, kogo chcieli – nie bronią ani jakimkolwiek instrumentem, lecz gestem. Zwykle wskazanie „ręką” natychmiast uciszyło też tych, co krzyczeli, a tym, którzy mieli broń, kazało ją wypuścić.

Wyglądało to na sterowanie telepatyczne – kolejny powód do obaw, że ludziom nie uda się zapobiec przejęciu Ziemi.

Trójka Obcych weszła między ludzi i „zabrała im twarze”. Molly nie potrafiła sobie wyobrazić, co to dokładnie oznacza.

Ze słów Cassie wynikało, że z początku w miejscu, gdzie ludzie mieli przedtem twarze, „było gładko”, a każda usunięta twarz „żyła w rękach stworów”.

Następnie w „gładkości”, miejscu, z którego zabrano człowiekowi twarz, na chwilę pojawiała się twarz Obcych – taka sama jak u każdej z trzech istot, które przeniknęły przez podłogę. Potem obca twarz znikała, a na jej miejsce wracała oryginalna ludzka twarz.

Zdaniem Cassie świadczyło to o tym, że pozaziemscy panowie „zainstalowali się” w każdym z ludzi, było to jednak filmowe myślenie, które niczego nie wyjaśniało.

Ponieważ dziewczynka uciekła do toalety, a wraz z nią psy, nie widziała wszystkiego. Nie chciała ryzykować wyjścia na zewnątrz frontowymi drzwiami, gdyż aby się do nich dostać, musiałyby przejść zbyt blisko Obcych.

Czekała w toalecie, spodziewając się, że któryś ze stworów przyjdzie i zabierze jej twarz.

Z relacji dziewczynki nie dało się wyłowić zbyt wielu faktów, ale jedno było jasne: Cassie nie została oszczędzona przez przypadek ani niedopatrzenie. Obcy z rozmysłem pozwolili jej uciec. Kiedy wybiegała z sali, mogli zatrzymać ją tak samo jak innych.

Abby i Johnny, uwięzieni w domu, o którym Johnny powiedział: „Zmienia się. Jest... prawie żywy”, nie zostali zaatakowani ani przez bestię, która zaszlachtowała ich pijanego ojca w garażu, ani przez szamoczące się w ścianach skrzydlate chmary.

Eric, Elric i Bethany nie zostali zmuszeni do „przepląnięcia” przez sufit w burzę, razem z rodzicami i babcią. Uratował ich amorficzny stwór, którego można było dostrzec jedynie „kątem oka”, cuchnący „zgniłymi jajkami, spalonymi zapałkami i kupą”.

W kościele, choć Bethany miała problemy, cała piątka dzieci została uratowana od pewnej śmierci niekoniecznie tylko dzięki temu, co zrobili Neil i Molly.

Założenie, że Cassie została uratowana z rozmysłem, prowadziło do wniosku, że na tym etapie przejmowania Ziemi plan wojny zakładał eksterminację ludzi powyżej określonego wieku, nakazywał jednak oszczędzać dzieci.

Z początku wydawać się to mogło zdumiewające, a nawet pozbawione sensu, ale po chwili Molly odnalazła się w tym kłębowisku surrealistycznych wydarzeń, mrocznych cudów i niemożliwych zjawisk, określających minione dwanaście godzin, i podążyła

za logicznym wątkiem, prowadzącym do wniosku, który mógł zmrozić krew w żyłach.

Po kolei spojrzała w oczy psów. Dwa mieszance i golden retriever patrzyły na nią wyczekująco, nieśmiało machając ogonami.

Rozejrzała się po podłodze, ścianach, suficie.

Gdyby czytano jej myśli i znano kiełkujące w głowie podejrzenie, spodziewać się należało, że coś zaraz wniknie do toalety przez tę lub inną powierzchnię i najpierw zabierze jej twarz, a następnie życie.

Stojąc w nieruchomym punkcie zwrotnym świata, czekała na śmierć – i nie umarła.

–Chodź, skarbie – powiedziała do Cassie. – Idziemy stąd.

Mgła w dalszym ciągu wisiała nisko, gęsto, purpurowo. Sinawe półświatło mogło od teraz stać się starym towarzyszem dnia – od świtu do zmierzchu.

Gdzieś w mieście na kobiecy płacz odpowiedział męski płacz, co wywołało kolejny kobiecy płacz, przy czym wszystkie trzy wyrażały rozpacz w tej samej kadencji pochlipywań i jęków. Pełzające białe grzyby zdawały się nieustannie eksplorować otoczenie – może zakładały nowe kolonie w miejscach, w których panowały optymalne dla nich warunki.

Po wyjściu na zewnątrz Molly oddała Cassie pod opiekę Neila i wzięła na bok trójkę Crudupów, aby powtórzyły jej to, o czym mówiły w drodze z kościoła do restauracji. Pomyślała, że po spotkaniu z Angie i wysłuchaniu opowieści Cassie lepiej zrozumie historię Erica, Elrica i Bethany.

Ich matka i ojciec wypłynęli z salonu, jakby nagle przestała ich obowiązywać grawitacja. Dwoje ludzi przeniknęło przez sufit salonu, potem przez strop znajdującego się nad nim pokoju na piętrze, na koniec przez dach i wyleciało z domu. Zdumione i przerażone dzieci pobiegły schodami w górę, po czym wspięły się po drabinie na strych, podążając za rodzicami z poziomu na poziom.

Wydarzyło się to w czasie przelotu lewiatana nad miastem, kiedy jego ciężar wszystkich przygniatał, a w kościach czuło się drżenie jego silników. Dlatego właśnie dzieci uznały, że rodziców „wybimowano” na pokład statku matki.

Babcia, o której dzieci mówiły z uczuciem, jakiego nie okazywały rodzicom, zareagowała na to nieoczekiwane fruwanie córki i zięcia przerażeniem. Nie uspokajały jej zapewnienia wnucząt – oparte na wiedzy zaczerpniętej z filmów i programów telewizyjnych – że ten, kto zostanie wybimowany na pokład statku matki przybyszy z kosmosu, zawsze wraca na Ziemię, choć przedtem może zostać poddany dokładnym badaniom i czasami bolesnym eksperymentom.

Niecałą godzinę później, kiedy także i ona zaczęła wznosić się ku sufitowi, nie krzyczała, lecz jedynie -jakby spodziewała się tego -jęknęła cicho, gdy jej stopy oderwały się od dywanu. Patrzyła na zaskoczone wnuki z uśmiechem i pomachała im, zanim zniknęła w suficie.

Kiedy dzieci dogoniły ją na piętrze, śmiała się. Na strychu, zanim przeniknęła przez dach, powiedziała:

–Nie martwcie się o mnie, kochani. Wcale nie czuję reumatyzmu.

Eric stwierdził, że babcię „szurnęło bardziej, niż ustawa przewiduje”, co zirytowało

Bethany nie mniej niż jego poprzednie niestosowne wyrażenia. Elric pozostał w tej sprawie neutralny.

Podejrzenie, które zrodziło się w umyśle Molly, gdy słuchała w restauracji opowieści Cassie, sprawiło, że przede wszystkim interesował ją czas, kiedy dzieci po zniknięciu babci zostały same.

Paskudny zapach intruza sprawił, że gdy wspinały się za babcią na strych, zrobiło się im niedobrze. Bethany zasłaniała nos i usta dłonią, ale chłopcy, jako nosiciele imion skandynawskich herosów, starali się oddychać normalnie – i przeżyli.

Dopóki babcia nie zniknęła, nie mogli zlokalizować źródła odoru.

Dopiero wtedy zauważyli stwora, którego lepiej było widać kątem oka, niż patrząc wprost, będącego bardziej konturem niż szczegółem. Stwór ciągle się przemieniał i stał między nimi a jedynym wyjściem ze strychu.

–Chciał nas złapać – powiedziała Bethany.

Żadne z dzieci nie miało co do tego wątpliwości.

Złapałby ich, gdyby nie kobieta, która wyglądała jak Obi-Wan Kenobi.

Nie mieli na myśli tego, że przypominała z wyglądu sir Aleca Guinnessa (była ładna), że wyglądała staro jak Obi-Wan (była stara, zgoda, lecz tylko kilka lat starsza od Molly), że miała szatę z kapturem, wyglądającą pozagalaktycznie (nie pamiętali dokładnie, co na sobie miała) – ale że cała lekko prześwitywała, tak jak Obi-Wan, kiedy po śmierci odwiedzał Luke'a Skywalker'a, aby dać mu jakąś radę.

Dzieci nie umiały wyjaśnić, jakim sposobem kobieta zmusiła stwora do odwrotu – czy były to czarodziejskie słowa, tajemniczy pierścień, magiczny ruch dłonią, który kazał mu się wycofać, czy siła jej osobowości – zgadzały się jednak co do tego, że odpędziła stwora od klapy w podłodze, która była jedynym wyjściem. Uciekli i nie patrzyli za siebie ani na potwora o zmieniających się kształtach, ani na zjawę, która ich uratowała.

–Wyglądała trochę jak ty – oświadczyła Bethany, patrząc na Molly.

–Nie wyglądała – zaproponował Eric.

–A ja myślę, że trochę tak – powiedział Elric.

–Trochę jak ty – upierała się Bethany. Eric przyjrzał się twarzy Molly.

–No, może trochę – uznał w końcu.

Molly nie miała pojęcia, co ma zrobić z tą nowo zdobytą wiedzą – i czy w ogóle coś ma zrobić.

Najważniejsze, że powtórna opowieść dzieci umocniła straszliwe podejrzenie, które zakiełkowało w jej umyśle w restauracji.

Rozejrzała się wokół. Na zachodzie przez mgłę leciał z północy na południe jeden z pojazdów Obcych – kula albo talerz – a jego przesuwanie się światło sprawiało, że cienie domów i drzew zdawały się pędzić za nim jak stado wściekłych duchów, wabionych przez flecistę, grającego jakąś niesłyszalną dla ludzkiego ucha melodię.

Obcy, nowi władcy zmienionej Ziemi, byli obojętni na cierpienie i zdolni do popełniania okrucieństw, przewyższających najgorsze dokonania ludzkości, która nieraz okazywała się okrutnym gatunkiem. Pozwalali jednak przeżyć wielu dzieciom, może nawet wszystkim.

Ale przecież przybysze z kosmosu nie znali litości. Jeżeli większość dzieci albo nawet wszystkie były z rozmysłem oszczędzane, ich ułaskawienie z pewnością będzie jedynie chwilowe. Obcy musieli mieć wobec nich inne zamiary.

–Jakie? – spytał Neil.

–Nie wiem, nawet nie jestem w stanie zgadywać. Stali na środku ulicy, w pewnej odległości od szóstki dzieci i czterech psów, rozmawiali cicho, nie patrząc na siebie, ale na otaczające ich domy i drzewa.

W najbliższej przyszłości i prawdopodobnie przez resztę życia, co mogło oznaczać to samo, bez względu na to, jakie jeszcze czekają ich zadania, będą stać na warcie. Jeżeli się zmęczą, będą spali na zmianę.

Może Obcy chcieli, aby dzieci przeżyły, a Molly i Neil, jako ich strażnicy, mieli – przynajmniej na razie – zostać oszczędzeni, nie było jednak pewności, że Molly wyciągnęła prawidłowe wnioski z ostatnich wydarzeń. Nadzieję dawało jedynie zachowanie maksymalnej ostrożności – o ile w ogóle istniała jakakolwiek nadzieja.

Molly przyszła do głowy ponura analogia.

–Jesteśmy żniwiarzami – powiedziała.

–Czym? – zdziwił się Neil.

–Dzieci są żniwem, a myśmy zostali posłani na pola, aby je zebrać.

Koncepcja Molly była jak pająk, pełzający po nerwach Neila – może dlatego, że brzmiała bardzo przekonująco.

–Jesteśmy, kim jesteśmy, i robimy to, co chcemy robić – powiedział niepewnie.

–Co czyni nas użytecznymi dla tych drani. Bez względu jednak na to, w jakim celu te dzieci są zbierane, na pewno im ich nie oddamy.

Biorąc pod uwagę nierównomierność sił, deklaracja ta brzmiała zuchwale i smakowała w ustach jak popiół, Molly była jednak zdecydowana umrzeć, jeżeli jej spełnienie będzie tego wymagało.

–Nie ufaj psom – ostrzegła męża.

Neil przyjrzał się zwierzętom, które – rozglądając się czujnie – okrężały dzieci.

–Są im bardzo oddane – powiedział.

–Lojalne, odważne, jak psy zazwyczaj – przyznała. – Ale te nie są zwykłymi psami.

–To już wiemy na podstawie ich zachowania.

–Są psami, lecz także czymś więcej niż psami. Z początku wszystko wyglądało magicznie, z Virgilem, różą i tak dalej, ale nie możemy ufać żadnemu „czemuś więcej”.

–Dobrze się czujesz? – spytał Neil, patrząc Molly w oczy. Skinęła głową.

–W restauracji było paskudnie.

–Wszyscy nie żyją?

–Albo gorzej.

–Jeżeli do tego dojdzie...

–Masz na myśli śmierć?

–Jeżeli do tego dojdzie, czy chcesz, abym dał ci ostatnie namaszczenie?

–A możesz?

–Nie jestem pewien, ale znam słowa i wierzę w nie. – Uśmiechnął się. – Chyba dam sobie radę.

–Dobrze. Chcę. Chciałabym, żebyś to zrobił. Jeżeli do tego dojdzie.

–Przygotowałaś się?

–Mhm. Za pierwszym razem, kiedy te świecące statki unosiły się nad nami jak klasyczne latające talerze, kiedy byliśmy na ulicy z Johnnym i Abby... niemal spodziewałam się promieni śmierci, jak w *Wojnie światów*.

–W tym filmie Gene Barry i Ann Robinson przeżyli.

–Marsjan zabiła ziemską bakteria – przypomniała sobie Molly.

Tym razem jednak nie spodziewała się hollywoodzkiego zakończenia.

Pamiętała, jak Neil, zapalony kinoman, stał przed telewizorem i po raz ostatni przed opuszczeniem domu oglądał fragmenty ulubionych filmów, i wiedziała, że pytanie z zakresu wiedzy o kinie sprawi mu przyjemność.

–Co się stało z Gene'em Barrym? Nakręcił jeszcze jakieś filmy?

–Kilka, w tym parę naprawdę świetnych. *Thunder Road* z Robertem Mitchumem.

Virgil zostawił dzieci pod opieką pozostałych psów i podszedł do Molly. Prychał niecierpliwie.

Delikatnie podrapała go za uszami, nie dając po sobie poznać, że jej wiara w niego została nieco zachwiana.

–W porządku, chłopaku. Czas popracować.

Słyszając to, Virgil odwrócił się i ruszył Main Street na południe.

Szli gęsiego – Virgil prowadził, Molly szła za nim, szóstka dzieci i trzy psy tworzyły trzon kolumny, Neil zamykał pochód od tyłu.

Ciemny jak wino dzień, tkwiący między namokniętą ziemią i niskimi chmurami, wyrażał się jednoznacznie: pogrzeb, mówił, cmentarz.

Drzewa były obwieszane czarnoszarymi chorągwiami cieni i mchów, a zaparkowane wzdłuż krawężników samochody zdawały się czekać na włączenie do ceremonialnej procesji zaraz po tym, gdy pojawi się karawan.

Sklepy i domy przypominały mauzolea o nagich, nieotynkowanych ścianach, pozbawione nazwisk i epitafiów, jakby zmarli zaraz po pochowaniu zostali zapomniani.

Bezwietrzny dzień znów ogarniała dusząca cisza. Fałszywe kobiece płacze i męskie pochlipywania zamilkły.

Na złowieszcze niebo nie śmiały wylecieć zwiastuny śmierci – wrony, kruki, sowy. Nic nie śpiewało ani nie pohukiwało w drzewach, nie skakało po mokrych podwórkach w poszukiwaniu tłustych robaków, nie zbierało się, aby odprawić żałobę na płotach i balustradach werand.

Mimo braku skrzydlatych znaków Molly wyczuwała, że większość ludzi z Black Lake nie żyje. Jeszcze niedawno sądziła, że może uda się ich znaleźć w ufortyfikowanych domach, uzbrojonych w strzelby, noże i kije baseballowe, przygotowanych do obrony rodzin, teraz jednak wiedziała, że tak się nie stanie.

Tych, których nie zabito, porwano i uwięziono, aby mogli służyć jako obiekty eksperymentów lub pionki w okrutnej zabawie. W większości domów nie było żywego ducha – o ile po wilgotnych pokojach nie krążyło robactwo z innych światów, a w piwnicach, w rozkładających się trupach, nie pieniły się nieziemskie rośliny, wypuszczające blade liście i czarne kwiaty.

Molly popatrzyła na dzieci i aż jęknęła, widząc, jaką pokładają w niej nadzieję, jak bardzo są przekonane, że można na niej polegać. Kilkoro słabo się uśmiechało, ich

żałosne przekonanie wzruszała ją. Popatrzyła przed siebie, aby nie dostrzegły łez, które próbowała powstrzymać.

Choć była gotowa dla nich umrzeć, nie zasługiwała na ich zaufanie. W tej ogólnoświatowej zagładzie całe armie padły, nim jeden żołnierz zdołał strzelić, i Molly zdawała sobie sprawę, że byli z Neilem za słabi, aby poradzić sobie ze stojącym przed nimi zadaniem.

Niewydarzona pisarka z pistoletem, niedorobiony ksiądz ze strzelbą. W życiu udało im się – naprawdę i bez najmniejszej wątpliwości – tylko jedno: miłość. W niezachwianym i stale rosnącym wzajemnym uczuciu odnajdywali odkupienie i spokój.

Ich wróg był jednak niewrażliwy na potęgę miłości. Sadząc po tym, co się wokół działo, było to zupełnie nieznanym im uczucie.

Virgil skręcił za róg w prawo, w Marine Avenue. Kiedy Molly za nim poszła, przez moment myślała, że wilgotne powietrze i specyficzne oświetlenie utworzyły coś przypominającego miraż lub fatamorganę. Zdawało się, że przecnicę na zachód od skrzyżowania zagraża wielkie lustro, odbijające obraz Virgila i resztę korowodu.

Po chwili dostrzegła, że to inna grupa, którą prowadzi inny pies – nie owczarek niemiecki, a seter irlandzki. Na czele kolumny maszerowały dwie uzbrojone kobiety, a na końcu mężczyzna – niższy i starszy od Neila. Pośrodku było dwanaścioro dzieci i sześć psów.

Szli przecnicą na północ. Kiedy zobaczyli grupę Molly, zatrzymali się. W tak złym świetle i na taką odległość nie mogli widzieć twarzy, ale na pewno byli zdumieni.

Molly zamachała i tamci odpowiedzieli tym samym.

Prowadzący ich seter irlandzki nie zatrzymał się. Po krótkim wahaniu postanowili iść za nim, zamiast podejść do grupy Molly, by zaspokoić ciekawość. Ich zadanie nie było jeszcze zakończone.

Dobrze rozumieli, jakie zadanie ma grupa Molly do wykonania – tak samo dobrze, jak Molly rozumiała, jakie oni mają zadanie. Populacja dzieci w Black Lake była zbyt liczna, aby mogły zostać uratowane tylko przez jeden zespół. Jeżeli były dwie ekipy, to najprawdopodobniej były także i inne.

Poprawiłoby to humor Molly, gdyby nie podejrzewała, że nie są ratownikami, ale żniwiarzami.

Po kilku sekundach druga grupa zniknęła im z oczu.

Virgil poprowadził ich w kierunku wiktoriańskiego domu z eleganckimi mansardowymi oknami, szczytami i różnymi ozdobnikami.

Molly popatrzyła na zegarek. Zbliżało się południe. Od chwili gdy po raz pierwszy zobaczyła świecący deszcz, a potem kojoty na werandzie, minęło dziesięć godzin. Czuła, że kończy im się czas i wkrótce zostanie zadane ostatnie uderzenie tej wojny.

Część siódma

Początek mój, gdzie mój kres

T. S. Eliot

East Coker

(przełożył Jerzy Niemojowski)

Mansardowe okna z rzeźbionymi motywami kwiatowymi, mnóstwo ozdobnych drewnianych elementów, rabatki z prymulkami, otoczone płotami z kutego żelaza, żłobkowane kolumny werandy ze zwieńczeniami we włoskim stylu, kasetonowe drzwi wejściowe z okienkiem z matowego szkła – ten dom był wzorem porządku architektonicznego, dowodem długiej walki ludzkości z chaosem i jej długich poszukiwań.

W dawnym życiu Molly architekci dążyli do sterylności, co było porządkiem bez celu, i celebrowali siłę, co było znaczeniem odartym z wdzięku. Odrzucając podstawy, które umożliwiły jego powstanie, modernizm i jego przybrane filozoficzne dzieci miały do zaoferowania blichtr zamiast prawdziwego piękna, sensację zamiast nadziei.

Przez całe życie obserwowała, jak cywilizacja robi się coraz obrzydliwsza, ale teraz, kiedy szła za Virgilem schodkami w górę, ogarnęło ją przygnębiające poczucie straty. Ten piękny dom, w którego projekt i budowę włożono tyle miłości, był symbolem wszystkiego, co zostanie usunięte przez nowy ekosystem i brutalnych nowych władców Ziemi. Rozmiary zniszczeń, jakich dokonał wiek modernizmu, zostały przekroczone w jeden dzień. Wkrótce również

wszystkie dzieła modernizmu zostaną zrównane z ziemią przez pozaziemskie stwory o zimnej krwi, urzeczywistniające to, za czym tęsknił modernizm.

Jeżeli byłoby to ceną zachowania wszystkiego co piękne w ludzkiej cywilizacji, warte zachowania wydawały się wszystkie szaleństwa ludzkości. Choć serce ludzkie jest egoistyczne i niepokorne, wielu ludzi walczy ze swoim egoizmem i uczy się pokory. Dzięki nim – dopóki trwa życie – istnieje nadzieja, że uda się odzyskać utracone piękno, że to, co zostało napiętnowane, może zostać uratowane.

Różnorodność ludzkiego życia mogła wkrótce zostać usunięta tak dokładnie, jakby nigdy nie istniała.

Molly stała z Virgilem przy drzwiach i patrzyła na stojącego na ulicy Neila, otoczonego szczęcioma zakładnikami losu. Siedem lat małżeństwa minęło tak gładko, siedemdziesiąt nie byłoby za wiele.

Dzieci wyglądały straszliwie bezbronne. Zło zawsze zdawało się ciągnąć do dzieci – zwłaszcza do dzieci. Dla tych, przez których przepływa najsilniejszy strumień zła, niszczenie niewinności jest największą radością.

Virgil warknął.

Tak jak w domu, w którym znaleźli Johnny'ego i Abby, drzwi otworzyły się same. Może pies posiadał moc rozkazywania im albo jakaś złośliwa siła chciała zaprosić Molly do środka – jak pająk zapraszający muchę.

Pies przekroczył próg. Molly wahała się jednak.

Jeżeli miały to być ostatnie godziny jej życia, chciała spędzić je z dziećmi, niezależnie od tego, czy ostatecznie uda się je uratować, czy nie. Była zmęczona, z braku snu bolały ją oczy. Zbyt wiele przerażających widoków wycieńczyło ją emocjonalnie, więc między dobrymi intencjami a ich realizacją leżała przepaść zwątpienia.

Wzmocniła swoje postanowienie wersem z Eliota: „Życia możesz unikać, śmierci jednak nie powinieneś”*[T. S. Eliot, chorał ze *Skały*].

Tego rodzaju trudne prawdy dodawały ponurej odwagi.

Weszła do domu.

Choć nikt ich nie dotknął, drzwi zamknęły się za nimi.

Tak samo jak w poprzednim domu w ścianach słycać było szelest – rojenie się wielonogich mas albo uderzenia niezliczonych skrzydeł.

Tym razem Molly nie miała moralnego wsparcia ze strony Neila, towarzyszył jej tylko owczarek niemiecki, który mógł być na usługach jakiegoś zła. Ale aby nadal móc ufać swej intuicji i wierze, które nigdy jej nie zawiodły, musiała także zaufać psu.

Purpurowy dzień zaglądał w okna, lecz niczego nie rozjaśniał. Molly zapaliła latarkę i próbowała nie myśleć o tym, ile – albo jak niewiele – energii było jeszcze w bateriach.

Virgil podszedł do schodów i wspiął się na nie.

Wchodząc za nim, Molly słyszała, jak wirujący plusk hałasu w ścianach nagle organizuje się w rytmiczne pływy. Powtarzające się przyplawy i odpływy sprawiły, że zatrzymała się na podeście.

W miarowych pomrukach tysięcznego westchnienia można było wyczuć jakiś zamiar i coś w rodzaju desperacji. Słuchając dokładniej, Molly wzdrygnęła się, bo cichy szelest zaczął przechodzić w słowa: *Czas mordować... czas mordować... czas mordować... czas mordować...*

Choć głosy tego przepelnionego złością chóru były bardzo liczne, każdy z osobna nie był głośniejszy od oddechu. Skumulowany szmer tworzył szept o tak podstępnej subtelności, że sprawiał wrażenie, jakby powstawał w głowie słuchacza, był nie tyle

realnym dźwiękiem, co halucynacją słuchową.

Abby twierdziła, że ściany czasami mówią. Nie powiedziała jednak, co mówią.

–...czas mordować... czas mordować...

Molly nie potrafiła określić, czy była to groźba, czy polecenie

mające hipnotyzować za pomocą powtarzania – albo coś jeszcze innego.

Próbowała samą siebie przekonać, że może zignorować ten niesamowity mroczny chorał. Ale ciekawość ciągnęła ją coraz silniej ku ścianie.

W świetle latarki na tapecie rozkwiatały róże – głównie żółte, ale także różowe, pozbawione kolców, z gęstymi liśćmi.

Molly przesunęła dłońią po papierowych kwiatach, nie bardzo wiedząc, czego się spodziewa. Wybrzuszenia w tynku? Dowodu strukturalnych deformacji?

Ściana była płaska, sucha i twarda. Molly pod dłońią czuła lekkie drżenie, nic poza tym.

–...czas mordować... czas mordować...

Wydawało jej się, że wśród głosów mówiących po angielsku słyszy także słowa w obcych językach.

Przyłożyła ucho do ściany, do żółtej róży.

Drukowany różany ogród delikatnie, ale niepokojąco pachniał – może zawartymi w papierze chemikaliami albo tynkiem.

Kiedy Molly zwróciła uwagę na głosy w obcych językach, stały się wyraźniejsze, jakby wiedziały, że się nimi interesuje. Ta sama dwuwyrzowa fraza była powtarzana po francusku i hiszpańsku. Słysząc też było inne słowa – być może rosyjskie, japońskie, chińskie, niemieckie, szwedzkie i w innych językach, których Molly nie potrafiła rozpoznać.

Nagle rytm się załamał. Miarowe falowanie dźwięku zamieniło się w pozbawiony słów szelest tysięcy i dziesiątków tysięcy cichych trzasków i chrzęstów, świergotów i świstów – pełen repertuar wrzącego ula.

Próbując określić na podstawie tych odgłosów, jakie robactwo kłębi się pod tynkiem, Molly jeszcze przez moment przytrzymała ucho przy ścianie – do chwili, aż z cichego kłębowiska trzepotu i chrzęstu wydobył się pojedynczy głos, który powiedział: MOLLY.

Zaskoczona, odsunęła się od ściany.

Stopień po stopniu światło latarki zsunęło się po schodach, potem znów stopień po stopniu uniosło się do góry, gdzie stał pies. Nie było nikogo, kto mógł wypowiedzieć jej imię.

Planetarna apokalipsa nagle stała się denerwująco osobista. Coś o pozaziemskim pochodzeniu, pełzające w ścianach, z upiorną czułością wypowiedziało jej imię, przepelniając ją obrzydzeniem.

I znów, proszącym, tęsknym tonem:

Virgil, z oczami jarzącymi się niesamowicie w świetle latarki, powitał Molly u szczytu schodów nie machnięciem ogona, lecz natarczywym warknięciem, i poprowadził ją prosto do jedynych zamkniętych drzwi spośród znajdujących się tu pięciorga.

W pomieszczeniu za nimi cicho płakało dziecko, może chłopiec. Nie brzmiało to tak, jakby było bezpośrednio zagrożone, ale jakby wycieńczył je długotrwały strach.

Molly spróbowała przekręcić gałkę tą samą dłonią, w której trzymała latarkę, nie chciała się jednak przekręcić.

Przez chwilę czekała, aż drzwi otworzą się same na polecenie psa albo siły, która wpuściła ich do domu, ale nic się nie działo.

Nie chcąc chować pistoletu do kieszeni, odłożyła latarkę i wolną ręką ponownie spróbowała otworzyć drzwi. Zamknięte.

–Skarbie, przyszliśmy ci pomóc! – zawołała do zamkniętego dziecka. – Jesteśmy z tobą. Zaraz cię wyciągniemy.

Jakby słowa były zaklęciem, drzwi gwałtownie otworzyły się do środka, ukazując całkowitą ciemność, czerń głodnej paszczy.

Ze ścian i z sufitu dolatywało jej imię, szeptane z wyglodniałym podnieceniem:

–Molly, Molly, Molly, Molly...

Przerażona, cofnęła się o krok.

Virgil przeszedł obok niej i wbiegł do pokoju.

Drzwi zatrzasnęły się z hukiem.

Molly znowu próbowała przekręcić gałkę, choć wiedziała, że jej się to nie uda. Gałka nie poruszyła się.

Pochyliła się i podniosła latarkę z podłogi. Kiedy się prostowała, dostrzegła w korytarzu jakiś ruch – coś szybko zbliżało się z prawej strony.

Uderzyło w nią męskie ciało: człowiek nie tak wysoki jak Neil, ale wystarczająco duży. Upuściła latarkę i pistolet, przewróciła się.

Zwalił się na nią z taką siłą, że pozbawił ją na chwilę oddechu.

–Nie dostaniesz ich. To moje ofiary.

Latarka leżała parę centymetrów od Molly i w jej świetle mogła zobaczyć napastnika. Krótco ostrzyżone rude włosy. Zmysłowa twarz, niebieskie oczy o ciężkich powiekach, pełne usta. Sznur bliznowatej tkanki łączył lewe ucho z kącikiem ust – pamiątka po dawnej walce na noże.

–Jagniątka są moje – powiedział. Jego oddech śmierdział – był to kwaśny odór przetrawionego piwa, ostra woń czosnku i paskudny smród zepsutych zębów.

Zamachnął się pięścią wielkości półtorakilogramowej szynki, by uderzyć Molly w twarz.

Odwróciła głowę. Cios prawie ominął ją, jedynie kostka jego kciuka trafiła w chrząstkę ucha i cały impet poszedł w dywan na podłodze.

Oboje zawyli z bólu i było jasne, że Molly nie uda się uniknąć następnego ciosu. Złamie jej nos, pogruchocze kości policzkowe, zatłucze na śmierć.

Był półtora raza większy od niej i nie potrafiła zrzucić go z siebie, zanim więc zdążył ją ponownie uderzyć, uniosła głowę i ugryzła go w twarz. Chciała złapać go zębami za gardło, ale nie mogła sięgnąć, musiała unieść głowę wyżej.

Dolne zęby wbiła w jego podbródek, górne w zdrowy policzek.

Zawył i uniósł tułów, ale Molly trzymała jak terier. Walił ją po barkach, w głowę, chaotycznie, w panice, lecz ona nie puszczała.

Uniósł się jeszcze wyżej, wystarczająco wysoko, więc rozluźniła szczęki i odepchnęła go na bok, odrzuciła od siebie.

Brutał, zaskoczony brutalnością, która została skierowana przeciwko niemu, odtoczył się na bok i zakrył poszarpaną twarz dłońmi, z pojękiwaniem i niewiarą badając swoje obrażenia.

Molly wypluła krew, z trudem powstrzymując odruch wymiotny, znów wypluła i zanim zaczerpnęła powietrza, złapała latarkę i wstała.

Miała tylko kilka sekund – trzy lub cztery. Jego szok potrwa krótko, potem nadejdzie wściekłość, a zemsta będzie bezlitosna.

„Jagniątka”, powiedział. „Jagniątka są moje”. W pokoju, do którego wbiegł Virgil, musiało być więcej dzieci. „Moje ofiary”, powiedział.

W zranionym uchu Molly dzwoniły nieistniejące dzwony, niemal zmiażdżona chrząstka kłuła jak szkło.

Gdzieś tu jest pistolet. Musiała go znaleźć. To jej jedyna nadzieja.

Dywan, rozpryski krwi, dywan, brudne ślady stóp, monety, które być może wypadły napastnikowi z kieszeni, wszystko, tylko nie pistolet.

Klnąc bełkotliwym głosem, przy każdym słowie wciągając ze świstem powietrze przez przegryziony policzek, mężczyzna zaczął się gramolić z podłogi.

Z nadzieją, że zyska czas na znalezienie pistoletu, Molly kopnęła go, celując w głowę, nie trafiła jednak. Złapał ją za stopę, niemal przewrócił, ale się wyrwała.

Dywan, dywan, krwawy skrzep, kolejne monety, dywan, ręcznie robiony papieros – zielsko, skręcone na obu końcach – dywan, nie ma broni, nie ma broni. Facet mógł upaść na pistolet.

Nie było już czasu. Pobiegła do najbliższego pokoju, walcząc z cieniami światłem latarki, zatrzasnęła za sobą drzwi, zaczęła szukać zamka – oby jakiś był! – i znalazła tylko haczyk.

Mężczyzna potężnie załomotał w drzwi, potrząsnął gałką. Za chwilę kopnie. Haczyk był słaby. Nie wytrzyma.

Mandolina, flet, tamburyn i rożek francuski na ostrokrzewie, otoczone wstążkami, stanowiły haftowany motyw na oparciu prostego krzesła, stojącego po lewej stronie drzwi.

Mężczyzna kopnął w drzwi. Haczyk brzdęknął, ale nie puścił, choć kolejne kopnięcie na pewno by to spowodowało.

Molly podparła drzwi krzesłem.

Kolejne kopnięcie wyrwało haczyk, ale krzesło zapobiegło otwarciu drzwi, powstrzymało także trzeciego kopniaka – solidna stolarska robota oparła się brutalności, jak powinno być w porządnym świecie.

Mężczyzna znów zaklął i walnął w drzwi pięścią.

–Wrócę po ciebie. Wrócę, kiedy skończę z moimi jagniątkami.

Może naprawdę odszedł.

Niezależnie od tego czy odszedł, czy czekał pod drzwiami, był zwykłym człowiekiem, nie stworem z innej planety. Nie potrafił przepłynąć przez zamknięte drzwi.

Wyszła z licznych spotkań z nieziemskimi i niewyobrażalnymi zagrożeniami bez szwanku, a zranił ją zwykły człowiek. Było w tym fakcie coś istotnego, co jedynie niejasno wyczuwała, ale nie umiała tego określić i po raz kolejny czuła, że stoi na progu objawienia, odkrycia czegoś niezwykle ważnego.

Nie mogła bawić się w układanie kolejnych elementów puzzla, na które skierowała jej uwagę intuicja. Wymagało to czasu i spokoju, a ona nie miała ani tego, ani tego.

Rzezimieszek, którego ugryzła, powiedział, że „jagniątko”, dzieci, to jego „ofiary”. Czemu i komu miały zostać złożone, na jakim ołtarzu, w jakim celu – wszystko to nie miało znaczenia, liczył się tylko jego zamiar i konieczność powstrzymania go.

Zranione ucho bolało, ale już nie dzwoniło. Słyszała dostatecznie dobrze.

Jedynym słyszalnym odgłosem był nieustanny ruch w ścianach, szelest i ocieranie się ciała o ciało. Szeleszcząca chmara nic nie mówiła.

Molly wstrząsnęły fale mdłości. Dostała ślinotoku. Czuła jeszcze w ustach smak krwi, więc zamiast przełknąć, wypluła. Po chwili splunęła jeszcze raz.

Pierwszą rzeczą, jaką ujrzała, gdy odwróciła się od drzwi i zaczęła badać otoczenie

światłem latarki, była wbita w bok wysokiej szafki siekiera. Krew na ostrzu, krew na stylisku.

Czując podchodzącą do gardła kolejną falę mdłości, nie miała ochoty patrzeć dalej, ale musiała to zrobić i zrobiła.

Była w gabinecie, dwa okna wyglądały na zaduszone przez mech drzewa, oświetlane purpurowym południowym światłem. Drzwi do łazienki obok były otwarte.

Pomieszczenie, w którym Molly się znajdowała, dzieliły z nią dwa poćwiartowane ciała – mężczyzny na podłodze, kobiety w fotelu. Molly uodporniła się na podobne widoki, ale nie patrzyła na to zbyt długo.

Zdjęcia na ścianie za biurkiem wskazywały, że są to ciała rodziców dzieci, zamkniętych w pomieszczeniu przy schodach. Na zdjęciach było dwoje kilkulatków: piegowaty chłopiec i starsza od niego dziewczynka z czarnymi włosami i obciętą na Kleopatę grzywką.

Ponieważ mężczyzny z blizną nie było na zdjęciach, musiał być intruzem. Michael Render na pewno nie był jedynym socjopatą, który skwapliwie skorzystał z chaosu rozpadającej się cywilizacji.

„Ofiary”.

Zaczęła przeszukiwać szuflady biurka w poszukiwaniu broni. Miała nadzieję znaleźć rewolwer albo pistolet, znalazła jednak tylko nożyczki.

–Rzuć je – powiedział za jej plecami mężczyzna z blizną i przystawił jej do karku lufę pistoletu, najprawdopodobniej jej własnej dziewiątki.

Krzeseł nadal podierało gałkę drzwi, ale zabójca nie przeniknął przez żadną ścianę.

Łazienka była wspólna dla gabinetu i salonu. Intruz przebywał w domu wystarczająco długo, aby zapoznać się z jego topografią.

Mimo rozkazu Molly nie od razu rzuciła nożyczki. Bujna wyobraźnia natychmiast podsunęła jej scenariusz gwałtu i tortur, który wart był ryzyka odwrócenia się, wbicia przeciwnikowi nożyczek w brzuch i uchylenia się przed strzałem.

Nie znała jednak przyszłości i nie mogła w swoich działaniach kierować się strachem przed nią. Przeszłość i przyszłość tak samo nie podlegają wykupowi, a jedyną chwilą przynoszącą konsekwencje jest teraźniejszość, chwila, w której odbywa się życie i dokonywane są wybory.

Nożyczki zaklekotały o blat biurka.

Mężczyzna przesunął wylot lufy na krtań Molly, objął ją ramieniem i zaczął obmacywać jej piersi, brutalnie je ściskając, nie kierowała nim jednak żądza, ale chęć sprawienia bólu.

–Lubisz gryźć, co? – Przedziurawiony policzek dziwnie zmieniał mu głos. Jego oddech śmierdział tak samo paskudnie jak przedtem, ale teraz doszedł jeszcze zapach krwi. – Jadasz jagnięcinę?

Gdyby zaczęła krzyczeć, Neil natychmiast by tu przybiegł, ale musiałby zostawić sześcioro dzieci na ulicy, ochraniane jedynie przez psy, do których Molly nie miała teraz zaufania.

–Jadasz jagnięcinę? – powtórzył, ściskając ją z takim okrucieństwem, że niemal krzyknęła z bólu.

–Nie. Nie lubię.

–Zasmakujesz. Zabiorę cię do tamtego pokoju, weźmiemy moje dwa jagniątko i będę patrzył, jak wgryzasz się w ich delikatne ciała.

Nieznane istoty w ścianach i w suficie zaterkotały wściekle.

–Im mocniej mnie ugryziesz, im śmieszniejsze miejsca wymyślisz, aby mnie tam ugryźć, tym większa szansa, że puszcze cię żywą.

Walcząc o czas, choć spodziewała się, że odpowiedź będzie szalona albo przynajmniej nic nieznacząca, Molly spytała:

–Ofiary... nazwałeś dzieci ofiarami. Dla kogo?

–Chcą dzieci, chcą je bardziej niż czeokolwiek, ale nie mogą ich tknąć.

–Kto?

–Ci, co teraz rządzą światem.

–Dlaczego nie mogą tknąć dzieci?

–Nic nie wiesz? Dzieciaki nie są do przesiania. Ale ich reguły mnie nie dotyczą. Jeśli załatwię dzieciaki, będą dla mnie dobrzy.

Molly czuła się jak niewidomy, czytający napisany alfabetem Braille'a tekst, w którym poopuszczano losowo część wypukłości. Tuż za horyzontem majaczyło coś ważnego.

Mężczyzna cofnął ramię, którym ją obejmował, wbił jej jednak pistolet mocniej w szyję, tuż pod stawem żuchwowym.

–Weźmiesz latarkę z biurka i spokojnie pójdziesz ze mną.

Niczego nie próbuj, bo odstrzelę ci tę ładną główkę.

Mętny dzień za oknami pojaśniał. W dół spływała zimna, biała radiacja, wypłukując purpurę z powietrza.

Molly rozpoznała to światło. Nad domem musiał się unosić jeden z bezgłośnych, jarzących się statków.

Tak samo jak przedtem, czuła się wnikliwie obserwowana i dokładnie badana, a nawet bardziej niż badana: czuła, że jest poznawana do głębi serca, ciała i umysłu, poznawana z przerażającą dokładnością.

Jej oprawca czuł najwyraźniej to samo, bo zeszywniał i odsunął się od okna, pociągając Molly za sobą.

–Co to za gówno?

Strach rozkojarzył go, a kiedy nacisk lufy na szyi osłabł, Molly wiedziała, że nadszedł czas działania. Była w doskonałej formie, jak rzadko dotychczas – wszystko jasno widziała, szybko myślała, cała jej przeszłość i nadzieje na przyszłość skupiły się w jednym nieruchomym momencie o nazwie „teraz”.

Złapała leżące na biurku nożyczki i równocześnie odsunęła się od mężczyzny. Usłyszała podwójny trzask mechanizmu spustowego, ale nie było wystrzału.

Odwróciła się do napastnika. Wylot lufy pistoletu znajdował się trzydzieści centymetrów od jej twarzy. Wielki, ciemny. Mężczyzna ponownie pociągnął za spust. Pistolet nie wypalił.

Bezlitośnie jak przecinający linię życia los dziabnęła go nożyczkami w dłoń. Wrzasnął i wypuścił pistolet.

Rzuciła w niego nożyczkami, pochyliła się i podniosła pistolet.

Kiedy się wyprostowała, zaczął wyciągać do niej rękę. Pociągnęła za spust i broń stanęła w jej rękach dęba.

Został ofiarą, jaką chciał zrobić z dzieci. Pocisk znalazł jego serce z taką precyzją, że zanim zrobił zdziwioną minę i upadł na podłogę, już był stygnącym trupem.

Dwa niewypały oraz jej idealnie wycelowany strzał nie mogły być serią zbiegów okoliczności, a broń nie była niesprawna. Jakaś siła pomagała Molly, jakiś niezwykły czynnik.

Dygoczący pod tynkiem ul zamilkł.

Wpadająca przez okno poświata, płynąca od zawieszzonego w powietrzu UFO, bezlitośnie oświetlała pełną ciał rzeźnię. Molly wzięła z biurka latarkę i przeszła przez łazienkę do pokoju obok.

Wysokie okno w kabinie prysznicowej pozwalało wpadać światłu, które ukazało w lustrze postać Molly – oraz jeszcze jedną postać, osobę nieobecną w pokoju. Mignęła przez sekundę, Molly zatrzymała się zaskoczona, by popatrzeć ponownie, ale tym razem ujrzała już tylko samą siebie.

Nie wiedziała, czyjej matka, Thalia, którą ujrzała w lustrze, faktycznie tu była, czy też obraz był tylko efemerycznym wyrazem jej życzeń, halucynacją, może nawet pierwszym zwiastunem szaleństwa.

Najchętniej by tu została i dokładnie przyjrzała się lustru, ale potrzebowały jej „jagniątko”, którym udało się uniknąć losu ofiar. Przeszła przez pokój, minęła korytarz, drogę oświetlał jej statek w górze, okna i świetliki dostarczały dość światła.

Kiedy dotarła do drzwi u szczytu schodów, otworzyły się szeroko.

Była to sypialnia dziewczynki. Pluszowe zwierzęta opierały się o wezgłowie obszytego falbankami łóżka. Satynowe zasłony wykończone ząbkowanymi tasiemkami. Plakaty idoli nastolatków na ścianach,

wypolerowani chłopcy o wyglądzie obojnaków. Żabociki i inne duperele.

Zetknięte oparciami dwa krzesła. Siedzieli na nich dziewczynka z grzywką Kleopatry, dziesięcio-, a może jedenastoletnia, i jej piegowaty brat, z nadgarstkami i kostkami unieruchomionymi taśmą samoprzylepną.

Kolonia grzybów – białych kul, bladych pęcherzyków płucnych – kuliła się w kącie. Nad łóżkiem zwisała z sufitu druga kolonia, która wypuściła nogi – grube, ale przypominające owadzie. Poza pęcherzami, które nadymały się i wiotczały, stwory były nieruchome – choć wewnątrz nich mogło kipieć życie.

Na łóżku leżała rolka taśmy i nóż, którym zabójca ją odcinał.

W nadziei, że świecący statek jeszcze trochę będzie się unosił nad domem, oświetlając pokój, dzięki czemu nie musiałyby pracować w obecności grzybów przy świetle latarki, Molly wzięła nóż i zaczęła piłować mocującą dzieci taśmę.

Nazywali się Bradley i Allison i Molly robiła, co mogła, aby je uspokoić oraz przekonać, że muszą jak najszybciej opuścić dom. Kiedy zapytały o rodziców,

skłamała.

Uratowanie wszystkich dzieci mogło się okazać łatwiejsze od sprawienia, aby pogodziły się z przyszłością, opartą na osobistej tragedii i straszliwej destrukcji.

Odsunęła od siebie te rozważania. Aby optymalnie działać, musiała żyć tu i teraz, a żeby dać dzieciom nadzieję i wyciągnąć je z rozpacz, odwieść od myślenia o tym, co stracone na zawsze, musiała nauczyć je żyć w teraźniejszości.

Dopiero teraz dotarło do niej, że o ile do tej pory nie potrafiła dostrzec niczego, co pozwalałoby mieć nadzieję na jakąś przyszłość, to od chwili przejścia progu tego domu w którymś momencie pojawiło się w niej przekonanie, że przetrwają. Zdawała sobie sprawę z części przyczyn tej zmiany postawy – najwyraźniej jej podświadomość dostrzegła pewne powody do optymizmu, choć jeszcze nie zamierzała się z nią nimi dzielić.

Ponieważ Bradley był młodszy i bardziej przestraszony od siostry, uwolniła go jako pierwszego i poprosiła, aby trzymał się blisko Virgila. Ostatnie wydarzenia sprawiły, że odzyskała nieco zaufania do psa.

Kiedy skończyła uwalniać Allison, usłyszała mokry, zdecydowanie organiczny dźwięk i spojrzała w górę. Skóra jednego z okrągłych grzybów w zwisającej z sufitu kolonii, stwora o wielkości mniej więcej melona, zaczęła się zsuwać – tak jak powieka zsuwa się z gałki ocznej. Pod nią znajdowała się ludzka twarz.

Ze wszystkich niemożliwych i groteskowych rzeczy, jakie Molly widziała od chwili spotkania z kojotami na werandzie, to było najdziwniejsze, najmniej zrozumiałe, najbardziej niepokojące. Mimo obrzydzenia nie mogła odwrócić wzroku.

Dokładniejsze przyjrzenie się pozwalało stwierdzić, że obraz jest dwuwymiarowy. Powierzchnia kuli pod „powiekami” była gładka, zakrzywiona i przezroczysta, a ludzka twarz zdawała się pływać w niej jak przedmioty zamknięte w bożonarodzeniowej kuli.

Była to twarz mężczyzny o błękitnych oczach i jasnych wąsach. Jego wzrok skierował się na Molly, jakby mógł ją widzieć. Twarz wyrażała cierpienie i błaganie, mężczyzna zdawał się wołać, nie słychać było jednak żadnego dźwięku.

Po chwili odsunęła się biała membrana drugiego grzyba w kolonii, ukazując kolejną uwięzioną w kuli twarz: krzyczącą, straszliwie udręczoną kobietę. Także jej krzyki były bezgłośnie.

Nie były to prawdziwe twarze, ale obserwując je w osłupieniu, Molly podejrzewała – i coraz bardziej się w tym upewniała – że każda reprezentowała indywidualną ludzką świadomość, umysł i pamięć kogoś, kto kiedyś naprawdę żył. W chwili śmierci ludzie

ci zostali pozbawieni ciał i jakimś sposobem uwięzieni w tych ohydnych stworach.

Każda kolonia białych grzybów była czymś w rodzaju organicznego więzienia, w którym przetrzymywane były jaźnie ludzi zamordowanych przez nowych panów Ziemi. Dokładniej biorąc, kolonie

grzybów mogły być systemami przechowywania danych, w których zebrano ludzkie umysły, kompletne pod każdym względem – z pamięcią, funkcjami poznawczymi i osobowością.

Walące serce Molly zaciskało się i kurczyło w klatce piersiowej, jakby te myśli sprawiły, że zaczęło umierać.

Odsunęły się kolejne „powieki”, ukazując następne twarze – nie tylko w kolonii, która oblepiła sufit, ale także w tej w kącie – a sposób, w jaki patrzyły na nią i na dzieci, ich wykrzywione rysy upewniły Molly, że mimo iż przebywają w więzieniu, są świadome. Świadome, czujne i zdesperowane, niektóre bliskie obłędu z powodu tego, co się z nimi stało.

Virgil ruszył na korytarz.

Chcąc oszczędzić dzieciom dalszego widoku tych okropności, Molly popchnęła je za psem.

W drzwiach odwróciła się i w tym momencie z kolejnej kuli zsunęła się kolejna „powieka”, ukazując twarz mężczyzny z blizną, którego zastrzeliła nie więcej niż dwie, trzy minuty wcześniej. Jego wzrok wbił się w Molly, a rysy wykrzywiła nienawiść.

Nagle twarze się udźwiękowiły i rozległa się jazgotliwa kakofonia płaczu, jęków, krzyków, błagań o pomoc, wrzasków wściekłości, przekleństw i wybuchów szaleńczego śmiechu.

Kiedy Molly biegła za dziećmi schodami w dół, świecący statek ruszył dalej, zamieniając okna domu w mętną purpurę i zanurzając jego wnętrze w mroku.

Neil chciał obejrzeć jej pokryte skorupą krwi ucho, Molly uparła się jednak, że muszą iść dalej. Virgil już ruszył przed siebie, szedł na wschód, w kierunku, z którego przyszli.

Tym razem dzieci – w sumie ósemka – szły na czele kolumny, zaraz za psem, a Neil i Molly podążali za nimi, ostrożnie, ale nie poddając się panice.

–Myślę, że musimy chronić dzieci tylko przed ludźmi – powiedziała Molly. – Zwykłymi ludźmi, zrodzonymi z mężczyzny i kobiety. Złymi i chorymi. Obcy i wszystko, co przybyło z ich świata... pozostawi je w spokoju.

–Skąd wiesz?

–„Dzieciaki nie są do przesiania” – zacytowała mężczyznę z blizną.

–Słucham?

–To, co się działo w tym domu, kazało mi spojrzeć na wszystko z innej perspektywy. Opowiem ci później. Najważniejsze, że dzieci są nietykalne.

–Dlaczego?

–Nie wiem dokładnie, ale próbuję dorobić do tego wszystkiego jakąś teorię. Myślę też, że... ci, którzy szukają dzieci, również są nietykalni.

–Coś z pewnością dotknęło twojego ucha.

–Nie Obcy... Zrobił to człowiek, psychol, który zabił rodziców Bradleya i Allison i zamierzał zabić także ich oboje.

–Zdawało mi się, że słyszałem strzał. Był jednak stłumiony i nie miałem pewności. Prawie wszedłem do środka.

–W tym momencie było już po wszystkim.

Popatrzył na nią wzrokiem, w którym było coś więcej niż

zdziwienie, może zachwyty.

–Zazwyczaj tylko pisałaś książki.

–Naprawdę? Chyba bardzo dawno temu.

Owczarek prowadził ich do niewielkiego centrum Black Lake.

Drzewa obwieszały welony czarniawego mchu, niektóre z nich już zadusiły. Mech zaczął też obrastać domy – jego frędzle zwisały z rynien, z parapetów.

–A więc ratujemy je czy jesteśmy żniwiarzami? – spytał Neil.

–Chyba ratujemy. Nabrałam też znowu zaufania do psów.

Po dachach domów i daszkach werand przemykały szybkie ciemne postacie, znikwały we mgle i wychodziły z niej, skakały z budynku na budynek. Były wielkości małp, żwawe jak makaki albo kapucynki, nie miały jednak w sobie nic z małpiego rozigrania. Ich łby były za duże w stosunku do korpusów, pokrytych nie włosiem, lecz łuską, a asymetryczne mordy wglądały z daleka, jakby zostały nadtopione przez ogień. Dłońmi o tej samej liczbie palców jak u ludzi i małp – choć z większą liczbą członów – szarpały własne ciała, jakby coś je dręczyło, a jedynym dźwiękiem, jaki z siebie wydawały, było coś, co przypominało okrutny chichot.

Wszędzie rosły grzyby: na trawnikach w parkach, na rabatach i w skrzynkach z kwiatami. Wyrastały z pęknięć w chodnikach, ze ścian wykończonych deskami i drewnianym gontem. Nie wszystkie były

bladobiałe albo czarne z żółtymi plamkami -miały przeróżne kształty i barwy, nie była to jednak bajkowa panorama, lecz fantasmagoryczna pustynia stale imitujących kształtów w złanych potem sennych wędrówkach ćpuna, który przedawkował.

–Zastanawiam się, czy nie popełniliśmy błędu, zakładając, że ci Obcy to jednorodna społeczność, rój realizujący jedno zadanie, kierujący się wspólnym celem – powiedziała Molly.

–Może masz rację.

–Tak, ale jest w tym coś z przetwarzania danych: jeśli wprowadzi się błędne koncepcje, nie otrzyma się prawidłowego wyniku. Mogą wśród nich być różne frakcje – jak u ludzi. Może któraś z nich nie całkiem wierzy w sens całkowitej likwidacji innego gatunku i jego cywilizacji.

–Jeśli tak, jest w mniejszości, a sądząc po tym, co dotychczas się działo, nie ma zbyt wielkiej siły przebicia.

–Poza tym, że może wywalczyła to, że nie będą likwidować dzieci.

–Ale w dalszym ciągu zabierają nam nasz świat. Jak ktoś... zwłaszcza dziecko... ma przeżyć w tym szalonym ekosystemie?

Molly zmarszczyła czoło.

–Nie ma takiej możliwości. A już na pewno nie z nadzieją ani perspektywą szczęścia. Coś jednak w tym wszystkim źle rozumiemy i cały czas staram się to rozgryźć.

Virgil zaprowadził ich do banku. Minionej nocy, podczas dyskusji w restauracji, Neil polecał go jako miejsce najbardziej nadające się do ufortyfikowania i obrony, zakładał bowiem, że istnieje możliwość sensownej obrony i warto utworzyć ostatni bastion.

Z początku Molly przypuszczała, że to już koniec ich misji. Sądziła, że zatrzymają się tu, dołączą do tych, którzy postanowili walczyć i przygotować się na nadejście śmierci, a kiedy nadejdzie, spojrzą jej w twarz z całą godnością i odwagą, na jaką ich stać.

Przed wejściem do banku nie zobaczyli jednak straży. Zastłony były opuszczone i nie wyglądało na to, aby ktoś pilnował budynku w środku.

–Coś mi tu nie pasuje – powiedział Neil. – Coś się stało.

–A w środku jest pięcioro dzieci. Ich zadanie nie było jeszcze skończone.59

Jeżeli dzieci z jakiegoś powodu były chronione przed przemocą, będą bezpieczne na ulicy pod nadzorem psów i Neil mógłby towarzyszyć Molly w banku.

Ale to, że miały zostać oszczędzone, było jedynie teorią – nawet jeśli popartą robiącymi wrażenie dowodami. Mając tylko teorię, Molly nie mogła sobie pozwolić na pozostawienie ich bez dorosłego strażnika.

Neil uparł się, że jeżeli któreś z nich ma iść teraz samo, powinien to być on, Virgil jednak nie przyjął tego z entuzjazmem. Nie chciał mu towarzyszyć. Usiadł na chodniku przed bankiem i zatarasował sobą wejście.

Neil sięgnął nad nim, aby otworzyć drzwi, ale były zamknięte.

Kiedy Molly się zbliżyła, owczarek wstał i pomachał ogonem. Złapała za klamkę i drzwi otworzyły się, zanim ich dotknęła.

Tak jak poprzednio podczas tej wędrówki przez piekło, zdawały się ukrywać jakiś zamiar.

Neil objął Molly, pocałował ją i wrócił do dzieci i psów.

Zanim dotarli do banku, Molly wyjęła magazynek z pistoletu i

doładowała go. Dziesięć pocisków czekało gotowych do strzału, w kieszeni spodni miała kilka zapasowych.

Jedyny bank w Black Lake – zbudowany w 1936 roku, kiedy lokujących pieniądze ludzi trzeba było uspokajać wspaniałym wyglądem instytucji finansowej – nie miał się co mierzyć z większymi bankami z tego okresu w dużych miastach, ale również robił wrażenie. Marmurowe podłogi. Sześć marmurowych kolumn. Wyłożone marmurem ściany. Otoczenie okienek kasowych z ozdobionego ornamentami brązu z polerowanymi żłobkowaniami i niklowanymi elementami.

Hol, kasy i otwartą przestrzeń z biurkami obsługi, znajdującymi się za marmurową balustradą, oświetlały gazowe latarnie Colemana, syczące cicho jak śpiące węże.

Molly zgasila latarkę i wetknęła ją za dzinsy na plecach, aby mieć ręce wolne.

Choć z zamiarem udania się do banku restaurację opuściło ponad dwadzieścioro dorosłych i pięcioro dzieci, w holu było tylko czworo dorosłych – trzech mężczyzn i kobieta. Stali obok siebie w szeregu, plecami do wejścia, twarzami do okienek kas.

Kiedy Molly weszła, nie odwrócili się, co wydawało się dziwne, bo drzwi zaskrzypiały, a o podłogę zastukały psie pazury, wywołując odbijające się od każdej marmurowej powierzchni echo.

Molly rozpoznała wśród nich tylko jedną osobę – Vince'a Hoyta, nauczyciela historii i trenera drużyny futbolowej.

–Vince?

Nie odwrócił się.

–Wszystko w porządku?

Nikt nie dał znaku, że słyszy.

Molly popatrzyła na Virgila. Zatrzymał się i spojrzał na Molly

poważnym wzrokiem, czekając na polecenie. Kiedy zaczęła podchodzić do czwórki ludzi, dziwne wydało jej się, że bardzo sztywno stoją, wysoko unosząc głowy i barki, jakby wybierali się na paradę – ale ramiona zwisały im bezwładnie po bokach.

–Co się dzieje? – spytała, kiedy jednak obeszła ich od przodu, sprawa stała się jasna. Nie mieli twarzy.

Ujrzała to, o czym mówiła Cassie: ludzi bez oczu, nosów, ust, każda twarz od ucha do ucha i od nasady włosów po podbródek była gładka, pozbawiona rysów, miała kolor bladej gliny i błyszczała jak wypalona ceramika.

Powinni być martwi, bo przecież nie mogli oddychać.

Choć ich klatki piersiowe nie unosiły się i nie opadały wraz z wdechem i wydechem, od czasu do czasu kulili się, a kiedy przełykali, ich krtanie poruszały się. Za każdym razem ręce, choć bezwładnie zwisające, drżały.

Byli tak przerażeni, że niemal dało się wyczuć zapach ich strachu. Nie mieli twarzy, ale w dalszym ciągu żyli – i bardzo się bali.

Gdzieś w banku znajdowało się pięcioro bezbronnych dzieci i bez wątpienia był z nimi stwór z twarzami w dłoniach. Ponieważ stwory były omnipotentne, z pewnością domyśliły się, że Molly zjawiała się w banku.

Virgil w dalszym ciągu nie chciał prowadzić, ale choć po jego bokach przebiegały wyraźne drżenia, stał odważnie u boku Molly.

Otworzyła niską brązową bramkę pomieszczenia kasowego i weszła do królestwa pieniędzy, choć pieniądze nie miały już najmniejszego znaczenia.

Z tyłu przestrzeń dla kasjerów była oddzielona kolejną barierką od korytarza. Molly otworzyła ją i wypuściła Virgila z boksu.

W równych odstępach stały tu trzy lampy gazowe Colemana. Poza gazem, syczącym pod osłonami, nic nie zakłócało ciszy.

Podłogę korytarza wyłożono dywanem i pies poruszał się bezgłośnie.

We wschodniej ścianie było pięcioro drzwi, w zachodniej troje. W górnej połowie wszystkie miały okienka z matowego szkła. Na niektórych znajdowały się tabliczki z nazwiskami pracowników banku. Na kilku napisano: TOALETA. Dwoje drzwi nie miało oznakowania.

Wejście do sejfów znajdowało się na końcu korytarza. Masywne, okrągłe stalowe drzwi, osadzone w stalowej płycie i zamykane stalowymi ryglami o grubości ośmiu centymetrów, były otwarte.

Pokoi za drzwiami z matowym szkłem nie rozjaśniało żadne światło. Molly przez chwilę zastanawiała się, czy ich nie sprawdzić, ale posłuchała intuicji i minęła

wszystkie.

Słyszała słowa Cassie: „Mogą zabrać ci twarz i trzymać ją w rękach, i pokazać ci ją, mają też inne twarze”...

W sejfie paliła się przynajmniej jedna lampa. Tuż za głębokim architravem nie było nikogo widać.

...,i gnieść je w palcach i sprawiać, żeby krzyczały”.

Pięć metrów od drzwi sejfu Molly poczuła w umyśle i w szpiku kości, we krwi i w ścięgnach powrót lecącego lewiatana. Nadlatywał z północno-północnego wschodu, zdawał się prasować powietrze pod sobą i Molly miała wrażenie, że jest nurkiem, tkwiącym głęboko w morskiej otchłani z potężnym ciężarem morza na ramionach.

Kilka kroków od sejfu usłyszała plusk i kiedy się odwróciła, okazało się, że Virgil obsikuje ścianę. Gdy opróżnił pęcherz, podszedł do niej z podkulonym ogonem, drżący, ale w bojowym nastroju.

–Dobry pies – powiedziała. – Odważny pies.

Tuż przed wejściem do skarbca strach kazał jej zrobić przerwę. Usta miała gorące i suche, dłonie zimne i wilgotne. Rękojeść pistoletu była śliska od potu. Spróbowała zagryźć usta, aby powstrzymać drżenie, ale zęby szczękały jej przez chwilę jak kastaniety.

Podeszła w końcu do mającego metr głębokości stalowego obramowania drzwi. Zobaczyła, że znajdująca się kawałek dalej krata jest otwarta.

Za niewielkim westybulem był prostokątny pokój ze skrytkami depozytowymi. Paliła się tam lampa, ale pomieszczenie okazało się puste.

Osadzone w stalowej ościeżnicy drzwi z prawej strony były uchylone. Padające zza nich światło zapraszało do środka.

Nawet tu, w sejfie, czuło się rytmiczne pulsowanie wielkich silników wielkiego jak góra statku, przelatującego nad miastem.

Molly weszła do sejfu. Z lewej strony znajdowało się pomieszczenie, w którym przechowywano pieniądze – półki pełne gotówki, monet i ksiąg.

Tu także zapędzono dzieci – siedziały na podłodze, plecami do ściany, przerażone, ale żywe. Tu także – jak należało się spodziewać – był Michael Render, jej ojciec.

W jej klasie, dwadzieścia pięć lat temu, Render zabił pięcioro dzieci, a teraz zagrożonych było kolejnych pięcioro.

–Magiczna liczba, co? – powiedział, jakby czytał w jej myślach.

Wydawało się, że ściany sejfów odbijają jego głos metalicznymi echemi, tłumią go jednak, ściszały. Choć jego słowa były drwiące, brzmiał jak właściciel zakładu pogrzebowego, szepczący ze względu na szacunek dla zmarłego.

Molly trzymała broń oburącz, wycelowaną prosto w jego przystojną twarz.

–Zabieram je stąd.

–Martwe może tak.

–Nikt nie zginie poza tobą. Jeśli dojdzie co do czego.

–Jeśli dojdzie co do czego... – powtórzył drwiąco. – Masz zbyt namącone w głowie, aby dokonywać prawidłowych wyborów moralnych, droga Molly. Powinnaś zastrzelić mnie w restauracji, ale pozwoliłaś mi odejść. Wiesz, jakie okropności mogłem popełnić?

Pokręciła głową.

–Nie doceniasz mnie.

Dygocząc, z podkulonym ogonem, Virgil prześlizgnął się obok Rendera, aby dołączyć do dzieci.

Render ułożył usta w swój zabójczy uśmiech, tak ciepły i intensywny, że omamił jej matkę i skłonił ją do małżeństwa.

–Jak nazywa się zabójstwo własnego ojca? Chyba ojcobójstwo.

–Nie mam ojca.

–Wmawiasz sobie, że go nie masz. Przecież dobrze wiesz, że przyszedłem tamtego dnia do twojej szkoły, ponieważ cię kochałem i nie chciałem cię stracić.

–Nigdy nie kochałeś nikogo poza sobą.

–Tak bardzo cię kochałem, że aby cię zdobyć, zabiłem, zabijałem każdego, kto stanął mi na drodze, tylko po to, aby mieć okazję wychować cię tak, jak powinien dobry ojciec.

Zrobił krok w jej kierunku.

–Nie podchodź – ostrzegła. – Pamiętaj, że tamtego dnia dwa razy cię postrzeliłam.

–Do tego w plecy. Tyle że wtedy byłaś niewinna i mniej świadoma złożoności zła i dobra.

Zrobił kolejny krok i wyciągnął do niej rękę, wnętrzem dłoni ku górze, jakby prosił o kontakt emocjonalny. Cofnęła się. Podchodził dalej.

–Obejmij tatusia, usiądźmy i porozmawiajmy o tym wszystkim.

Molly wycofała się na otwartą przestrzeń między pomieszczeniem z pieniędzmi a przedsionkiem. Mogła wycofywać się dalej, tylko wychodząc z sejfu – i zostawiając Render’a z dziećmi.

Cały czas szedł z wyciągniętą do przodu dłonią.

–Twoja matka zawsze wierzyła w siłę miłości, mądrość dyskusji. Mówiła, że przy dobrej woli, dzięki kompromisowi, da się osiągnąć wszystko. Nie nauczyła cię tego, Molly?

Strzeliła mu w pierś. Sejf nie stłumił wystrzału, ale rozdzwierał się wraz z nim, jakby znajdowali się w wielkim dzwonie.

Dzieci zaczęły krzyczeć. Molly kątem oka dostrzegła, że jedne zakryły uszy rękami, inne zasłoniły oczy.

Pocisk wstrząsnął Renderem. Jego oczy rozszerzyły się. Uśmiechnął się.

Strzeliła znowu, potem trzeci raz i czwarty, ale nie padał na podłogę. Cztery pociski uderzyły go w pierś, nie poleciała jednak krew.

Opuściła broń.

–Już byłeś martwy. Byłeś martwy, kiedy przyszedłeś do restauracji.

–Kiedy wszystko zaczęło się rozpadać, kilku strażników postanowiło nas wypuścić. Z litości, ze współczucia, nie chcieli zostawiać nas w klatkach jak zwierzęta, abyśmy umarli z głodu albo i gorzej. Dwóch nie zamierzało do tego dopuścić i przed wyjściem do domu zastrzelili nas wszystkich w celach.

Nie stał przed nią ojciec, lecz jego podobizna o zdumiewającej wierności szczegółów. Po chwili zaczęła się zmieniać i z powrotem stawać tym, czym naprawdę była: czarnym, nakrapianym szaro stworem z twarzą, która wyglądała, jakby była źle naprawiona po implozji. Wielkie jak cytryny, wypukłe, ciemnoczerwone oczy z eliptycznymi czarnymi źrenicami. Ramiona nastroszone spiczastymi kostnymi wyrostkami, po bokach złożone skórzaste skrzydła.

Molly wiedziała, że stoi przed księciem z innej planety, przedstawicielem gatunku, który przybył opanować Ziemię.

Kiedy pokazał jej swoje wielkie szponiaste dłonie, zobaczyła, że w każdej ma twarz. W odróżnieniu od twarzy w grzybach te były trójwymiarowe i wyglądały jeszcze realniej, jeszcze bardziej niepokojąco. W lewej dłoni była twarz Michaela Rendera, w prawej Vince'a Hoyta, trenera drużyny futbolowej, który stał teraz bez twarzy w holu sali bankowej.

Obcy zamknął potężne dłonie i z wnętrza zaciśniętych palców doleciały agonalne wrzaski jej ojca i Vince'a Hoyta.

Kiedy ponownie otworzył dłonie, twarze się zmieniły – w lewej była twarz znanego polityka, w prawej znanej aktorki. Gdy je miażdżył, również zaczęły wyć.

Molly poczuła się tak, jakby nic nie ważyła, jak czasami czujemy się we śnie, jakby mogła wylecieć z tego pomieszczenia i pofrunąć do innej przestrzeni sennego koszmaru.

Usta stwora były poszarpane jak rana, a kiedy się odezwał, ukazały się zęby podobne do potłuczonego szkła.

–Pozwolę ci zachować twarz i wyjść stąd z czterema z jagniąt. Tylko z czterema. Wybierz jedno, które chcesz zostawić.

Z sercem walącym tak mocno, że całe jej ciało dygotało, a pistolet skakał w drżącej dłoni, Molly popatrzyła na piątkę dzieci, które również usłyszały ofertę stwora. Prędzej zginie, niż zostawi choć jedno z nich.

Spojrzała w karmazynowe ślepie i choć pochodziły z innej rzeczywistości, zobaczyła, co się w nich kryje, i zrozumiała prawdę. Tak jak chodzące zwłoki Harry'ego Corrigan, jak Derek Sawtelle w swojej tweedowej marynarce i ręcznie wiązanej muszce, jak Michael Render, jak gadająca lalka i wędrujące kolonie grzybów, jak niemal wszystko, z czym miała do czynienia od chwili, gdy obudziła się na dźwięk deszczu, także i ten stwór był rzecznikiem rozpacz, chcącym pozbawić ją resztek nadziei.

Wykorzystali krwawą tragedię z jej dzieciństwa, żal z powodu utraty matki zmarłej

na raka, jej najgłębsze lęki, brak wiary w siebie, a nawet miłość do dającej jej zawsze siłę i stanowiącej dla niej inspirację poezji T. S. Eliota, aby zamącić jej w głowie, zaszcześcić w niej czarną rozpacz, która uczyni z niej wydrążonego człowieka, niebędącego w stanie nieść pomocy niewinnym.

W tym, co się wydarzyło, wielu rzeczy jeszcze nie rozumiała, wielu może nigdy nie zrozumie, ale jedno wiedziała na pewno, nawet jeśli nie miała pojęcia, skąd to wie: dopóki zachowa nadzieję, nie będą mogli jej tknąć.

–Nie masz nad nimi ani nade mną władzy. Jestem ich protektorem – oświadczyła Molly, sama zaskoczona ostatnim słowem, nigdy go bowiem nie używała. – Zabieram je stąd. Wszystkie. Natychmiast.

Stwór wyciągnął dłoń ku jej twarzy. Długie szpony sięgały od czubka głowy Molly do jej podbródka, od ucha do ucha, ich dotyk był lodowaty i brudny.

Nie odsunęła się. Nie drgnęła. Nie oddychała.

Stwór cofnął dłoń.

Przez chwilę ją obserwował i choć jego twarz była tak niepodobna do ludzkiej, Molly dostrzegła w niej nienawiść, wściekłość i rozczarowanie.

Jakby nagle stał się nieważki, zaczął się unosić nad podłogą. Po chwili przeniknął przez sufit, może wciągany do kolosalnego statku przelatującego nad Black Lake.

Czwórka ludzi bez twarzy zniknęła z wyłożonego marmurem holu.

Virgil truchtał przodem, a dzieci szły za Molly i po chwili dołączyli do Neila, czekającego na ulicy z całą grupą. Nisko wisząca mgła zaczynała się unosić i rozpraszać.

Przez kłęby purpurowego oparu widać było przelatujący statek matkę. Nisko, tuż nad czubkami drzew. Jego powierzchnia tak różniła się od tego, czego kazały się spodziewać filmy, że Molly stała i w osłupieniu patrzyła w górę, czując, że ogarnia ją przedziwny spokój.

Nie było metalicznego blasku jak w tysiącach filmów, festiwalu świateł jak w *Bliskich spotkaniach trzeciego stopnia*, architektury okrętu wojennego jak w *Gwiezdnych wojnach*, lecz coś, co wydawało się organiczne i nieskończenie obce. Nad ich głowami przelatywał bezgłośnie lewiatan opancerzony chitynowymi płytami, podobnymi do owadzich, miejscami osłonięty łuską, miejscami gładki, blady, delikatny i pulsujący niczym bijące powoli gargantuiczne serce, miejscami naszpikowany szeregami kolców lub rogów, pokryty kraterami czegoś, co wyglądało jak rany lub chorobowe zmiany skórne, oraz wijącymi się węzłami tkanki, przypominającej supły lub macki, obsypanej grubymi warstwami krost.

Ale najbardziej niezwykłą cechą tego *corpus malignus* były ludzkie twarze, rozmieszczone na całej jego powierzchni niczym mrugające oczy, dziesiątki tysięcy twarzy, miliony twarzy, mężczyzn i kobiet wszystkich ras, ukazujące się i chowające pod przesuwanymi się jak powieki membranami.

Leciał i leciał, niewyobrażalnie długi i szeroki, zbyt gigantyczny, aby móc dokładniej określić jego ogrom, o masie i objętości większej niż masa wszystkich statków morskich i napowietrznych, jakie ludzkość zbudowała w całej swej historii, tysiąc razy większej, tysiąc razy tysiąc. Choć jego układ napędowy – oraz urządzenie przeciwdziałające grawitacji ziemskiej – nie wytwarzały ani decybelą dźwięku, lewiatan najwyraźniej przyspieszał, bo kontury na jego powierzchni zaczęły się zamazywać. Przelatywał coraz szybciej i szybciej nad Black Lake, po czym zaczął wsuwać się w rzednącą coraz bardziej mgłę i wkrótce zniknął.

Gdy tylko potężna maszyna zniknęła, bezgłośnie pulsowanie jej silników osłabło, zamieniając się w ciele Molly w fantomy fal przyboju. Zafascynowana lewiatanem, stała jeszcze przez dość długą chwilę, wpatrując się, podobnie jak Neil i dzieci, w purpurową mgłę, aż przemoczyła ich nagła ulewa.

Kiedy zaczęła się burza, schowali się w oświetlonym gazowymi lampami banku, który wydał im się teraz bezpieczny. Przeszukanie pomieszczeń nie ujawniło obecności jakiegokolwiek zagrożenia ze strony ludzi lub czegokolwiek innego.

Strugi wody waliły o ziemię, nie były jednak nawet w połowie tak silne jak podczas niedawnej ulewy. Deszcz nie świecił i pachniał tak, jak powinien pachnieć deszcz – świeżo i czysto.

Ulewa powoli zmywała z nieba mrok i po jakimś czasie dzień za oknami rozjaśnił się, nienaturalny śliwkowo-purpurowy półmrok zamienił się w znajomą szarość jesiennej burzy.

Zanim Obcy zniweczyli plany obrony, zwieziono do banku część zapasów. Molly odkryła mnóstwo paliwa do lamp, które mogło wystarczyć im na wiele tygodni. Neil znalazł koce, kartony mięsa i owoców w puszkach, pudła krakersów, ciastek, cukierków, świeżego chleba i ciast.

Aby zrobić na podłodze wygodne legowiska, rozkładali po trzy koce dla każdego. Jeśli będzie im zimno, ogrzeją ich psy. Czwarty koc, związany sznurkiem, miał służyć za poduszkę.

Gdy dzień zmieniał się w wieczór, miasto zaczął spowijać wodnisty półmrok. Ulice były puste i ciche, tak samo ciche było niebo. Zdziwiająco ciche, biorąc pod uwagę minione wydarzenia. Molly nie ufała tej ciszy.

Kiedy zapadł zmrok, zabrali psy na zewnątrz na ostatni spacer, posprawdzali zamki w oknach, pozasuwali zasuwę i zabarykadowali drzwi meblami. Gdyby Obcy zamierzali wniknąć przez sufity, ściany lub podłogi, nie powstrzymałoby to ich, ale powstrzymałoby bestie pochodzące z ziemskiego ekosystemu.

Molly w dalszym ciągu wierzyła, że dzieci są nietykalne, a oni, jako ich protektorzy, również są nietykalni, wołała jednak niepotrzebnie nie ryzykować. Poza tym po świetle mogli jeszcze krążyć ludzie tacy jak Render, a do ochrony przed nimi mieli jedynie pistolety i strzelby.

Mogli przygotować tylko zimną kolację, ale różnorodność i jakość potraw uczyniła z niej prawdziwą ucztę. Siedzieli w kręgu na oświetlanej latarniami podłodze – trzynaścioro dzieci i dwoje dorosłych – otoczeni pootwieranymi puszkami i skrzynkami, i każdy brał sobie to, na co miał ochotę.

Z początku jedli w milczeniu, zbyt zmęczeni i oszołomieni, by mieć ochotę na rozmowę. Wkrótce jednak jedzenie i zawarty w napojach cukier przywróciły im

energię.

Zacząli cicho opowiadać o swoich przeżyciach, wymieniali się historiami, starali się zrozumieć i zaakceptować to, co się wydarzyło. Próbowali także wyobrazić sobie, co będzie dalej.

Piątka dzieci ze skarbca opowiadała o tym, jak rodzice i inni dorośli byli porywani na ich oczach, unosili się nad podłogę i przenikali przez sufity – musiało to nastąpić wtedy, gdy statek matka leciał zbyt wysoko, aby dało się go wyczuć. Niektórzy porywani podczas wznoszenia się w powietrze płakali, inni śmiali się, ale nikt się nie opierał.

–Tak, śmiali się – powiedział Eric Crudup, przypominając sobie, co działo się z jego babcią. – Lecąc w górę, wariowali. Robili się bardziej walnięci, niż ustawa przewiduje.

Wszystkie dzieci utraciły tak wiele, że nie były w stanie tego pojąć. Dlatego jeszcze zachowywały spokój, Molly jednak doskonale wiedziała, że kiedy minie pierwszy szok, zaczną się rozpacz.

Dziwne, ale żadne z dzieci nie mówiło nic o „organicznym” wyglądzie statku matki – albo dlatego, że tak bardzo różnił się od tego, co widywały w kinie, albo dlatego, że nie wiedziały, co na ten temat sądzić. Może po prostu bały się o tym myśleć?

O ósmej zaczęli układać się do snu.

Neil uparł się, aby objąć pierwszą wartę, i obiecał obudzić Molly o pierwszej w nocy.

Spodziewała się, że będzie leżeć, nie mogąc zasnąć, dręczona obrazami strasznego zniszczenia i nerwowymi spekulacjami na temat przyszłości, ale kilka sekund po przyłożeniu głowy do prowizorycznej poduszki już spała. Nic jej się nie śniło.

Pięć godzin później Neil obudził ją. Mimo obietnicy zamierzał pozwolić jej spać dalej, ale był tak zmęczony, że mógł w każdej chwili przysnąć i pozostawić ich bez ochrony.

Molly siedziała w fotelu, oświetlana łagodnym światłem lamp, pistolet leżał tuż obok. Słuchała rytmicznych oddechów dzieci i pochrapywań psów. Po raz pierwszy miała czas i mogła spokojnie zastanowić się nad wydarzeniami minionych godzin. Na skraju jej umysłu w dalszym ciągu majaczyła nieuchwytna prawda, nie potrafiła jednak sformułować jej w słowach.

Protektor. Opiekun i obrońca, czasem ktoś obdarzony szczególnymi zdolnościami. Choć nie było to archaiczne słowo, nie przypominała sobie, aby kiedykolwiek użyła go w książce lub rozmowie – a jednak przyszło jej na myśl w odpowiednim momencie

i odparło atak Obcego w skarbcu. Protektor.

Kilka minut przed trzecią w nocy deszcz przestał padać.

Podeszła do okna, zamierzając odsunąć zasłonę, nie zrobiła tego jednak i wróciła na fotel. Bała się, że do szyby będzie przyczepiony jakiś grzyb, a na okrągłych elementach jego obrzydliwego cielska będą bezgłośnie krzyczeć ludzkie twarze.

Wraz ze świtem słońce zostało wyzwolone z łańcuchów deszczu i sieci mgły. Wschodziło jakby z uroczystym namaszczeniem, zabarwiało niebo na wschodzie różanym żarem, resztę nieba kąpało w błękicie i złociło okna domów Black Lake.

Molly, Neil, dzieci i psy wyszli z zimnego marmurowego holu banku w ciepły poranek. Zatrzymali się, w niemym zachwycie patrząc na niebo z otwartymi ustami, jakby chcieli pić złote wino słońca.

Od chwili, kiedy ostatni raz je widzieli, minęło dopiero trzydzieści sześć godzin, Molly miała jednak wrażenie, że cieszyła się tym wspaniałym ciepłem na twarzy całe wieki temu.

Jedno z dzieci pierwsze zauważyło powrót wszystkiego do normy.

–Hej, całe to świństwo i pełzactwo zniknęło!

Duszący wszystko czarny mech został zmyty z drzew i starty z budynków, rozpuszczony i splukany do kanalizacji.

Fantasmagoria grzybów, zarówno chodzących, jak i czepiających się podłoża, zniknęła. To, co znajdowało się pod nimi, pozostało na miejscu: przesiąknięta wilgocią trawa, krzewy, z których skapywała woda, wypłukane przez deszcz rabaty z przypominającą klej gliniastą ziemią.

Po dachach nie skakały małpopodobne postacie, w koronach drzew nie pełzało nic czerwonego i drapieżnego.

Molly miała wrażenie, jakby wszystko jej się przyśniło – albo że teraz śni.

Ziemia została przejęta przez pozaziemski gatunek tak bezlitosny, jak bezlitosna mogłaby być rasa inteligentnych krokodyli. Przyszłość ukazała swój koniec i niedaleki kres ludzkiego panowania oraz wszelkich ludzkich osiągnięć. Okazało się jednak, że nieunikniony koniec nie nastąpił. Tu, w nieruchomym punkcie, taniec życia trwał dalej, chwila za chwilą.

Molly nie pojmowała, co się stało, co władcy z innej planety chcieli osiągnąć i czy to osiągnęli – a także dlaczego odeszli.

Kiedy ujrzała na niebie jakiś ruch, jej serce zadrżało, zaraz jednak stwierdziła, że także ten widok jest normalny. Kołując coraz to szerszą spiralą*[Walter B. Yeats, *Drugie przyjście*, przekład Stanisława Barańczaka], nad ich głowami przelatował sokół.

Szczeknięcie psa – nie z ich grupy – skierowało jej uwagę ku północnemu krańcowi Main Street. Seter irlandzki, którego widzieli minionego dnia, prowadził w kierunku banku troje dorosłych i grupę dzieci. Od chwili, gdy pomachali sobie na Marine Avenue, liczba dzieci w tej grupie zwiększyła się.

Kolejne szczeknięcie, tym razem włochatego mieszańca, zaanonsowało przybycie następnej grupy od południowego końca Main Street. Jeden dorosły, siedmioro dzieci i złoty kot, który pilnował ich zachodniej flanki.

Molly popatrzyła Neilowi w oczy, podeszła do niego i ujęła go za rękę.

Trzecia grupa – czworo dorosłych, ponad dwadzieścioro dzieci i sporo psów – wołała coś do nich, nadchodząc przez mały park po drugiej stronie ulicy.

Żadne z wydarzeń minionych trzydziestu sześciu godzin nie poruszyło Molly tak bardzo jak to, co działo się teraz. Nic nie dodało jej tyle ducha.

W ciągu piętnastu minut zjawiała się ostatnia z dziewięciu grup i mogli przeliczyć ocalałą populację Black Lake, miasteczka, w którym jeszcze tak niedawno mieszkały dwa tysiące osób. Dwadzieścia dwie osoby dorosłe, w większości rodzice dzieci. Sto sześćdziesięcioro siedmioro dzieci, w tym ponad połowa sieroty. Czterdzieści psów, siedem kotów.

Spotkanie na Main Street miało miejsce w czwartek rano. Po śniadaniu dorośli ustalili, że należy zabrać dzieci z Black Lake w miejsce o łagodniejszym klimacie, na nizinach, na zachodzie.

Był wrzesień i w góry wkrótce miała zawitać zima. Nie mając prądu, gazu i zapasów oleju opałowego, musieli zamieszkać w cieplejszej okolicy.

Spędzili dzień na zbieraniu pojazdów i pakowaniu się. Jedzenie, picie, ubrania, pamiątki. Także broń, choć mieli nadzieję, że nigdy nie będą musieli jej używać.

W czwartek wieczorem wszyscy porozkładali się w różnych pomieszczeniach banku – z wyjątkiem sejfu. Większość spała, część jednak nie mogła zasnąć, czekała na kolejną ulewę.

Noc minęła bez burzy.

W piątek rano wyruszyli karawaną, złożoną z trzech szkolnych autobusów, dwu ciężarówek i czternastu samochodów terenowych. Wszystkie pojazdy były zatankowane do pełna, a w razie potrzeby będą mogli ściągnąć paliwo z porzuconych pojazdów.

Nie wiedzieli, czego się spodziewać, znaleźli jednak na zachodzie więcej, niż porzucili. Błękitne niebo, na którym były jedynie ptaki.

Schnąca powoli, nasączona wodą ziemia. Opuszczone miasta.

Według Molly – tak samo jak wszystkich innych – wojna światów zakończyła się bardziej tajemniczo, niż się zaczęła. Dokąd udały się zwycięskie armie i dlaczego opuściły Ziemię?

Niektóre wiadukty na autostradach powinny zostać rozmyte, ale wszystkie były całe. Nie było też zbyt wielu zniszczeń powodziowych na terenach, gdzie rzeki wylały z brzegów, zatapiając całe kompleksy domów.

Od czasu do czasu natykali się na sznury porzuconych samochodów, które musieli usuwać z drogi, ale większość szos była pusta i łatwo się nimi jechało.

Po drodze spotkali trzy inne kolumny. Dzieci i ich protektorzy, liczne psy, kilka kotów, nawet jedna papuga, którą nauczono kilku fragmentów Emily Dickson, ale ani jednego wersu T. S. Eliota.

Na nizinach, gdzie mieszkały i zginęły miliony ludzi, Molly spodziewała się natknąć

na tereny zamienione w pełne zwłok kostnice. Nie ujrzeli jednak ani jednego trupa, a powietrze wszędzie było czyste.

Każda z kolumn udawała się gdzie indziej. Grupa z Black Lake w końcu dotarła tam, dokąd zmierzała – do wybrzeża Pacyfiku i Newport Beach, gdzie dwoje protektorów miało rodzinę, o którą się martwiło.

Tak jak dzieci z gór, dzieci znad morza również przeżyły. Z dorosłych uratowali się tylko ci, którzy ratowali i ochraniali dzieci. Wielu spośród nich było rodzicami, których poczucie odpowiedzialności wykroczyło poza krąg własnej rodziny.

Mieszkańcy wybrzeża z radością powitali przybyszy. Trzeba było zapełnić puste miasta, ukoić samotność ulic, parków, centrów handlowych i przedmieść.

Tego piątku Molly i Neil, trzymając się za ręce, przyszedli na plażę i stanęli nad brzegiem, obserwując przybój. Niedaleko brzegu stało kilka zniszczonych statków, ale na morzu nie było ani jednego.

Co z Chinami? Z Europą? Z Anglią? Imperia rozpadły się, Ziemia jednak trwała dalej.

Wiedząc, że poezja Eliota sprawia Molly przyjemność, Neil zacytował go:

– „Pomiędzy koncepcją i kreacją...

– Pomiędzy wzruszenie i odczucie... – podjęła Molly.

– Pada Cień”* – dokończył Neil. [*Wydrążeni ludzie*, przełożył Czesław Miłosz].

Słońce malowało na zachodnim niebie dziękczynienie – najpierw złotem i pomarańczem, potem ognistą czerwienią i purpurą, która zapoczątkowała noc.

Z Virgilem, jeszcze dwoma psami i ośmiorgiem dzieci zajęli opuszczony dom na skarpie nad morzem.

W pierwszych tygodniach nowego życia nie mieli zbyt wiele czasu na zastanawianie się, co tak naprawdę stało się z nimi i ze światem.

Puszkowane jedzenie z supermarketów i magazynów mogło wystarczyć na wiele lat, ale nie na zawsze. Trzeba było stworzyć długofalowe strategie przetrwania i włożyć wiele pracy w ich realizację.

Co dziwne (a może i nie?), okazało się, że wszyscy dorośli, którzy przeżyli – protektorzy – posiadają zaskakująco różnorodne umiejętności i rozległą wiedzę. Byli wśród nich lekarze, dentyści, pielęgniarki, inżynierowie, architekci, stolarze, wysokiej klasy mechanicy... Kiedy sporządzono kompletny spis mieszkających teraz w okolicy

ludzi, okazało się, że dorosłych wybrano nie tylko dla ochrony dzieci, ale także z powodu wkładu, jaki mogli wnieść w realizację większego celu.

Wybrane miejsca gromadzenia się były zaopatrywane w prąd za pomocą przenośnych generatorów. W ciągu roku zamierzano zelektryfikować najbliższe okolice.

Powstały też lecznice. Z opuszczonych aptek przyniesiono lekarstwa i ustalono plan ich racjonowania do czasu, aż powstanie prosty przemysł farmaceutyczny.

Nie znaleziono milionów zwłok ani najmniejszego śladu pozaziemskiego ekosystemu, który tak niedawno zaczął gwałtownie rozkwitać.

Jeszcze przez długi czas z niepokojem patrzono na gwiazdy, a psy były traktowane niemal jak członkowie rodziny.

Każdego dnia na wiele różnych sposobów przywracano cywilizację.

W październiku, niecały miesiąc po Armagedonie, Molly została nauczycielką i odkryła w tej działalności więcej przyjemności, niż kiedykolwiek miała, pisząc książki.

Neil, który kiedyś był księdzem, odszedł z Kościoła, gdy zgłosił, że jego rektor molestuje dzieci, i okazało się, że biskupowi brakuje mądrości i siły wiary, aby zakazać winnemu pełnienia obowiązków księdza. Tu, na wybrzeżu, służył swej nowej społeczności najpierw jako stolarz, ale na Boże Narodzenie okazało się, że znów ma parafian.

Molly poznała go w ostatnich dniach jego kariery kapłańskiej. Pewnego popołudnia, kiedy jej serce potrzebowało pociechy, poszła do kościoła posiedzieć, pomyśleć. Podeszła jednak najpierw do prezbiterium, aby zapalić świeczkę za duszę matki. Neil, który żegnał się właśnie ze swoim kościołem, stał przed ołtarzem, oświetlony skomplikowanym kolorowym wzorem światła, wpadającego przez witraż. Jego twarz była tak doskonała, a oczy tak łagodne, że przez chwilę wzięła go za posąg świętego Jana.

Nowy Rok rozpoczęli cichą mszą poświęconą pamięci zabitych, ale życie przynosiło im coraz więcej radości.

Molly cieszyła się ze zdrowia psychicznego dzieci. Nie zapomniały o swoich zmarłych bliskich, często z nimi rozmawiały, ale zdawały się mieć dyspensę z żałoby. I z nocnych koszmarów. Pamiętały straszliwe wydarzenia, których były świadkami, ale trochę tak, jakby widziały je w kinie. Lepiej niż dorośli potrafiły żyć w teraźniejszości, w nieruchomym punkcie wirującego świata, w którym trwa taniec życia.

W kwietniu Molly dowiedziała się, że jest w ciąży.

Ciepłego lipcowego dnia, w czwartym miesiącu ciąży, wolna do września od obowiązków szkolnych, siedziała na patio w cieniu szepczącej palmy i patrzyła na morze.

Na stoliku ze szklanym blatem, który stał nieopodal, leżała jedna z książek jej matki, o której świat zapomniał jeszcze przed końcem świata, Molly jednak bardzo ją ceniła i od czasu do czasu czytała na nowo.

Kiedy natknęła się na wzmiankę o Noem i arce, odłożyła książkę.

Pojawił się Neil ze szklankami mrożonej herbaty.

–Potop, arka, ładowane parami zwierzęta, wszystkie te idiotyzmy ze Starego Testamentu...

Neil uniósł brew.

–Cytuję Renderr, który powiedział coś takiego w toalecie w restauracji – wyjaśniła Molly. – Neil... czy oprócz grzechu, egoizmu, czczenia kamiennych bożków i tego rodzaju rzeczy w opowieści o Noem jest wyjaśnienie, dlaczego świat musiał zostać oczyszczony?

Neil usiadł na krześle, ze szklanką herbaty w jednej ręce i biografią W. B. Yeatsa w drugiej.

–Tak. Tolerancja dla zabijania.

Molly nie była pewna, czy dobrze zrozumiała.

–Większość ludzi zaczęła za bardzo tolerować morderstwa – dodał. – Mordercy byli zbyt pobłażliwie traktowani, a jeżeli zabijanie służyło jakimś utopijnym wizjom, to nawet im wybaczano.

–Matka wspomina o tym w swojej książce. – Molly wskazała leżący na stoliku tom. – Byłam ciekawa.

Neil napił się herbaty i zagłębił w życiorysie Yeatsa.

Molly przez długą chwilę wpatrywała się w morze.

Hitler zabił ponad dwadzieścia milionów ludzi. Stalin pięćdziesiąt. Mao Zedong około stu. Niedawno zamordowano dwa miliony ludzi w Sudanie, kolejny milion w Rwandzie. Lista aktów ludobójstwa była nieskończona.

W imię religii lub sprawiedliwości politycznej, w dążeniu do poprawy świata za pomocą tej czy innej ideologii zapełniano masowe groby, ale żaden z morderców nie został ukarany – pomijając kilku hitlerowców, skazanych podczas procesów norymberskich ponad pół wieku temu.

Nad morzem nie było chmur. Błękit spotykał się z błękitem na niemal niewidocznym horyzoncie.

W dawnym świecie, który tak niedawno zniknął, każdego dnia wiadomości pełne były doniesień o wysadzających się samobójcach, strzelaninach ulicznych gangów, mężczyznach mordujących swoje ciężarne żony, matkach topiących własne dzieci, nastolatkach, zabijających z broni palnej kolegów z klasy. Przypomniała sobie, jak czytała kiedyś, że w Stanach Zjednoczonych przeciętna długość wyroku, odsiedzianego za morderstwo, to siedem lat.

Render nigdy nie trafił do więzienia, przez cały czas przebywał w ośrodkach z terapeutami i różnymi ogrodami.

Kiedy się nad tym wszystkim zastanawiała, uświadomiła sobie, że zdrowie psychiczne dzieci i ich niechęć do rozmyślania nad ciężkim losem można porównać do dziwnego braku zainteresowania dorosłych rozmowami o Obcych, którzy napadli na Ziemię. Dlaczego przelecieli tysiące lat świetlnych, zamordowali miliony ludzi i zaczęli przemieniać Ziemię, ale odlecieli?

Bez wątplenia będzie to głównym tematem dyskusji w następnym stuleciu, dopóki jednak dzieci same nie podejmowały takich rozmów, dorośli – w tym Molly – jakby zwalniali je od rozważań i drażenia tych spraw.

Aby nie przerywać Neilowi, poszła do domu, znalazła grubą księgę sławnych cytatów i wróciła z nią na patio.

Przypomniało jej się coś, co usłyszała, kiedy Neil rozmawiał przez telefon ze swoim bratem, znajdującym się na Hawajach: „...pałając wielkim gniewem, świadom, że mało ma czasu”. Słowa te przebiły się przez szumy i trzaski, kiedy telekomunikacyjna sieć się rozpadła.

Spojrzała w spisie rzeczowym pod „gniew”. Szybko znalazła: cytat pochodził z Apokalipsy świętego Jana, rozdział 12, wers 12:

Biada ziemi i biada morzu - bo zstąpił do was diabeł, pałając wielkim gniewem, świadom, że mało ma czasu*.[Biblia Tysiąclecia]

„Zstąpił do was”? Czy piekło nie miało się znajdować pod ziemią?

Gdy tamtego września Molly obudziła Neila z sennego koszmaru, stał patrząc w

sufit, sparaliżowany pierwszym przelotem lewiatana, i powiedział: „...żeby was przesiać jak pszenicę”. Kiedy zapytała go, co ma na myśli, nie mógł sobie niczego przypomnieć. Podejrzewając, że to też jest cytatem, spędziła piętnaście minut z tomem i w końcu znalazła źródło. Ewangelia według świętego Łukasza, rozdział 22, wers 31:

*Szymonie, Szymonie, oto szatan domagał się, żeby was przesiać jak pszenicę**[Biblia Tysiąclecia].* Molly znowu wpatrzyła się w morze. Wzięła do ręki szklankę z mrożoną herbatą i z zaskoczeniem stwierdziła, że jest pusta. Nie zauważyła, kiedy ją wypila.

Poszła do domu, wyjęła z lodówki dzbanek, wróciła na patio i dołała im obojgu herbaty.

–Dziękuję, kochanie.

Przypomniało jej się coś, co psychopata z blizną powiedział w domu Bradleya i Allison, mówiąc o „poświęceniu” dzieci: „Ci, co teraz rządzą światem”, chcieli dzieci bardziej niż kogokolwiek, ale „dzieciaki nie są do przesiania”.

Choć dzień był gorący, w cieniu palmy panował chłód.

–Idę pochodzić po plaży – powiedziała po chwili.

–Chcesz towarzystwa?

–Ciesz się swoją lekturą. Poradzę sobie.

Zeszła schodami ze skarpy na plażę. Na dole zdjęła buty i wzięła je do ręki.

Astrofizycy twierdzili, że we wszechświecie jest więcej gwiazd niż ziarenek piachu na wszystkich plażach świata.

Twierdzili też, że nasz wszechświat jest jednym z wielu, może nawet jednym z nieskończenie wielu.

Szła po ciepłych galaktykach piachu, spacerowała po wszechświatach. Pochyliła się, aby podnieść muszlę: była to skorupa niewielkiego łodzika, której wewnątrz zdawało się skręcać w nieskończoność.

Twierdzi się, że Bóg stworzył wszechświat. Nie astrofizycy tak twierdzą, lecz ci, co może są od nich mądrzejsi.

Twierdzi się, że niebo jest bytem innym od ziemskiego, co może oznaczać, że znajduje się w innym wszechświecie.

Przesypała między palcami stóp suchy, gorący piasek. Podeszła do skraju wody, gdzie piach był mocno ubity i chłodny.

Twierdzi się, że niektóre aroganckie anioły zbuntowały się i Bóg zrzucił je z nieba do piekła, które jest bytem innym zarówno od nieba, jak i od Ziemi. Kolejny wszechświat?

Szła na południe wzdłuż plaży, pluskające fale obmywały jej stopy.

Astrofizycy – znów oni – twierdzili, że czarne dziury, będące zapadniętymi gwiazdami o wielkiej gęstości, są prawdopodobnie wrotami między różnymi wszechświatami.

Może śmierć jest naszą własną czarną dziurą, przez którą przechodzimy do innego wszechświata?

Na południu pojawiła się pojedyncza chmura, która zaczęła dryfować bezgłośnie na północny północo-wschód.

Lewiatan poruszał się po niebie bezgłośnie, ponieważ ani nie miał silników, ani ich nie potrzebował: nie był to statek matka, lecz statek ojciec, w dodatku wcale nie statek. Był tworem o boskiej mocy, władcą innego wszechświata, duchem o mrocznych zamysłach, potężnym i straszliwym, który urósł, karmiąc się swoim ulubionym smakołykiem.

Kto jest największym rzecznikiem rozpacz, mistrzem oszustwa, imperatorem kłamstwa?

Molly wróciła na ciepły piasek i zaczęła szukać w dzikich trawach patyka. Kiedy go znalazła, podeszła do miejsca, skąd przyplływ niedawno się wycofał, ale gdzie piach był jeszcze mokry. Uklękła.

„Pozaziemski gatunek, o setki tysięcy lat bardziej rozwinięty niż my, może dysponować technologiami, które wydawać się nam będą działaniem sił nadnaturalnych, czystą magią”.

Nowa myśl: nadnaturalne wydarzenie wstrząsające światem, w czasach pozbawionych wiary, w których panuje przekonanie, że jedynie nauka ma moc sprawiania cudów, może wydać się dziełem pozaziemskiego gatunku, o setki tysięcy lat bardziej rozwiniętego niż my.

Zaczęła pisać na piasku przywoływane z pamięci słowa.

Ręce tak jej drżały, że pisząc, musiała przerywać. Słowa w obcym języku, które usłyszała w radiu, przekazane ze stacji kosmicznej, na której zostali wszyscy

astronauci, zostały zapisane na piasku. Miłość do słów, pasja poetycka, zdolność łatwego zapamiętywania wersów – wszystko to bardzo się przydało.

Aneim imm noigel, ows eim refittul, ows nodaba, ows natazer tshadajes szszut. Nie wiedziała, czy transkrypt jest prawidłowy, pisała fonetycznie, tak jak te słowa brzmiały w jej uszach.

Spodziewaj się oszustwa. To słowa świadomości, uważającej zło za dobro, cieszącej się z bólu, odczuwającej ból z prawdy, widzącej

prawdę w kłamstwie, patrzącej na wszystko od spodu i wspak.

Sunąca powoli chmura zasłoniła słowa na piasku.

Po chwili słońce znów ją odnalazło.

Fale szumiały, szumiały i cofały się od tej prowizorycznej tablicy.

Najpierw zobaczyła „tuszz”. „Szzzut” wspak. Od razu wiedziała, że ma to oznaczać „dusz”.

„Ows” wspak mogło znaczyć „swą”.

Patykiem pisała tłumaczenie pod pierwszą linijką.

Na imię mi Legion, zwą mnie Lucyfer, zwą Abaddon, zwą Szatan, zjadacz dusz.

Rzuciła patyk do morza.

Zatarła dłonią obie linijki tekstu na piasku. W ostatnim załamaniu fali oplukała dłoń.

Pomyślała o świecącym statku, który kilka razy zawisał nad nimi w Black Lake. W jego świetle czuła się tak szczegółowo analizowana i tak dokładnie poznawana, że miała wrażenie, jakby stała nago przed obcymi ludźmi. Nie był to statek, ale dobry duch. Jej anioł stróż.

Z niezliczonych milionów ludzi, których zabrano, przeciągając ich przez sufity i podłogi, jedni krzyczeli, inni się śmiali. Ich miejsca przeznaczenia nie były takie same.

Wróciła po swoich śladach do schodów na skarpie i weszła na patio.

Neil ciągle czytał życiorys Yeatsa.

–Miły spacer?

–Niesamowity. Postanowiłam napisać książkę.

–Może przez parę lat nie będzie miał kto jej wydać.

–Nieważne. Nie chodzi o ambicję. Chcę pisać tylko dla jednego czytelnika.

–Dla mnie?

Wyjęła Neilowi z rąk książkę, odłożyła ją na bok i usiadła mu na kolanach.

–Może tobie też dam przeczytać.

–Jak nie dla mnie, to dla kogo?

Molly poklepała się po brzuchu.

–Będę pisać dla niej... albo niego. Mam naszemu dziecku coś do opowiedzenia, a jeśli coś mi się stanie, zanim będzie dostatecznie duże, by to usłyszeć, chcę, aby było zapisane.

–Brzmi, jakby chodziło o coś ważnego.

–Bo jest ważne.

–O czy to będzie?

Położyła mu głowę na ramieniu i przyłożyła usta do jego szyi.

–O nadziei – szepnęła.

This file was created with BookDesigner program

bookdesigner@the-ebook.org

2011-02-19

LRS to LRF parser v.0.9; Mikhail Sharonov, 2006; msh-tools.com/ebook/